

Macomber Debbie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Srebrzyste dzwonki

Rozdział 1

- Tato, ty nic nie rozumiesz!

- Powiedziałem, Mackenzie: koniec dyskusji!

Carrie Weston usłyszała podniesione głosy i ruszyła pędem przez hol budynku, w którym od dawien dawna wynajmowała mieszkanie.

- Proszę zaczekać! - zawołała, biegnąc w stronę otwartych drzwi windy.

Jej ramiona z trudem obejmowały torby z zakupami, listy wyjęte ze skrzynki oraz pudła choinkowych ozdób. Pośpiech nie był wskazany, skoro para w windzie się kłóciła i zapewne wołałaby odbyć podróż na piętro sama, ale Carrie nie miała ochoty czekać, aż winda zawiezie pasażerów na górę i wróci po nią na dół. Rozbolały ją ramiona i chciała jak najprędzej znaleźć się w domu, a potem wysypać cały ciężar na kuchenny blat.

Mężczyzna przytrzymał drzwi, zanim zdążyły się zamknąć. Zarówno Carrie, jak i pozostali mieszkańcy od niedawna znali go z widzenia. Snuto rozmaite domysły na temat dwojga najnowszych lokatorów.

- Dziękuję - wykrztusiła bez tchu i uśmiechnęła się uprzejmie. Jej wzrok napotkał spojrzenie dziewczynki. Miała może ze trzynaście lat, wprowadziła się z ojcem kilka tygodni wcześniej, a Carrie słyszała od innych lokatorów, że podobno oboje mają mieszkać tutaj aż do zakończenia budowy ich nowego domu.

Drzwi windy zamykały się powoli. Bo też mieszkańcy trzypiętrowej kamienicy niedaleko Queen Anne Hill w Seattle rzadko się gdzieś spieszyli. Carrie była wyjątkiem.

8

- Które piętro? - spytał mężczyzna. Mocniej objęła torby z zakupami.

- Drugie. Dziękuję.

Mężczyzna rzucił jej łaskawy uśmiech i wcisnął odpowiedni guzik.

Demonstracyjnie nie patrzył na córkę.

- Jestem Mackenzie Lark - oznajmiła tymczasem dziewczynka z szerokim uśmiechem na piegowatej buzi. - A to mój tata, Philip.

- Carrie Weston - przedstawiła się i udało jej się jakoś podać rękę Mackenzie, przytrzymując pod pachą swoje pakunki. - Miło cię poznać.

Philip także podał jej rękę. Uścisk jego dłoni był mocny, pewny, choć krótki. Ze spojrzeń, które rzucał córce, można się było domyślić, że jego zdaniem wybrała nieodpowiedni moment na zawieranie nowych znajomości.

- Strasznie chciałam panią poznać - ciągnęła Mackenzie, ignorując ojca. - Pani wygląda na jedyną normalną osobę w całym budynku.

Mimo wszelkich wysiłków Carrie nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Rozumiem, że poznałaś Madame Frederick.

- Czy ta jej kula naprawdę jest kryształowa?

- Ona tak twierdzi.

Carrie przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz ujrzała Madame Frederick kroczącą przez hol z kryształową kulą. Używała jej do przepowiadania przyszłości i utrzymywała, że kula umie przewidzieć wszystko - od pogody na następny dzień po wyprzedaż butów w Nordsrom. Wtedy, jako nowa lokatorka tej niezwyklej kamienicy, Carrie przywarła na widok tajemniczej damy do ściany i czekała, aż Madame Frederick zniknie w windzie. Bardziej niż kryształowa kula zdumiały ją chyba wielkie zielone cekiny, które Madame miała przyklejone nad

każdą brwią. Nosiła też oryginalnego kroju kaftan - metry materiału wydymały się wokół ramion i bioder, a od kolan w dół ubiór był bardzo wąski. Długie srebrzystobiałe włosy upięte były na czubku głowy w kok, mniej więcej taki, jaki nosiło się w latach sześćdziesiątych.

- Frederick jest całkiem miła - stwierdziła Mackenzie.

- A poznałaś już Arnolda? - spytała Carrie. Arnold był jednym z najbardziej ekscentrycznych mieszkańców domu, a także jednym z jej ulubieńców.

- To on ma te wszystkie koty?

- Nie. Arnold to atleta.

- Ten, co pracował w cyrku?

Carrie skinęła głową. Miała zamiar powiedzieć więcej, ale winda zatrzymała się po chwili, sapnęła głośno i drzwi się otworzyły.

- Miło mi było poznać was oboje - zapewniła w drodze do drzwi.

- Panią również - mruknął Philip, choć nie wydawało się, by był szczególnie poruszony nową znajomością. Raczej była mu obojętna, co potwierdzał jego nieobecny wzrok - patrzył na Carrie, ale jej nie widział. Pewnie gdyby była kompletnie naga, wcale by tego nie zauważył.

- Czy mogę kiedyś do ciebie wpaść i pogadać? - zawołała Mackenzie, zanim drzwi zdążyły się zamknąć.

- No pewnie.

Drzwi zamknęły się, ale Carrie zdołała dostzec, jak ojciec dziewczynki wyraża swoje niezadowolenie, burcząc na nią i patrząc na nią z naganą. Paskudny typ, pomyślała. Albo wrócił do przerwanej kłótni, albo daje małej burę, że wprasza się do obcych z wizytą. I pomyśleć, że wydawał się jej taki intrygujący.

Z trudem otworzyła drzwi mieszkania, nie wypuszczając przy tym z objęć swoich skarbów, po czym z ulgą zatrzasnęła

je. za sobą. Rzuciła dekoracje świąteczne na kanapę w salonie, resztę zakupów zaniósła do kuchni.

- Chciałaś go poznać - powiedziała na głos - no to poznałaś. Nie chciała się do tego przyznać, ale Philip Lark bardzo ją rozczarował. Okazał się surowym ojcem wobec Mackenzie, a jej okazał tyle zainteresowania, co bochenkowi chleba na wystawie piekarni. Czy jednak miała prawo spodziewać się po nim więcej? Niby dlaczego? Jeżeli w ogóle spodziewała się po nim czegokolwiek, to znaczy, że za bardzo brała sobie ostatnio do serca to, co przepowiadała Madame Frederick. Starsza pani twierdziła, że widzi wyraźnie przyszłość Carrie i że w tej przyszłości jest mężczyzna jej marzeń, którego Carrie miała jakoby poznać przed końcem roku. Mężczyzna miał na dodatek mieszkać w tym samym domu, więc Carrie od razu wzięła na cel Philipa Larka. Był przystojny, w odpowiednim wieku, zdawał się inteligentny i uprzejmy... Akurat, uprzejmy. Była głupia, że słuchała tych przepowiedni. Madame Frederick była uroczą starszą panią o romantycznym sercu, ale jej zdolności prorocze nie były chyba ponadprzeciętne.

Sięgnęła po pocztę i szybko przejrzała koperty. Większość z nich wyrzuciła do śmieci, po czym zabrała się za rozpakowywanie zakupów. Po chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Dzień dobry jeszcze raz - odezwała się radośnie Mackenzie Lark, kiedy Carrie wyjrzała na korytarz. Nie spodziewała się, że dziewczynka pojawi się tak szybko. - Powiedziała pani, że mogę wpaść;

- Oczywiście, wejdź.

Mackenzie wkroczyła do mieszkania, rozejrzała się z uznaniem po salonie i opadła na kanapę.

- No to jestem.

- Właśnie widzę - uśmiechnęła się Carrie. - Ciągłe kłócisz się z tatą? Postanowiła porozmawiać z Mackenzie po partnersku, jak dziewczyna z dziewczyną. W końcu sama też miewała niezłe awantury z matką, póki ta nie wyszła za mąż za Jasona Manninga dziesięć lat temu. Do tego czasu Carrie nieustannie z nią wojowała. Miała świadomość, że jest trudnym dzieckiem, i często wyrzucała sobie, że zatruwa życie samotnej i nieszczęśliwej matce. Teraz rozumiała już, że źródłem wszystkich problemów - i jej, i matki - był rozwód rodziców. Od tego wszystko się zaczęło.

Carrie niezbyt dobrze pamiętała swojego ojca - rodzice rozstali się, kiedy miała cztery czy pięć lat. Z jakichś niejasnych powodów winiła za to mamę, a kiedy dorastała, tęskniła za ojcem i idealizowała jego osobę. Ile lat wtedy miała? Pewnie tyle, co dzisiaj Mackenzie.

- To jak, kłóćcie się? - zapytała.

- Tata nic nie rozumie. - Mackenzie wykrzywiła z lekceważeniem usta.

- Czego nie rozumie? - spytała Carrie.

Dziewczynka wstała, przeszła do kuchni i patrzyła, jak Carrie układa zakupy w szafkach. Oparła łokcie na kuchennym blacie, brodę na rękach i powiedziała z filozoficzną zadumą:

- Niczego. Prawie nie możemy rozmawiać, bo zaraz się kłócimy. Ciężko jest być nastolatką.

- Możesz w to nie wierzyć, ale wychowywanie nastolatki wcale nie jest łatwiejsze - odparła Carrie, na co Mackenzie westchnęła znacząco i wywróciła oczy.

- O rany, jakbym słyszała tatę.

- Naprawdę jest wam ze sobą tak źle?

- Kiedyś było inaczej. Byliśmy kumplami. Nie było łatwo, kiedy mama odeszła, ale jakoś daliśmy sobie radę.

12

- Twoi rodzice są rozwiedzeni? - Nie chciała być wścib-ska, ale ciekawość wzięła górę.

Mackenzie zmarszczyła nos i skinęła głową.

- Mhm. To było okropne, kiedy się rozstali.

- Zawsze tak jest. Moi się rozwiedli, kiedy byłam bardzo mała. Prawie nie pamiętam mojego ojca.

- A potem? - zainteresowała się Mackenzie. - Często go pani widywała?

Carrie pokręciła przecząco głową. Gdy była młodsza, bardzo ją to martwiło, ale odkąd dorosła, pogodziła się z losem. Świadomość, że ojciec nie chciał być częścią jej życia, była bolesna, lecz skoro taki był jego wybór...

- Ja też nie widzę mamy za często. Choć teraz mam spędzić święta z nią i jej nowym mężem - powiedziała dziewczynka, a jej brwi zmarszczyły się z niezadowolenia. - Nie widziałam jej prawie od roku, była bardzo zajęta.

Mama pracuje w jednym z wielkich banków w centrum Seattle i ma naprawdę ważne stanowisko. Musi dużo podróżować, więc rzadko a iogę u niej zostać choćby na parę dni. Tata jest analitykiem systemów.

Carrie pokiwała głową. Zdawało jej się, że dobrze rozumie rozterki małej Mackenzie.

- Ile masz lat? Piętnaście? - zapytała, celowo dodając jej wieku. Pamiętała to pragnienie każdej nastolatki, by uchodzić za starszą niż w rzeczywistości.

Mackenzie wyprostowała się i od razu poweselała.

- Właściwie to trzynaście.

- No to jesteś prawie dorosła.

- Żeby tata tak myślał...

Carrie otworzyła torbę ciasteczek ryżowych o smaku serowym z niską zawartością tłuszczu. Wysypała je na talerz i wzięły sobie po jednym. Siedziały naprzeciw siebie, po

dwóch stronach kuchennej lady, milcząc jakiś czas, wreszcie dziewczynka odezwała się znowu:

- Wie pani, co sobie myślę? - Popatrzyła na nią przenikliwym wzrokiem. - Mojemu tacie trzeba kobiety.

Ciasteczko ryżowe uwięzło w gardle Carrie i dopiero po chwili zdołała wykrztusić:

- Kobiety? .

- No tak, żony. Teraz to nic tylko praca, praca i praca. On chyba myśli, że uda mu się zapomnieć o mamie, jeśli wystarczająco długo posiedzi w biurze. - Mackenzie schrupała kolejne ciasteczko. - Madame Frederick mówi to samo...

- Madame Frederick? Rozmawiałaś z nią?

- Zajrzała dla mnie do swojej kuli i powiedziała, że czeka mnie jeszcze w tym roku dużo zmian. Nie byłam szczególnie zachwycona. Ostatnio i tak było za dużo zmian, z całą tą przeprowadzką i w ogóle. Tęsknię za przyjaciółmi, a budowa tego nowego domu trwa okropnie długo. Miał być gotowy na Boże Narodzenie, ale teraz wcale nie jestem pewna, czy zdążą do wakacji. - Znow oparła brodę na ladzie. - A ja chcę znowu normalnie żyć.

- To zrozumiałe.

Mackenzie zdawała się być całkiem pogrążona w marzeniach.

- Wie pani, że Madame Frederick ma chyba rację?

- Ma rację? - Carrie powtórzyła jak echo. - Dlaczego tak sądzisz?

- Nie wiem. - Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Tak-mi się zdaje. ,W każdym razie tata powinien sobie kogoś znaleźć. Ciekawe tylko, jak się takie rzeczy załatwia.

Carrie nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

- Co ma się załatwiać?

- No, na przykład nową żonę.

- Mackenzie... - Carrie zaśmiała się nerwowo. - Takich „rzeczy” nie załatwiają tatusiom ich córki.

- A dlaczego nie?

- Bo małżeństwo to poważna sprawa. Tu chodzi o miłość, o związek dwojga ludzi, o...

- No właśnie - wtrącała się Mackenzie. - To bardzo poważna sprawa. Rozumiem to i wydaje mi się, że umiałabym tacie pomóc. Lubimy z tatą te same rzeczy, zawsze zgadzaliśmy się ze sobą... no, w każdym razie do niedawna. Wiem, co lubi i jaki ma gust, pewnie nawet lepiej niż on sam. Więc skoro sam nie może znaleźć sobie żony, to ja mu ją znajdę.

- Mackenzie...

- Wiem, co pani myśli - dziewczynka nie pozwoliła sobie przerwać. - Że tata nie doceni moich wysiłków. I pewnie ma pani rację. Ja jednak nie muszę dostać od niego żadnej pochwały. Mogę wszystko zrobić po kryjomu, dyskretnie. Jeżeli nauczyłam się od taty czegokolwiek, to sztuki dyplomacji.

Carrie parsknęła śmiechem. Czy to możliwe? Ta dziewczynka była wcieleniem jej samej sprzed jedenastu lat. Patrzyła na Mackenzie - i widziała małą Carrie Weston.

- Czemu się pani śmieje? - spytała Mackenzie, najwyraźniej dotknięta.

- Po prostu bardzo mi przypominasz pewną dziewczynę - odparła tajemniczo. - Przyjmij moją radę, kochanie: nie mieszaj się do życia prywatnego twojego ojca.

- Życie prywatne? Bzdura! On nic takiego nie-ma.

- Na pewno nie doceni twojej pomocy.

- Oczywiście, że nie, mówiłam przecież. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- Posłuchaj, Mackenzie - zaczęła poważnie Carrie - jeżeli teraz nie możesz się dogadać z ojcem, to drzę na myśl, co będzie, kiedy się dowie, że postanowiłaś go wyswatać. Moja

mama była wściekła, kiedy się dowiedziała, że zaproponowałam Jasonowi pieniądze, żeby się z nią umówił...

- Chciała mu pani zapłacić, żeby umówił się z pani mamą? Carrie za późno zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt wiele.

- Stare dzieje - odparła z nadzieją, że uda jej się zmienić temat.

Nic z tego. Oczy Mackenzie rozbłyły z podniecenia, a w jej głowie już zdawała się kiełkować jakaś chytra myśl.

- Naprawdę zapłaciła pani komuś za umówienie się z pani mamą?

- Tak, ale nie próbuj z tego wyciągać żadnych wniosków. Odmówił. - Próbowała ją zniechęcić, lecz dziewczynka wciąż zdawała się rozważać ten pomysł. - To nie był dobry ruch - powtórzyła - uwierz mi. Mama wcale nie była zadowolona.

- A wyszła znowu za męża? Carrie niechętnie skinęła głową.

- Za kogoś znajomego?

Znowu skinęła głową, nie chcąc powiedzieć dziewczynce, że chodzi o tego samego mężczyznę, którego usiłowała przekupić. Mackenzie wpatrywała się w nią uważnie, więc na wszelki wypadek odwróciła głowę.

- To był on, prawda? - usłyszała.

Westchnęła ciężko i zwróciła wzrok na dziewczynkę.

- Tak, ale ja nie miałam z tym nic wspólnego. Śmiech Mackenzie był krótki i wymowny.

- Jasne. Pani chciała mu zapłacić za umówienie się z mamą, on nie przyjął pieniędzy, ale i tak się z nią umówił. Może z przekory, a może od dawna planował się z nią spotkać, a pani go ośmieliła... To mi się podoba.

Świetnie, naprawdę wspaniale. Jak długo trwało, zanim wzięli ślub?

- Kochanie, to co się stało między moją mamą i Jasonem, było jedyne w swoim rodzaju.

16

- Jak długo? - powtórzyła uparcie Mackenzie, nie dając się zbić z tropu.

- Kilka miesięcy.

Dziewczynka uśmiechnęła się triumfalnie.

- I są szczęśliwi. - To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Carrie skinęła głową. Szczęśliwi, to mało powiedziane. Mogła mieć tylko nadzieję, że i ona kiedyś znajdzie mężczyznę, z którym byłoby jej tak dobrze, jak mamie z Jasonem Manningiem. Po dziesięciu latach małżeństwa i dwójce dzieci zachowywali się jak nowożeńcy. Carrie podziwiała siłę ich miłości, sjała ta była dla niej inspiracją - ale i ciężarem. Chciałaby stworzyć podobny związek, to oczywiste. Przyjaciółki twierdziły jednak, że jest zbyt wybredna i że z takim nastawieniem nieprędko znajdzie kogoś odpowiedniego, o ile w ogóle kogoś znajdzie. Ostatnio coraz częściej była skłonna przyznać im rację.

- O coś takiego mi chodziło - mówiła tymczasem dziewczynka. - Pani znała swoją mamę lepiej niż ktokolwiek, no nie? Nikt inny nie nadawałby się lepiej do znalezienia jej męża, prawda? I tak samo jest ze mną! Ja znam swojego tatę i wiem, że jest w dołku. Trzeba coś z tym zrobić, a Madame Frederick mówi, że czas nam sprzyja. Jemu trzeba miłości. I dostanie ją dzięki mnie.

Carrie uśmiechnęła się z przymusem.

- Naprawdę lubię Madame Frederick, ale do tego, co mówi, należy podchodzić z pewnym dystansem, nie uważasz?

- Tak, wiem, z dystansu wszystko lepiej widać - odparła Mackenzie. -

Tata ciągle mi to powtarza. - Wstała i podekscytowana zaczęła chodzić po pokoju. - No a pani? - zapytała.

- Co ja?

- No, pani. Czy pani zechce umówić się z tatą?

Rozdział 2

- Tato, prawda, że jest ładna?

Philip Lark podniósł wzrok. Siedział przy kuchennym stole i wypełniał protokół wydatków. Jego córka siedziała naprzeciw niego, uśmiechając się ciepło i przytulnie. Coś w sposobie, w jaki się w niego wpatrywała, ostrzegało, że ma nieczne plany.

- Kto? - zapytał, zastanawiając się, czy nie byłoby mądrzej w ogóle nie podejmować tematu.

- Carrie Weston. - Kiedy zobaczyła, że nic mu to nie mówi, wyjaśniła: - Ta pani w windzie. Rozmawiałam z nią dziś po południu. - Wsparła podbródek na dłoniach i nadal wpatrywała się w niego z uwielbieniem. - Moim zdaniem bardzo ładna, a ty co myślisz, tato?

Spojrzenie Philipa powróciło do kolumn cyfr na papierze. Jego córka cierpliwie czekała, aż skończy, choć cierpliwość nie należała do cnót, które dotąd w niej zauważał. Zazwyczaj była niezadowolona, kiedy przynosił pracę do domu. Miała pretensję. Zupełnie jakby robił to na złość. Przecież musiał, do cholery, zarobić na życie.

Dzisiaj jednak była podejrzenie łagodna. Spróbował przypomnieć sobie, o co go właściwie pytała. A tak, chciała wiedzieć, co myśli o Carrie Weston. Co myśli? Zupełnie nie pamiętał, jak ta kobieta wygląda. No, może trochę. Jej wizerunek był dość mętny, ale nie znalazł nic, do czego miałby jakieś zastrzeżenia.

- Polubiłaś ją, prawda? - zapytał, choć nie był pewien,

czy uleganie nastrojom Mackenzie to dobry pomysł. Ostatnio zrobiła się naprawdę niemożliwa. Humorzysta i nierozsądna. Rozumiał, że nie miała ochoty się przeprowadzać, ale przecież jemu też nie było lekko. Na szczęście to tylko kilka tygodni.

Cóż, założył, że córka jest już dojrzała i że pogodzi się z nową sytuacją, ale najwyraźniej się pomylił. Przeliczył się zresztą nie tylko co do dojrzałości Mackenzie. Kiedyś wydawało mu się, że są sobie bliscy, a przez ostatnich parę tygodni nie było chyba dnia, by się nie pokłócili. Z dnia na dzień jego normalna, rozsądna córka zamieniła się w Sarę Bernhardt czy inną królową melodramatu. Mógłby przysiąc, że nie zachowywała się tak, odkąd skończyła cztery lata. Naprawdę nie mógł tego zrozumieć. Nawet kiedy jej matka od nich odeszła, nie było tak źle.

- Carrie jest świetna, naprawdę świetna.

Uśmiechnął się kwaśno. Był zadowolony, że Mackenzie zawiera nowe znajomości, chociaż byłoby lepiej, gdyby zawierała je z kimś w jej wieku. Poza tym i tak wkrótce opuszczą tę kamienicę. Gene Tarkington, jego przyjaciel i właściciel budynku, zaoferował mu dwupokojowe, umeblowane mieszkanie do wynajęcia na tak długo, jak długo potrwa wykańczanie nowego domu nad jeziorem Washington. Jeszcze może pół roku i zmienią sąsiadów, po co więc miałyby się z nimi zaprzyjaźniać? Znow się uśmiechnął, tym razem cieplej. Musiał przyznać, że ci nowi sąsiedzi stanowili niezłą zbieraninę. Kobieta z kryształową kulą, umięśniony sześćdziesięcioletek, który chodził bez koszuli, za to z hantlami w rękach... Sam budynek był w porządku. Nie był to co prawda Ritz, ale przecież nie oczekiwali wielkich luksusów.

- Tato - zaczęła tęsknym tonem Mackenzie - czy myślałeś kiedyś o powtórnym małżeństwie?

- Nie myślałem - odpowiedział stanowczo, zdziwiony zadany wprost pytaniem. Popełnił już jeden błąd i nie zamierzał popełniać kolejnego. Laura i te dwanaście lat, które z nią wytrzymał, nauczyły go o życiu małżeńskim tyle, że wystarczy mu do końca życia.

- Mówisz, jakbyś był na coś wściekły.

- Nie jestem - stwierdził, wpychając spis wydatków do teczki. - Tylko zdecydowany.

- To przez mamę, prawda?

Philip nie miał pojęcia, co ostatnio wstąpiło w jego córkę.

- Dajesz spokój, Mackenzie. Dlaczego miałbym się znowu żenić?

- Na przykład po to, żeby kiedyś mieć syna. ~

- Po co mi syn, kiedy mam ciebie?

Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z jego odpowiedzi.

- Madame Frederick zajrzała w kryształową kulę i twierdzi, że jest ci pisana jeszcze jedna kobieta.

Philip roześmiał się i pokręcił głową. Szklana kuła? Kobieta? Ślub? Kto miałby się ożenić? On? Wolałby jadać tłuczone szkło na kolację. Brodzić przez bagna pełne aligatorów. Albo, jeszcze lepiej, skoczyć z czubka Space Needle.

Nie, nie interesowało go ponowne małżeństwo. Nie w tym życiu.

Niedawno żartował z Genem, że kiedy pomyśli znowu

o ożenku, przypomni sobie receptę, którą kiedyś usłyszał w jakimś komediowym programie: Myślisz o małżeństwie? To znajdź sobie, bracie, brzydką kobietę, której nie będziesz ubił,

1 kup jej dom.

- Carrie jest bardzo podobna do mnie.

Ach, więc do tego zmierza cała ta rozmowa. Chodzi o niego i o Carrie. No dobrze, trzeba to natychmiast skończyć.

- Przestań - zażądał. - Chyba trochę wolno dziś kojarzę, ale już łapię, o co ci chodzi. Chcesz wyswatać mnie z tą...

- skoro zupełnie jej nie pamiętał, nie mógł dobrać odpowiedniego przymiotnika - ...sąsiadeczką.
 - Kobieta, tato. Carrie jest młoda, atrakcyjna, inteligentna i dowcipna.
 - Naprawdę? - Ciekawe, że wcześniej tego nie zauważył.
 - Jest idealna dla ciebie.
 - Kto tak twierdzi?
 - Na przykład Madame Frederick. I ja. Tylko pomyśl, tato. Jesteś w kwiecie wieku i nic tylko pracujesz. Powinieneś cieszyć się owocami swojej pracy.
 - Buduję dom.
 - Bo chcesz zaimponować mamie, żeby wiedziała, jaki popełniła błąd. Słowa córki zmroziły go., Miał nadzieję, że Mackenzie się myli. Chciał mieć nowy dom z różnych powodów, lecz żaden z nich nie miał nic wspólnego z byłą żoną. A przynajmniej tak mu się wydawało.
 - Dlaczego twoją matkę miałby obchodzić dom, który buduję? *
 - Jak to dlaczego? Zastanów się, tato...
 - Zastanawiam się.
 - I co? - rzuciła mu spojrzenie pełne łagodnej wyrozumiałości, co go jeszcze bardziej zirytowało.
 - I nic! Nie mieszajmy do tego Laury, dobrze? Zawsze się denerwował, kiedy o niej mówił lub myślał.
- A przecież jego uczucia do byłej żony dawno znikły. Może więc żal mu było nie tyle jej, co wszystkich lat, które razem przeżyli. Bóg mu świadkiem, że próbował utrzymać to małżeństwo. Nawet kiedy odkrył, że Laura ma romans, gotów był zrobić wszystko, by sprawy jakoś się ułożyły. Przy wielu wysiłkach ułożyły się na parę lat, okazało się jednak, że Philip okłamywał sam siebie, bo tak bardzo pragnął, by im się udało.

Rozwód nastąpił długo po rozpadzie związku, kiedy naprawdę nie było już czego ratować. Zostały mu córka i własna godność - wystarczy. Ostatnią więc rzeczą, na jaką miał ochotę, było ryzykowanie tego z trudem zdobytego spokoju.

- Chcę, żebyś umówił się z Carrie na randkę.

- Co? - Nie mógł uwierzyć, że jego własna latorośl ma taki tupet. -

Mackenzie, na miłość boską, przestań! Nie zamierzam umawiać się z Carrie Westchester ani z nikim innym!

- Carrie Weston.

- Z nią też nie! - Poszedł do kuchni i nalał sobie filiżankę kawy. Wypił łyk, ale wydała mu się niezwykle gorzka. Skrzywił się i wylał resztę do zlewu.

- Przynajmniej tyle mógłbyś zrobić...

- Dyskusja skończona! Nie chcę o tym więcej słyszeć, rozumiano? -

Musiał to powiedzieć na tyle stanowczo, że nie ośmieliła się kontynuować tematu. Był jej za to wdzięczny.

Kiedy znów spojrzał na swoją córkę, zobaczył ją siedzącą pośrodku saloniku z ramionami owiniętymi wokół siebie. Kiwała się w przód i w tył i miała wyjątkowo kwaśną mnę.

- Może poszlibyśmy kupić choinkę? - zaproponował pojednawczym tonem.

Z wyniosłą miną obrażonej królowej odwróciła się do niego, rozważając jednak w duchu tę propozycję.

- Nie, dziękuję - powiedziała po chwili, choć z trudem przyszło jej odrzucić zaproszenie.

- Skoro taka twoja wola, nie ma sprawy.

- A czy nie mówiłeś, że choinka to byłoby w tym roku za dużo zamieszania?

Bo i byłoby, ale ostatecznie mógł się jakoś z tym pogodzić, o ile w ten sposób uwaga jego córki skierowałaby się gdzie indziej.

- Nieduża by się zmieściła - powiedział, czując do siebie

lekkie obrzydzenie. Nie lubił sam sobie zaprzeczać, przetłumaczył sobie jednak, że kompromis bywa czasem konieczny dla zachowania pokoju.

- Podobasz się jej, wiesz?

Boże, ta znowu swoje. Nie musiał nawet pytać, o kim mowa. Jego córeczka uczepliła się myśli, że wyswata go z tą Carrie, i ani myślała zrezygnować z tego pomysłu. Zaciśnął usta, by nie powiedzieć czegoś, czego mógłby potem żałować.

- Opowiedziała mi, co się jej przydarzyło, kiedy była mniej więcej w moim wieku - ciągnęła niezrażona Mackenzie. - Jej rodzice się rozwiedli, kiedy miała pięć lat. Jej mama z nikim się potem nie spotykała. Wyrzekła się nowych związków, tak samo jak ty, więc Carrie poczuła, że musi przejąć sprawy we własne ręce. Trochę jak ja. - Przerwała tylko na tyle, by wziąć głęboki oddech, i po chwili mówiła dalej: - Kiedy Carrie miała kilkanaście lat, jej matka stała się żalną, nieznośną sekutnicą. - Zamilkła i spojrzała na niego znacząco. - Trochę jak ty.

- No wiesz!

- Głrrrie poczuła, że musi coś z tym zrobić, więc zaproponowała jednemu facetowi, że mu zapłaci za umówienie się z jej mamą. I zapłaciła. Z własnych oszczędności, uzbieranych dzięki opiekowaniu się dziećmi i wyprowadzaniu psa sąsiadów. Wzięła wszystko, co udało jej się uciąć, i wyrzekając się własnych potrzeb, zapłaciła temu człowiekowi.

Powiedziała mi, że zrobiłaby wtedy wszystko, by dać swojej biednej, spragnionej miłości matce jeszcze jedną szansę na szczęście.

Philip wzniosł oczy do nieba. Miał wrażenie, że gdyby wyteńczył słuch, usłyszałby w tle rzewne dźwięki skrzypiec.

- Bardzo szlachetnie z jej strony.

- A to jeszcze nie koniec - zapowiedziała Mackenzie.

- Tak? Czyżby był ciąg dalszy? Zignorowała jego sarkazm.

- Kiedy matka dowiedziała się o tym, co zrobiła Carrie, wściekła się na nią.
- I słusznie. - Philip założył ręce i oparł się o drzwi. Zerknął na zegarek, by dać do zrozumienia, że czas na opowieść jest ograniczony. - Co było dalej?
- No właśnie, dalej dopiero działały się cuda! Carrie zniosła dzielnie wściekłość matki i całą awanturę. Wiedziała, że ma rację, więc pokornie przyjęła na siebie wszelkie cierpienia.
- Tony skrzypiec stały się jeszcze bardziej wzruszające.
- Na dwa tygodnie matka zamknęła ją w domu, a potem...
- Zaczęła znowu. Trochę jak ty.
- Wiedziała, że nie wybrała dla matki byle jakiego faceta. Bardzo starannie przyjrzała się wszystkim wolnym mężczyznom w okolicy i zdecydowała się na najlepszego. James... czy jakoś tak, imię nie ma znaczenia... ważne jest to, że Carrie знаła swoją matkę wystarczająco dobrze, żeby wybrać dla niej idealnego kandydata.
- Domyślam się, że ta historia ma jakiś morał, .prawda?
- Oczywiście. - Jej oczy rozbłysły triumfalnie. - Nie więcej niż trzy miesiące potem, no, góra cztery, matka Carrie wyszła za mąż za Jasona!
- Myślałem, że nazywał się James.
- Tato! Jego imię nie ma znaczenia. Ważne jest, że się z nią ożenił i oboje są szczęśliwi do dzisiaj.
- To szczęście musiało drogo kosztować, skoro Carrie oddała wszystkie oszczędności za tę pierwszą randkę.
- Jason ożenił się za darmo.
- A co, była wyprzedaż? Mackenzie zmarszczyła czoło.
- Wcale nie jesteś dowcipny, tato. Carrie powiedziała, że jej mama jest szczęśliwą mężatką już prawie jedenaście lat. Spotkanie Jasona było najszczęśliwszym wydarzeniem jej ży-

cia. Raz do roku, w rocznicę tej pierwszej zorganizowanej przez Carrie randki, mama przysyła jej kwiaty, z wdzięczności, że ta córka, którą wtedy uziemiła na dwa tygodnie, zechciała wyszukać dla niej mężczyznę jej marzeń.

Skrzypce zamilkły, zastąpił je chór śpiewający „Alleluja!”. Philip musiał przyznać, że jego córka jest mistrzynią melodramatu.

- A teraz - powiedziała, z ulgą wypuszczając powietrze - ty umówisz się z Carrie, prawda? Tato, czy to nie wspaniałe? Ona jest dla ciebie idealna. Wiem, co lubisz, a czego nie. Carrie jest miła i inteligentna...

- Nie.

- Jak to nie? Nie jest miła?

- Nie wiem, jaka jest. I nie mam zamiaru się przekonać. Nie umówię się z nią, Mackenzie.

Ziewnął ostentacyjnie, by dać jej do zrozumienia, że jest zbyt zmęczony na podobne rozmowy, jednak Carrie nie dawała za wygraną.

- Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale marzę o zostaniu starszą siostrą. Carrie została siostrą dla swoich dwóch przyrodnych braci.

- Dzięki, ale nie. - Ten dzieciak naprawdę zaczynał go przerażać. Nie dosyć, że usiłowała umówić go na randkę z kobietą, którą raz widział na oczy, to już planowała, że będą mieli dzieci!

- Tato, posłuchaj mnie. Nie musisz tego robić, bo ja cię o to proszę. Zrób to dla siebie samego. Zrób to, zanim twoje serce zamieni się w pustą skorupę, a ty w zgorzkniałego starucha.

- Hej, jeszcze nie umieram - zaprotestował. - Zostało mi dobre czterdzieści lat.

- Może i tak - mruknęła sceptycznie Mackenzie, po czym

z nosem wysoko zadartym wyszła z pokoju jak aktorka schodząca ze sceny po oklaskach.

Philip otworzył teczkę, uśmiechając się do siebie. Wyjął segregator, po chwili zawahał się i zmarszczył brwi. Że jego córka zachowuje się jak primadonna to jedno, ale że dorosła kobieta karmi ją tymi bzdurami to już znacznie poważniejsza sprawa. Niewiele wiedział o pannie Carrie Weston, lecz gdy spotkali się z nią w windzie, odniósł wrażenie, że przygląda mu się uważnie. Czyżby była nim - jak to się mówi

- zainteresowana? Jeśli tak, to lepiej wszystko wyjaśnić jej od razu. A jeżeli, co gorsza, zamierzała wykorzystywać do swych niecznych planów jego córkę, to dostanie niezłą nauczkę.

Podjąwszy decyzję, zatrzasnął teczkę i skierował "się do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytała Mackenzie.

- Porozmawiać z twoją przyjaciółką - warknął.

- Z Carrie? - pisnęła podekscytowana. - Nie pożałujesz, tato, obiecuję.

Jest naprawdę miła i wiem, że ją polubisz. Jeśli jeszcze nie zdecydowałeś, gdzie ją zabrać na kolację, to proponuję restaurację Henry's. Byliśmy tam na moje urodziny, pamiętasz?

Philip uznał, że nie jest to właściwy moment na informowanie córki, iż bynajmniej nie zamierza zapraszać Carrie Weston na kolację. Wyszedł bez słowa z mieszkania i niemal wpadł na starszą panią z kryształową kulą.

- Dobry wieczór, panie Lark. - Madame Frederick powitała go ze wszystkowiedzącym uśmiechem. Spojrzała na niego, potem na kulę, a jej uśmiech jeszcze się poszerzył.

- Proszę to trzymać z dala ode mnie - oznajmił stanowczo.

- Nie życzę sobie, żeby pani ogłupiała tymi bzdurami moją córkę, jasne?

- Skoro tego pan sobie życzy... - odparła z godnością.

Wyminęła go i oddaliła się korytarzem niczym królowa po audiencji dla poddanych. Nie można było nie spostrzec, że tym samym krokiem jego córka wyszła kilka chwil temu z pokoju. Westchnął ciężko, pokręcił głową i ruszył po schodach w dół, zeskakując po dwa stopnie.

Kiedy dotarł do mieszkania Carrie Weston, dyszał ciężko i był jeszcze bardziej wściekły. Otworzyła drzwi, gdy tylko zapukał.

- Pan Lark? - Jej oczy otworzyły się ze zdumienia akurat na odpowiednią szerokość, jakby od pięciu minut ćwiczyła tę minę przed lustrem.

- Zdaje się, że powinniśmy porozmawiać.

- Właśnie teraz?

- Natychmiast.

Rozdział 3

Carrie Weston rzeczywiście była śliczna. Wtedy, w windzie, tego nie zauważył, teraz jednak musiał przyznać, że dziewczyna jest bardzo atrakcyjna. Miała niebieskie oczy, jasne i przejrzyste, promieniowało z niej ciepło i życzliwość. Gdy zaś patrzyła na niego wyczekująco, gniew topniał w jego sercu i zamieniał się w...

Chrząknął z zakłopotaniem i zmarszczył czoło, jakby chciał sobie przypomnieć, po co właściwie tu przyszedł. Zajął mu to dość długą chwilę, a kiedy wreszcie odtworzył w pamięci rozmowę z córką, uznał nieoczekiwanie, że w tym, co o nim nawygadywała, jest być może ziarnko prawdy.

- Muszę z panią porozmawiać o Mackenzie - wykrztusił w końcu.

- To urocza dziewczynka. Mam nadzieję, że nie przetrzymałam jej za długo - powiedziała przeproszającym tonem Carrie, sięgając jednocześnie po kurtkę.

- Chodzi o waszą dzisiejszą rozmowę...

Tak, domyślam się. Przepraszam, to dłuższy temat, a ja nie mogę teraz z panem rozmawiać. Zawsze w środy karmię koty pani Marii. Już jestem spóźniona.

Co za koty, u licha? Czyżby to była wymówka, by się go pozbyć? Nie, Philip Lark nie da się spławić tak łatwo. Był zdecydowany doprowadzić sprawę do końca.

- Koty? To cudownie. Mogę się przyłączyć? Wyglądała na trochę zdziwioną, ale się zgodziła.

- Jeśli ma pan ochotę.

Sięgnęła po pięciokilogramową torbę z kocią karmą i postawiła ją na progu. Philip wiedział, że pewna starsza pani z tej kamienicy trzyma mnóstwo kotów. Gene opowiadał mu

o emerytowanej nauczycielce, która mieszka tu od ponad piętnastu lat, płaci czynsz w terminie i przygarnia wszystkie bezdomne stworzenia. Tolerował jej zwyczaj, ale go nie pochwalał.

- Lepiej będzie nałożyć coś na siebie - doradziła Carrie, zamykając mieszkanie.

- Jeszcze? - Czy chciała zasugerować, że starsza pani utrzymuje w mieszkaniu temperaturę poniżej zera?

- Będziemy musieli wyjść na dwór.

- Aha - mruknął, po czym zostawił ją na chwilę i pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz. Gdy wpadł do mieszkania, Mackenzie zerwała się na równe nogi.

- Co jej powiedziałaś? - zapytała z przejętą miną.

- Na razie nie. - Zdarł kurtkę z wieszaka. - Ale powiem jej, co o tym wszystkim myślę, możesz być tego pewna.

- To dlaczego nie powiedziałaś jej tego od razu?

- Na razie... - zawahał się - na razie pomagam jej karmić koty.

Twarz córki rozjaśniła się natychmiast.

- Naprawdę? To prawie jak randka, nie sądzisz?

- Nie, do cholery! - warknął i narzucił na plecy kurtkę.

- Carrie pytała, czy w sobotę miałabym ochotę pomóc jej i jej dwóm braciom piec ciasteczka. Mogę, prawda?

- O tym porozmawiamy później - odparł, coraz bardziej zdenerwowany. Nie dość, że Carrie Weston zamąciła jej w głowie, to już zaczynała decydować o jej zajęciach. Wcale mu się to nie podobało.

Coraz bardziej bojowo nastawiony, zamknął drzwi i dołączył do Carrie na schodach. Gdy jednak ją zobaczył, bojowy

nastrój szybko się ulotnił. Cholera, może powinien porozmawiać z nią kiedy indziej? Nie był pewien, dlaczego właściwie postanowił towarzyszyć jej w karmieniu kotów. Zależało mu na tym, by wyjaśnić sytuację, to prawda, ale w tym celu nie musiał koniecznie łązić za nią z torbą kociego żarcia.

- Maria bardzo kocha koty - tłumaczyła tymczasem Carrie, kiedy zjeżdżali windą na parter. - Moim zdaniem nie powinna sama chodzić po nocy i karmić te bezpańskie. To zbyt niebezpieczne.

A więc o to chodzi - o karmienie bezpańskich kotów!

- Ale Maria nie mogłaby ich zostawić bez pożywienia. Mówi, że to jej biedne, bezdomne dzieciaczki.

Wyszli na zewnątrz, zimne powietrze'Uderzyło ich w policzki.

- Często je karmi? - zapytał Philip, idąc za Carrie dobrze oświetloną ulicą.

- Codziennie - odpowiedziała i parę domów dalej skręciła w ciemną alejkę. Przed chwilą stwierdziła, że samotne chodzenie po nocy jest niebezpieczne dla Marii. Philip wcale nie uważał, by dla niej samej było mniej ryzykowne.

Rozejrzał się wokół, dostrzegając jedynie rząd zielonych pojemników na śmieci. W połowie alejki usłyszał powitalne miauknięcia kilku kotów i wtedy Carrie wyciągnęła z któregoś śmietnika kartonowe pudełko i przełożyła do niego sporą porcję jedzenia. Koty zwawo do niej podbiegły, jeden buras prześlizgnął się między jej stopami, jego ogon musnął smukłą łydkę. Carrie przykucnęła i ręką w rękawiczce pogłaskała kocura po grzbiecie.

- To Brutus - oznajmiła. - A to Jim Dandy, Guziczek, Sokół i Królowa' Pszczół.

- To pani ponadawała im imiona?

- Nie ja, Maria. To są jej przyjaciele. Żyją samotnie na

ulicy od tak dawna, że nie umiałyby przeprowadzić się do jej mieszkania. Dlatego Maria opiekuje się nimi tutaj. Wie pan, że wyleczyła Brutusa, kiedy w bójce stracił oko? Jak go znalazła, ledwo żył. Pozwolił się sobą zająć, ale potem wrócił do siebie. Leżenie na kanapie przed telewizorem to zajęcie nie dla niego. Zdaje się, że właśnie po tym zdarzeniu Maria zaczęła dokarmiać bezpańskie koty. Pomagam jej raz w tygodniu. Arnold i inni sąsiedzi też.

Temat był całkiem interesujący, lecz przecież Philip nie o tym chciał rozmawiać z Carrie Weston.

- Wspominałem już, że chciałem z panią porozmawiać o Mackenzie.
- Oczywiście. - Carrie pogłaskała każdego kota, wyprostowała się i ruszyła w głąb alejki.
- Wróciła od pani z głową pełną idiotycznych pomysłów.
- Tak?
- Wciąż opowiada o naszych wspólnych randkach. Rozumie pani, moich i pani...

Zauważył, że Carrie zaczerwieniła się lekko. Może więc ma choć odrobinę poczucia przyzwoitości

- Obawiam się - westchnęła - że to ja ją na to naprowadziłam. Jest mi naprawdę niezmiernie przykro, panie Lark. Wszystko zaczęło się od niewinnej rozmowy o rodzicach. Moi też się rozwiedli, więc...
- Tak, tak, wiem. Kiedy miała pani cztery czy pięć lat, o ile dobrze pamiętam. Mackenzie powiedziała mi też, że jako dziecko zapłaciła pani komuś za umówienie się z pani mamą.
- O, nie... - Carrie na chwilę zamknęła oczy. - Nic dziwnego, że chciał pan ze mną porozmawiać. - Rzuciła mu pełne winy, zawstydzone spojrzenie. - Jeśli pana to interesuje... rzeczywiście zapłaciłam. Tylko że wybrany przeze mnie kandydat obruszył się i odmówił.

- Ostatecznie zrobił jednak, o co go pani prosiła.

- No, niezupełnie... Naprawdę bardzo pana przepraszam, domyślam się, że nie musi pan tego wszystkiego słuchać. Chyba powinnam jeszcze raz porozmawiać z Mackenzie. Postaram się wyjaśnić jej, że nie powinna brać ze mnie przykładu. Prawdę mówiąc - spojrzała na niego niepewnie - bałam się, że wykręci taki numer. Powinnam była domyślić się, o co jej chodzi, i ostrzec pana zawczasu. Nie przyszło mi do głowy, że zaraz pobiegnie do domu i powtórzy każde słowo.

- Och, moja córka ma własny rozumek - uśmiechnął się pojednawczo. - I zdaje się, że bardzo panią polubiła.

Musiał przyznać, że Carrie Weston zrobiła na nim lepsze wrażenie, niż się spodziewał. To zakłopotanie, szczerłość w jej spojrzeniu, gotowość naprawienia popełnionych błędów.

Nie bez znaczenia była też jej uroda oraz to, że Carrie tak szybko zdobyła przychylność jego córki. Teraz był nawet zadowolony, że zaprzyjaźniły się ze sobą. Mackenzie potrzebowała kobiecego wzoru, a skoro jej własna matka przestała interesować się swoim dzieckiem, wrażliwa i rozsądna Carrie mogłaby zrobić wiele dobrego. On sam, choć się starał, w żaden sposób nie umiał złagodzić córce zadawanego przez matkę bólu. Bolało go słuchanie, jak Mackenzie wymyśla usprawiedliwienia dla obojętności i nieczułości Laury.

Postanowił dowiedzieć się o nowej znajomej córki nieco więcej i zaproponował, by przestali rozmawiać o Mackenzie, a zaczęli rozmawiać o sobie. Zanim doszli do następnego śmietnika, wiedział już, że Carrie pracuje w Microsofcie, że ma w tych okolicach mnóstwo krewnych i że uwielbia swoich dwóch przyrodnych braci.

Gdy dotarli na miejsce, kolejne bezpańskie koty wyłoniły

się z mroku i podeszły do Carrie. Przemawiając do nich łagodnie, rozłożyła pokarm na plastikowych talerzykach, po czym znów zwróciła się do Philipa:

- A wracając do pana córki, to dostrzegłam w niej dużo z siebie. Kiedyś Hłam w jej wieku, zachowywałam się podobnie. Ja też miałam rozwiedzionych rodziców. Ojciec od nas odszedł, a z matką wciąż darłyśmy koty. Też cierpiałam z powodu braku miłości, odrzucenia i niezrozumienia.

- Zaraz, zaraz. Twierdzi pani, że nie jestem dobrym ojcem?

- Ależ nie - zaprzeczyła automatycznie. - Chyba w ogóle nie powinnam się odzywać. Naprawdę przepraszam za to, co się stało. Może pan mieć pewność, panie Lark, że nie usiłuję wykorzystać pańskiej córki, by... - spuściła wzrok - zbliżyć się do pana.

- A to zaproszenie na pieczenie ciasteczek? Nadal jest aktualne? - zapytał. Jeżeli nie, to Mackenzie da mu popalić.

- Ach, rzeczywiście, ciasteczka - przypomniała sobie i znów spojrzała na niego nieśmiało. - Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie, jeżeli nasze wzajemne stosunki od początku będą jasne. Nie interesuje mnie związek z panią, pani Weston. To znaczy... - zreflektował się i popatrzył na nią z zakłopotaniem - proszę nie traktować tego osobiście. Jest pani młoda, atrakcyjna, pewnego dnia uczyni pani z pewnością szczęśliwym jakiegoś mężczyznę... - przerwał, uświadomiwszy sobie, jak idiotycznie muszą brzmieć te słowa. - Ale to nie będę ja - zakończył.

- Ależ ja nigdy... pan nawet nie jest... - urwała i wpatrzyła się w niego groźnie. - Może pan być pewny, panie Lark, że z mojej strony nic panu nie grozi.

- W takim razie dobrze, że wzajemnie się rozumiemy.

Ależ ten facet ma tupet!

Carrie ściągnęła rękawiczki i ze złością rzuciła je na szafkę. Powiesiła kurtkę, przeszła przez hol i usiadła po turecku na kanapie. Po chwili wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Philip Lark naprawdę wierzył, że mogłaby wykorzystać jego córkę, by go poderwać! To ci dopiero wybujałe ego! Był niewątpliwie najbardziej zadufanym w sobie, najbardziej próżnym egoistą, jakiego miała przyjemność - czy raczej nieprzyjemność - spotkać. Teraz nie umówiłaby się z nim, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na świecie! Zadzwoił telefon. Spojrzała na niego z niechęcią, lecz po chwili podniosła słuchawkę.

- Carrie? - usłyszała znajomy szept. Dzwonił jej ojczym, Jason Manning.

- Tak - odpowiedziała. - Czy szepczesz z jakiegoś konkretnego powodu?

- Żeby twoja matka nie usłyszała.

- Ach, rozumiem. - Uśmiechnęła się mimo wściekłości na Philipa Larka. - Coś się stało?

- Dzisiaj załatwiłem dla Charlotte prezent pod choinkę -oznajmił, niezwykle z siebie zadowolony. Carrie wiedziała, że kupowanie prezentów świątecznych nie przychodzi mu łatwo. Póki nie poznał matki, był zdeklarowanym kawalerem i wybieranie upominków dla kobiet było dla niego czystą abstrakcją. Na pierwsze święta po ślubie kupił na przykład Charlotte kulę do kręgli, karnet na wszystkie mecze Seattle Seahwks w sezonie wiosennym i odkurzacz. Od tego czasu Carrie starała się dyskretnie konsultować jego kolejne zakupy.

- Wiesz, jak twoja matka lubi wyprzedaże?

- Trudno tego nie zauważyć - odparła.

- No więc mój przyjaciel wynajmuje się jako szofer z li-

muzyną. Zamówiłem go, żeby obwiózł Charlotte przez jedną sobotę po wszystkich wyprzedażach. Ona sama wybierze termin. - Z podniecenia podniósł głos o kilka decybeli. - Będzie zachwycona, prawda?

- W każdym razie będzie się znakomicie bawiła - Carrie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Też tak myślę - stwierdził dumnie. - Jeff daje mi dwadzieścia procent zniżki.

- Uważam, że zabranie mamy na całodzienne zakupy do miasta to naprawdę dobry pomysł. Zwłaszcza że będziesz jej towarzyszył.

- No cóż, słono się płaci za zadowolenie żony. - Jason nie wydawał się mimo wszystko zachwycony perspektywą wspólnego kupowania.

- Na pewno będziesz się dobrze bawił - zachichotała. - A Doug i Dillon zostaną u mnie. Będziemy piec ciasteczka.

- Nie mogę uwierzyć, że sam to wymyśliłem - westchnął Jason. - Wiesz, Carrie, ja chyba naprawdę ją kocham. Żadna iana osoba nie zdołałaby zaciągnąć mnie do miasta w sezonie przedświątecznym.

- Jestem pewna, że mama to doceni. Ona też cię kocha. Carrie nigdy nie wątpiła w ich miłość. Rzadko dwoje ludzi

tak do siebie pasuje. Odbijało się to zresztą i na niej, bowiem odkąd matka poślubiła Jasona, Carrie porównywała każdego nowo poznanego mężczyznę z wiecznie zakochanym w Charlotte ojczymem. Jason był jednak nie tylko największym romantykiem wśród mężczyzn - samo wspomnienie wyrazu twarzy mamy, kiedy rozpakowała tę kulę do kregli zawsze wywoływało u niej napad śmiechu - ale także oddanym mężem i ojcem.

Ojcem także dla niej, bowiem Jason Manning kochał Carrie i troszczył się o nią jak o rodzoną córkę. Żadna nastolatka nie

mogła marzyć o lepszym ojczymie. Tym bardziej go doceniała, im więcej słyszała ponurych opowieści od koleżanek będących w podobnej sytuacji. Rozmowę przerwał im dzwonek do drzwi.

- Kończę - szepnął Jason. - Słyszę, że masz gości. Obiecuj, że nic nie powiesz mamie.

- Będę milczeć jak grób - obiecała. Limuzyna wożąca matkę na wyprzedaje! Zachichotała na samą myśl, odłożyła słuchawkę i pobiegła do holu. Kogo znowu diabli niosą? Miała za sobą męczący dzień, była głodna, wściekła i nie miała nastroju na towarzystwo.

- Cześć! - zawołała Mackenzie, gdy Carrie uchyliła drzwi. - No i jak poszło?

- Co poszło? - Carrie zmarszczyła czoło.

- Aż tak źle? - Dziewczynka zaśmiała się beztrąsko. - Proszę się nie martwić, będzie lepiej, jak tata się oswoi z myślą o chodzeniu na randki. Dawno tego nie robił.

- Posłuchaj, Mackenzie, musimy o tym porozmawiać. Twój tata nie jest zadowolony z twojego zachowania. Szczerze mówiąc, ja także...

- Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać. Tata nie wie, że wyszłam. Ale musiałam powiedzieć pani słowo, zanim się pani zniechęci. Proszę nie tracić nadziei. Trzeba mu tylko dać trochę czasu. - Posłała jej szeroki, zachęcający uśmiech. - To ci dopiero! Niech tylko Jane usłyszy, jak znalazłam tacie żonę! Jane to moja najlepsza przyjaciółka - wyjaśniła. - Była przyjaciółka, no bo teraz się przeprowadziliśmy. Do zobaczenia w sobotę - dodała jeszcze i zniknęła.

Carrie przekreśliła zamek i zamknęła oczy, zniechęcona i przygnębiona.

Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

- Czego znowu? - jęknęła i otworzyła je ponownie.

36

W drzwiach uśmiechała się do niej Madame Frederick. Za nią stał Arnold. Oboje wpatrywali się w nią z nieskrywaną ciekawością.

- Poznała go już? - zapytał Arnold. Rozpromieniona Madame Frederick popatrzyła na niego

swoim wszytkowiedzącym spojrzenie n.

- Sam zobacz. - Uniosła kryształową kulę i pogładziła gładką powierzchnię szkła. - Jedno spojrzenie i wiesz wszystko.

Rozdział 4

Cienka warstwa mąki pokrywała dokładnie całą podłogę kuchni. Carrie wachlowała się rękami, ale niewiele to pomagało. Zapach pieczonych piernikowych ludzików unosił się w mieszkaniu mimo pootwieranych okien. Tak właśnie wyglądało pieczenie ciasteczek z Mackenzie, Dougiem i Dillonem.

Ten ostatni stał właśnie na krześle i pochylony nad robotem kuchennym uważnie obserwował, jak łopatkki ubijają ciasto. Doug stał za stołem, z rękawami podciągniętymi powyżej łokci i wałkiem w dłoniach.

Mackenzie ostrożnie zgarniała świeżo upieczoną ciasteczkę z blachy i przenosiła na drucianą podstawkę, by wystygły.

- Jak myślisz, da się wyczuć te skorupki przy jedzeniu? - zapytała.

- W przepisie były dwa jajka - powiedział Dillon na swoją obronę. - A Carrie powiedziała, żeby dać całe jajko. Skąd miałem wiedzieć, że bez skorupki?

- To się po prostu wie - poinformował go z pewnością siebie starszy brat. Było oczywiste, że gdyby to on dodawał jajka do mąki, nie zrobiłby takiego głupstwa.

- Mówiłam, że nie ma się czym martwić - uspokajała Carrie, z nadzieją że Dillon zapomni wreszcie o tej plamie na swoim honorze. - Trochę dodatkowego białka na pewno nikomu nie zaszkodzi. - Większość skorupki udało jej się wyciągnąć, a to, co złapały łopatkki robota, zostało rozbite na puch i na pewno nie dawało się wyczuć.

Mackenzie wzniosła oczy do nieba, ale i tak widać było, że się świetnie bawi. Zapałała natychmiastową sympatią do Douga i Dillona, a oni też od razu ją polubili. Po godzinie byli trójką najlepszych przyjaciół.

- Ja też chcę ozdabiać ciasteczka! - krzyknął Dillon, widząc, że Carrie skończyła przygotowywać lukier.

- Ale nie możesz lizać noża - ostrzegł go brat. - Inni też będą jeść te ciasteczka.

- Lukru jest tak dużo, że dla wszystkich starczy.

- A kto zje pierwszego ludzika?

Cała trójka popatrzyła na siebie niepewnie.

- Dillon zje - oznajmił stanowczo Doug.

- Dobra - mruknął odważnie najmłodszy brat - mogę zjeść. Carrie powiedziała, że skorupki nie da się wyczuć. - Zszedł z krzesła i sięgnął po ciasteczko. - Może na wszelki wypadek daj trochę lukru? - poprosił, spoglądając na Carrie.

Nałożyła mu na ciasteczko grubą warstwę lukru, Dillon zamknął oczy i otworzył odważnie buzię. Pozostali wpatrywali się, w niego z napięciem, czekając, co się stanie. Sześciolatek odgryzł pierwszy kęs, po czym szybko pochłoniął resztę.

- Może na wszelki wypadek zjem dwa - zaproponował. - Żeby się upewnić.

Carrie roześmiała się i podała mu kolejne ciastko.

- Czekaj, lepiej sam spróbuję - oznajmił Doug i chwycił piernikowego ludzika. Włożył go do ust w całości i pokiwał głową z uznaniem. - Niezłe - wymamrotał z pełną buzią.

- Dla nas też zostanie, prawda? - dopytywał się Dillon, sięgając po nóż i naczynie z lukrem.

- Oczywiście, ale trochę obiecałam Arnoldowi, Marii i Madame Frederick.

- Jasne. Mogę już lukrować?

- Ja też chciałem! - włączył się Doug.

- I ja! - zawołała Mackenzie.

Dwie godziny później Carrie była wykończona. Doug i Dillon skończyli wycierać naczynia i zasiedli oglądać swój ulubiony film na wideo. Carrie siedziała oklapła na stołku, a Mackenzie kończyła ozdabiać buzie piernikowych ludzików czerwoną cynamonową farbą.

- Tata się spóźnia - stwierdziła z wyrozumiiałym westchnieniem. - Ale on zawsze wraca później, niż zapowiada. Wiesz, on w ogóle nie ma życia. - Spojrzała na Carrie, by upewnić się, że ta ją słucha.

- Umawialiśmy się... - przypomniała Carrie, grożąc dziewczynce palcem.

- Pamiętam - westchnęła zrezygnowana Mackenzie. Carrie kategorycznie zakazała jej jakichkolwiek opowieści

o Philipie. Było to rozwiązanie drastyczne, ale konieczne. Inaczej Mackenzie nie przepuściłaby żadnej okazji do użalania się nad swoim biednym, samotnym ojcem, który tak rozpaczliwie potrzebuje damskiego towarzystwa, że dosłownie starzeje się w oczach. Carrie potrafiła powtórzyć całą tę przemowę z pamięci, słowo w słowo.

Całe dwa dni przekonywała dziewczynkę, że nie jest zainteresowana jej tatą, niezależnie od tego, jak doskonale wydają się do siebie pasować w jej wyobraźni. W wyobraźni Mackenzie, rzecz jasna. Podejrzewała, że podobne zapewnienia Mackenzie słyszy codziennie od ojca. Przez te trzy dni, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, Philip unikał jej ostentacyjnie, zresztą Carrie również uważała, by go nie spotkać. Oboje robili wszystko, żeby nie dostarczyć dziewczynce dowodów na to, że jej plan działa.

- Naprawdę szkoda - mruknęła Mackenzie, wpatrując się w nią uważnie. - Madame Frederick uważa, że mam rację.

1 Arnold, i Maria...

- Dość! - Krzyknęła tak głośno, że chłopcy oderwali wzrok od telewizora. Mackenzie bez słowa skończyła dekorować ciasteczka, Carrie rozłożyła je na trzech dużych plastikowych talerzach, każdy zawinęła w przezroczystą folię, a na wierzchu przylepiła kolorową kokardę.

- Ja zaniosę Arnoldowi - zaofiarował się Doug. Były cyrkowiec zafascynował starszego z jej przyrodnych braci. Arnold, ze swoją łysą głową, sumiastymi wąsami i wielkimi muskularni uosabiał stereotyp atlety. Jego jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesności były jaskrawoczerwone elastyczne szorty, nakładane na niebieskie trykoty, toteż kiedy Doug zobaczył go po raz pierwszy, myślał, że ma do czynienia z wyłysiałym Supermanem.

- Czy Maria pozwoli mi pogłaskać koty? - zapytał Dillon.

- Na pewno.

- Czyli dla mnie zostaje Madame Frederick - stwierdziła Mackenzie, bynajmniej nie rozczarowana. Zerknęła w stronę kuchni i Carrie zrozumiała, że chce sprawdzić, czy zostało dosyć ciasteczek dla ojca. Carrie już dawno odłożyła dla niego porcję, o czym powiedziała jej dopiero teraz.

- Dzięki - rozpromieniła się Mackenzie. - Tata na pewno się ucieszy. Po chwili cała trójka zniknęła, a Carrie opadła na kanapę. Oparła głowę na poduszkach i zamknęła oczy, rozkoszując się ciszą i spokojem. Niestety, spokój nie potrwał długo. Doug wkrótce wrócił, za nim Mackenzie i na końcu Dillon. Co gorsza, przyszedł do niej ktoś jeszcze.

- Carrie Weston? Jest w domu - oznajmił jej braciszek w progu mieszkania. - Proszę wejść.

Philip! Carrie z przerażeniem uświadomiła sobie, jak musi

wyglądać po kilku godzinach spędzonych w kuchni. Mąka opadała w końcu nie tylko na podłogę. Rano nie zwracała sobie głowy makijażem i nałożyła najbardziej zdarte dżinsy. Do tego rozciągnięty T-shirt, poplamiony fartuch, włosy upięte na czubku głowy...

- Tata! - zawołała uradowana Mackenzie i pobiegła rzucić mu się na szyję.

Carrie wstała i pośpiesznie zdjęła fartuch. Philip przyjrzał jej się uważnie, w jego oczach dostrzegła błysk rozbawienia.

- Pewnie powinienem był zapukać - stwierdził, wskazując na Dillona. - Ale twój przyjaciel twierdził, że mogę śmiało wchodzić.

- Jasne, nie ma sprawy. - Zaciśnęła pięści, po chwili je rozprostowała.

Wytarła spocone dłonie w spodnie. Przypomniała sobie matkę, która opowiadała jej kiedyś, jak bardzo była skrepowana w obecności Jasona na samym początku ich znajomości. Carrie nigdy nie mogła tego zrozumieć, gdyż jej samej z nikim nie rozmawiało się tak łatwo, jak właśnie z Jasonem.

Teraz zrozumiała.

- Czy Mackenzie była grzeczna? - zapytał Philip.

- Bardzo mi pomogła - zapewniła.

- Mama nie dzwoniła? - Mackenzie podeszła do ojca i popatrzyła na niego z nadzieją w oczach.

Pokręcił głową, a dziewczynka skuliła się natychmiast i przygasła, wyraźnie zawiedziona.

- O tej porze roku zawsze jest zajęta - zaczęła tłumaczyć, nie zwracając się właściwie do nikogo konkretnego. - Nic dziwnego, że nie mogła zadzwonić, skoro ma na głowie tyle spraw... i w ogóle.

Carrie z trudem powstrzymała pragnienie wzięcia dziewczynki w ramiona. Philipowi również musiało ścisnąć się serce, bowiem przygarnął córkę do piersi i zaproponował:

- Mam pomysł. Może poszlibyśmy do kina? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byliśmy razem na jakimś filmie.

- Naprawdę? - Mackenzie podniosła głowę, jej oczy rozbliły w jednej chwili.

- Oczywiście. Wybierz tylko film. Wymieniła ostatni przebój Disneya.

- Czy Doug i Dillon też mogą pójść? - zapytała.

- Pewnie - Philip-uśmiechnął się do córki.

- A Carrie?

- Ja... nie mogę - wtrąciła się, zanim Philip zdążył odpowiedzieć i wprawić ich oboje w zakłopotanie.

- Dlaczego nie? - zapytał Doug. - Mówiłaś, że skończy liśmy z ciasteczkami. A ten film jest strasznie fajny.

- Byłoby mi bardzo miło - dodał nieoczekiwanie Philip. Patrzył jej w oczy, a jego propozycja wydawała się szczerą. Najwyraźniej uznał, że troje dzieci wystarczy zamiast przy-zwoitki.

- Jest pan pewien?

- Pewnie, że jest pewien! - poparła go Mackenzie. - Tata nie odzywa się, jeśli nie jest pewny tego, co mówi. Prawda, tato?

- No... tak. - Teraz nie wydawał się już taki pewien, ale wciąż patrzył na Carrie zachęcająco.

Przez chwilę miała ochotę wysłać go samego z dziećmi, ale zaraz zmieniła zdanie. Doug miał rację - dobrze byłoby gdzieś wyjść, a dziecięcy film mógł być wspaniałym relaksem po ciężkim dniu. Pójście całą piątką do kina to przecież żadne ryzyko.

W swojej naiwności zapomniała, że dla dzieci siedzenie w kinie obok rodziców to publiczna hańba. Gdy więc tylko weszli na salę kinową, cała trójka zgodnie usadowiła się kilkanaście rzędów od Philipa i Carrie, oni zaś zostali skazani na swoje wyłączne towarzystwo.

- Myślałam, że usiądziemy razem - próbowała protestować, lecz Dillon natychmiast pospieszył z repliką:

- Razem? To dobre dla maluchów.

Sala szybko się zapełniała i wkrótce nie było już możliwości, by usiąść razem. Carrie z wahaniem zajęła fotel obok Philipa, żadne z nich się nie odezwało. Najwyraźniej jemu też nie podobał się taki obrót rzeczy.

- Może popcornu? - zapytał, podsuwając jej papierową torbę.

- Nie, dziękuję - odparła i zerknęła na zegarek, zastanawiając się, kiedy wreszcie zacznie się film. - Mam nadzieję, że nie myśli pan, że to ja zorganizowałam to wszystko.

- Niby co?

- To, że siedzimy tylko we dwójkę. - Nie chciała, by oskarżał ją o intrygi, lecz biorąc pod uwagę skłonność Philipa do podejrzewania innych o nieczne zamiary, było to całkiem prawdopodobne. Nie, żeby miała mu to za złe. To w końcu ona niechcący podsunęła Mackenzie pomysł ze swatami.

- A dlaczego miałbym panią o to podejrzewać? - Wydawał się zaskoczony samym przypuszczeniem.

- Czy mam przypomnieć panu naszą ostatnią rozmowę? - zapytała, nieco zirytowana. - Zdaje się, że był pan przekonany, iż usiłuję pana uwieść.

Philip roześmiał się głośno. Wcale nie wyglądał na skruszonego.

- Proszę mi wierzyć, nie o siebie się obawiałem - wyjaśnił. - Raczej o to, że Mackenzie zrobi nam prawdziwe piekło, pani i mnie. Że będzie natrętna, namolna, nieznośna, irytująca. Proszę o wybaczenie, jeżeli nie byłem zbyt uprzejmy. Usiłowałem tylko ochronić nas przed intrygami mojej córki. Musi pani wiedzieć, że Mackenzie jest prawdziwą mistrzynią melodramatu.

Carrie miała na ten temat nieco inną opinię, zachowała ją jednak dla siebie.

- Nie zamierzam pozwolić, by córka organizowała mi życie intymne - mówił tymczasem Philip. - Dlatego, na wszelki wypadek, odbyłem wtedy z panią tamtą rozmowę. A teraz proszę się odprężyć i oglądać film - uśmiechnął się grzecznie i jeszcze raz podsunął jej pojemnik z popcornem. Tym razem Carrie wzięła garść i zaczęła wkładać do ust kolejne ziarna. Philip uśmiechnął się uspokojony, światła przygasły i rozpoczął się film.

Film był wspaniały i całkowicie wciągnął Carrie. Philip również dobrze się bawił - śmiał się wraz z nią, dowcipkował, całe napięcie istniejące dotąd między nimi zdawało się znikać bez śladu. Carrie żałowała nawet, że film nie był dłuższy. Bardzo jej się podobał, lecz poza tym odkryła, że towarzystwo Philipa sprawia jej przyjemność. Oczywiście, wolałaby odkryć u niego jakieś wady. Tiki nerwowe, irytujące gesty czy wyrażenia, niewłaściwe podejście do świata, cokolwiek, co pozwoliłoby, jej zapomnieć, że jest miły, atrakcyjny i że ona, Carrie, ma ochotę go polubić.

On jednak dał jej już raz do zrozumienia - i to w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości - że nie jest nią zainteresowany. Ani kimkolwiek innym, gdyby miało ją to pocieszyć.

Nie pocieszało. Byłoby jej łatwiej, gdyby był zimny, nieprzystępny, surowy i sztywny. Gdyby miał kochanki, co noc inną. Niestety, jeśli wierzyć Mackenzie, po odejściu żony nie zainteresował się żadną kobietą. Troszczył się o córkę, choć bywał dla niej surowy, a w kinie odkryła, że umie być bezpośredni, dowcipny i że lubi się bawić. Wreszcie najważniejsze - Philip Lark miał dobre serce. Carrie wiedziała, że oglądają ten film nie dlatego, że objawił nagłe zamiłowanie do zabie-

rania córki do kina. zaproponował to wyjście, bo widział, jak bardzo Mackenzie jest rozczarowana, że matka do niej nie dzwoni. Kochał swoją córkę i próbował złagodzić ból, który spragnionemu miłości dziecku zadawała nieczuła matka.

- Bardzo ładnie pan postąpił - oznajmiła, kiedy wychodzili z kina. Dzieci pobiegły przodem na parking, oni szli kilkanaście metrów z tyłu. - Dzięki temu Mackenzie nie dręczy się tak z powodu matki.

- Nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł - odparł tajemniczo.

- Dlaczego?

Odwrócił się i przyglądał jej się przez chwilę.

- Bo przekonałem się, że jednak panią lubię. Spojrzenie Carrie musiało zdradzić jej wcześniejsze myśli, gdyż Philip zmrużył lekko oczy i dodał:

- Pani też to poczuła, prawda?

Chciała skłamać. Jeśli kiedykolwiek był ku temu powód, to właśnie teraz.

- Tak - szepnęła.

- Szkoda. Nie jestem dla ciebie odpowiednim partnerem.

- W takim razie ja nie jestem odpowiednia dla ciebie. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Ja po prostu... nie chcę cię skrzywdzić, Carrie.

- Nie martw się, Philip - odpowiedziała. - Nie pozwolę ci na to.

Rozdział 5

-No i jak?

Mackenzie z dumą uniosła wykonany na szydełku - i prawdę mówiąc, dość krzywy - płatek śniegu zwisający na cienkiej nitce. Jej oczy błyszczały taką dumą, jakby namalowała przed chwilą Mona Lisę, a nie wykonała prostą ozdobę choinkową.

- U Carrie cała choinka jest ozdobiona płatkami śniegu, sama je robi - dodała. - Ona wszystko umie. Jej babcia Manning nauczyła ją szydełkować, kiedy Carrie miała tyle lat co ja. Wiesz, że to zanikająca sztuka? - Owinęła nitkę wokół palca wskazującego i zaczęła nieporadnie dziergać kolejną gwiazdkę, wysuwając przy tym język z przejęcia. - Mama będzie zadowolona, prawda?

- Będzie zachwycona - odparł Philip, a jego twarz stężała na wspomnienie Laury. Była żona pofatygowała się w końcu, by zadzwonić do Mackenzie i ustalić, kiedy ma po nią przyjechać i zabrać ją na święta. Od telefonu matki Mackenzie była wniebowzięta, on jednak niepokoił się, czy Laura dotrzyma słowa. Nie był pewien, co zrobi, jeśli znowu zawiedzie małą. To byłoby całkiem w jej stylu. Cóż, miał nadzieję, że nie będzie aż tak okrutna.

- Carrie jest wspaniała - ciągnęła Mackenzie. - Wszystkiego mnie nauczyła... - Popatrzyła na niego czujnie. - Bardzo ją lubię, tato. A ty? Aluzja nie była bynajmniej subtelna. Niestety, Philip odkrył,

że jego uczucia wobec Carrie są całkiem podobne do uczuć córki. Chociaż unikał kontaktów z Carrie, nie umiałby o niej zapomnieć, nawet gdyby chciał, bowiem Mackenzie włączała jej imię w każdą niemal rozmowę, nieustannie omawiając jej rozliczne zalety.

A przecież nie chciał zapomnieć. Carrie była wrażliwa, delikatna, miała dobre serce. Podobała mu się. Zaprzyjaźniła się z Mackenzie i sprawiła, że dziewczynka, która nie tak dawno siedziała samotnie w mieszkaniu, tęskniąc za przyjaciółkami albo zgłaszając do niego nieustanne pretensje, teraz albo z nią rozmawiała, albo jej pomagała, albo karmiła z Marią koty, siedziała na herbatce u Madame Frederick - co łączyło się z wrózeniem z herbacianych fusów - albo wreszcie ćwiczyła podnoszenie ciężarów z Arnoldem. Nie były to może najlepsze zajęcia dla dorastającej pannicy, ale Mackenzie nie chodziła przynajmniej smutna i struta.

- Szkoda, że nie będę na bożonarodzeniowym przyjęciu
- stwierdziła. - Wiesz, gdzie będzie? W tej dużej sali w piwnicy, w wigilię. - Spojrzała, by upewnić się, czy jej słucha.
- Wszyscy lokatorzy są zaproszeni i szykuje się świetna zabawa. - Westchnęła z żalem. - Trudno. Okazja, żeby pobyć z mamą, jest ważniejsza niż jakieś głupie przyjęcie, co nie?
- Oczywiście.

Philip całkiem zapomniał o wigilijnym przyjęciu. Przedwczoraj dostał co prawda zaproszenie, ale pewnie by je wyrzucił do kosza, gdyby Mackenzie nie wpadła w zachwyty na sam jego widok. Sądząc po jej reakcji, można było pomyśleć, że zaproszono ją na bal w pałacu, by poznała przystojnego księcia. On sam miał lepsze rzeczy do roboty niż chodzenie na przyjęcia organizowane przez sympatycznych dziwaków. Sięgnął po kluczyki i torbę z rzeczami na siłownię.

- Wrócę za godzinę - obiecał.

- Nie ma sprawy. Wcześniej i tak nie skończę. Ach, prawie zapomniałam - rzuciła wszystko i zerwała się z krzesła jak na sprężynce. Pobiegła do swojego pokoju i po minucie wróciła z białą kopertą. - To dla ciebie - wręczyła mu ją, nie odrywając wzroku od jego twarzy. - Otwórz zaraz, dobra?

- Nie powinienem poczekać do świąt?

- Nie - odparła i ponagliła go niecierpliwym gestem - lepiej teraz.

W środku była świąteczna kartka przedstawiająca srebrzyste dzwonki, z pozytywką grającą melodię „Silver Bells”.

- No, czytaj - popędzała. Gdyby nie zareagował natych-¹miast, pewnie sama by mu przeczytała. Philip wyostrzył wzrok i po chwili wiedział już, że ozdobna karta jest zarazem zaproszeniem na kolację w barku za rogiem. - Ja stawiam - nalegała - żeby ci podziękować za to, że jesteś takim świetnym tatą. W tym roku mieliśmy swoje problemy, ale chcę ci powiedzieć, że cokolwiek by się nie działo, i tak cię kocham.

- Ja też czasem mówię to, czego wcale nie myślę - mruknął wzruszony. - I chętnie sam zapłacę za kolację. Dziękuję ci, córeczko.

- Nie ma mowy - zaprzeczyła gorąco. - Oszczędzałam tygodniówkę i pomagałam w różnych sprawach Madame Frederick i Arnoldowi. Stać mnie na to. O ile nie zamówisz najdroższego dania - dodała.

- Na wszelki wypadek najpierw zjem spory lunch - zapewnił ze śmiechem, po czym pocałował ją w policzek i wyszedł. Czekał na windę, spostrzegł, że się uśmiecha. Ostatnio robił to coraz częściej. Początkowo myślał, że przeprowadzka do tego domu była pomyłką, teraz już nie. Zmiany, jakie zaszły w Mackenzie po poznaniu Carrie, były naprawdę niezwykle.

Wziedzł do windy i nacisnął przycisk, by zjechać na parter. Piętro niżej winda zatrzymała się i wsiadła Carrie z koszem

prania. Zawahała się, kiedy spostrzegła, kto jeszcze jest w kabinie.

- Nie gryzę - zapewnił ją. - Wchodź śmiało.

- Wszyscy tak mówią - odparła żartobliwym tonem. Nacisnęła przycisk piwnicy i odsunęła się w przeciwległy kąt. Drzwi zamknęły się bez pośpiechu, winda ruszyła powoli i majestatycznie, po czym drgnęła gwałtownie, spadając o kilkanaście centymetrów.

Carrie pisnęła i wpadła na ścianę.

Philip zdołał zachować równowagę, opierając się o ściankę.

Jeszcze sekunda i w kabinie zgasło światło.

- Philip? - w ciemnościach rozległ się głos Carrie.

- Tu jestem. - To nie był zwykły brak światła, w kabinie panowały egipskie ciemności. Nie był w stanie dostrzec absolutnie nic. - Chyba wysiadł prąd.

- Tylko nie to!

Po jej głosie odgadł, że jest nieźle wystraszona.

- Boisz się ciemności?

- Oczywiście, że nie - odparła z godnością. - No, może trochę. Każdy się boi... To znaczy, każdy odczuwałby niepokój w takiej sytuacji.

- No pewnie - przytaknął.

- Jak myślisz, kiedy włączą prąd?

- Nie mam pojęcia. Daj rrrrii rękę.

- Po co? - zapytała nieufnie.

- Skoro się boisz... trochę... pomyślałem, że to cię uspokoi.

- Aha. Proszę.

Sięgnął przed siebie po omacku i ich palce spotkały się w ciemnościach.

Złapała jego dłoń jak tonący linę. Jej palce były zimne jak lód.

- Hej, naprawdę nie ma się czego bać.

- Wiem.

Nie był do końca pewien, kto ruszył się pierwszy, lecz już w następnej sekundzie obejmował ją opiekuńczo ramieniem. Szczerze mówiąc, od czasu wyprawy do kina nie miał innych marzeń, jak tylko to, żeby przytulić Carrie do piersi. I oto teraz tulił ją do siebie, zdumiony tym, jak bardzo jest to przyjemne. Przyjemniejsze niż się spodziewał i przyjemniejsze niż wypadało.

Milczeli. On nie bardzo wiedział, co mógłby powiedzieć, a Carrie, jak sądził, za bardzo się bała, by prowadzić normalną rozmowę. Poczul, jak drży, i przytulił ją mocniej.

- To nie potrwa długo.

- Na pewno - szepnęła.

Bezwiednie wplótł palce w jej włosy. Były takie miękkie, pachniały tak delikatnie i świeżo. Usiłował skoncentrować myśli na czymś innym, ale na próżno. Nie mógł nie myśleć o kobiecie, którą trzymał w ramionach.

- Może porozmawiamy? - zaproponował. - Dla zabicia czasu.

- O czym?

Czul jej oddech na szyi. Niewinna i prowokująca. Zanim przyszło mu to do głowy, wiedział już, że za chwilę ją pocałuje. Z potrzeby, której nie umiał dłużej tłumić. Z czułości, z ciekawości... Tak długo nie całował żadnej kobiety. Od dawna surowo gasił w sobie wszelkie przebłytki pożądania. Wolał żyć w celibacie niż ryzykować kolejne nieudane małżeństwo.

Gdyby jeszcze Carrie chciała stawić mu opór, choćby najmniejszy. Ale nie stawiała. Jej wargi były ciepłe i wilgotne. Uległe. Jęknął cicho i nachylił się ku niej z rozkoszą.

- Myślałam, że chcesz rozmawiać - szepnęła po pierwszym pocałunku.

- Później - obiecał i znowu, ją pocałował.

O, niebioso! Była słodka, słodsza niż w jego marzeniach, słodsza niż jakakolwiek kobieta, którą w życiu całował!

Z początku ich pocałunki były delikatne, ostrożne, uwodzicielskie. Do niczego by nie doszło, gdybyśmy nie utknęli w ciemnej windzie, tłumaczył sobie Philip. Chyba powinien jej to uświadomić. Ale czy warto przerywać tak cudowne pieszczoty?

Było mu z nią tak dobrze. Za dobrze. To źle. Przeraził się, że mógłby się od niej uzależnić. Carrie działała jak narkotyk.

- Philipie...

- Ciii... nie teraz.

Znów przesunął językiem po jej wargach. Przygryzł je lekko, prowokując do śmielszych pieszczot. Zachęcił Carrie do otwarcia ust, a kiedy rozchyliła je lekko, zuchwale wsunął język głębiej. Aż j[^]ał z pożądania. Carrie westchnęła i wyprężyła się w jego ramionach. Objęła go za szyję, tuląc się do mego z całych sił, jakby bez niego nie mogła utrzymać się na nogach. Oparł ją o ścianę windy, całując wciąż zachłannie. Musiała poczuć, jak bardzo jest podniecony, krzyknęła bowiem cicho, zaskoczona i zachwycona zarazem. Poruszyła się leniwie, a on stłumił w sobie westchnienie. Naparł mocniej na jej biodra, a potem już bez żadnego skrupowania chwycił Carrie za pośladki, uniósł lekko do góry i przywarł do niej całym ciałem.

Nie myślał już o tym, co robi. Prowadziły go zmysły. Wsunął dłonie pod jej cienki sweterek, przesunął nimi po jedwabistej, gładkiej skórze brzucha, objął z zachwytem krągłe piersi. Nabrzmiały natychmiast i mimo biustonosza poczuł wyraźnie ich twarde końce. Zakreśliło mu się w głowie. Miał wrażenie, że jeżeli zaraz ich nie dotknie, nie pocałuje, to oszaleje.

Zaczął gorączkowo szukać zapięcia biustonosza. Wydawało

mu się, że trwa to całą wieczność, wreszcie jednak pełne piersi Carrie wyswobodziły się wprost w jego niecierpliwe, spragnione dotyku dłoń. Uśmiechnął się triumfalnie, odczekał moment, nachylił głowę...

I w tej właśnie chwili włączono z powrotem prąd.

Oboje zamarli w bezruchu, patrząc na siebie w świetle rozpalających się świetlówek. Carrie pośpiesznie poprawiła ubranie, Philip przywarł do ściany i usiłował ogarnąć rozumem to, co przed chwilą się stało. Dawno przestał być dzieckiem, ale teraz zachował się jak targany hormonami, spragniony seksu siedemnastolatek.

Pierwszy raz od swojego rozvodu poczuł, że na murze, którym otoczył swoje serce, pojawiają się rysy. Przedtem gorycz, niechęć, rozczarowanie i obawy skutecznie odgradzały go od innych uczuć. Odkąd się rozwiódł, przysięgał, że nigdy więcej nie wplącze się w coś takiego. Carrie była jednak taka młoda, taka urocza...

I właśnie dlatego zasługiwała na mężczyznę, który nie miałby emocjonalnych blizn i do tego dzieciaka na karku. Och, był naprawdę wdzięczny losowi, że prąd włączył się w odpowiednim momencie.

Jeszcze chwila, a posunęliby się za daleko.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, kiedy był już w stanie mówić spokojnie i pewnie.

- Tak, wszystko w porządku.

Jej głos zaprzeczał słowom. Nic nie było w porządku. Chciał ją przeprosić, ale nie mógł się do tego zmusić. Bał się, że Carrie może się domyślić, jak wciąż na niego działa jej bliskość.

- Trudno mieć do faceta pretensje za to, że wykorzystał taką sposobność, prawda? - rzucił lekko i poczuł się jak łajdak i kretyn w jednej osobie. - Naprawdę niezła z ciebie sztuka - dodał, usiłując sprowadzić całe zdarzenie do nieistotnego epizodu, zanim Carrie przetłumaczy je sobie na swój sposób i zacznie żywić złudne nadzieje.

Świetlówki przestały migotać i w windzie zapanowała jaskrawa jasność. Philip zmrużył oczy. Carrie wciąż opierała się plecami o ścianę, wpatrując się w niego z zaskoczeniem i urazą. Kosz z praniem leżał w kącie.

- To naprawdę było dla ciebie tylko tyle? - wyszeptała.

- Jasne - odparł, wzruszając ramionami. - A powinno znaczyć więcej?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, winda zatrzymała się na parterze i drzwi się otworzyły. Philip postanowił jak najszybciej skorzystać z szansy ucieczki.

- Najwyraźniej nie - przyznała, patrząc pustym wzrokiem w jakiś punkt za jego plecami.

Wyszedł i poczekał, aż zamkną się drzwi. Gnębiło go poczucie winy.. Nie chciał zranić Carrie. Była słodka i delikatna, była hojna i życzliwa, zmienił., -"cie jego, a przede wszystkim życie Mackenzie.

- Cholera - mruknął, przeklinając się za swą głupotę.

- Idź za nią - doradził mu jakiś głos.

Odwrócił się zirytowany i zobaczył, że stoją za nim Maria oraz Madame Frederick.

- To wspaniała kobieta - powiedziała Maria, głaszcząc trzymanego w objęciach kota. - Nie znajdziesz drugiej takiej.

- Mógłbyś trafić gorzej - dodała Madame Frederick i uśmiechnęła się tajemniczo. - A właściwie już kiedyś trafiłeś, czy nie tak?

- Czy mogłybyście panie łaskawie nie mieszać się do moich spraw!

Obie damy wydawały się urażone szorstką odpowiedzią.

- Coś takiego - westchnęła z niesmakiem emerytowana nauczycielka.

54

- Nie przejmuj się, kochanie. Niektórym mężczyznom nie pomoże najbardziej życzliwa pomoc, tacy są uparci i głupi.

Słowa Madame Frederick ubodły go mocno. Wściekły na dwie wścibskie baby - a jeszcze bardziej na samego siebie - opuścił budynek z mocnym postanowieniem, że od tej chwili nie wsiądzie do windy i będzie korzystać wyłącznie ze schodów.

Rozdział 6

- Czy opowiadałam ci kiedyś o Randolphie? - zaczęła Madame Frederick rozmarzonym głosem, nalewając Carrie herbaty. - Poznaliśmy się, kiedy byłam jeszcze bardzo młodziutka. No dobrze, miałam wtedy dwadzieścia lat, ale byłam bardzo naiwna jak na dwudziestolatkę. Od chwili kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy, wiedziałam, że powinnam obawiać się o swoją cnotę. Pragnęłam go, ale moje dziewczęce pragnienia były niczym wobec jego męskości i dojrzałości. - Zastygła z jedną ręką na pokrywce imbryczka, wpatrzona we wspomnienia sprzed czterdziestu lat ^otem podjęła z cichym śmiechem: - Pobraliśmy się po tygodniu znajomości. Oboje czuliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie ma sensu walczyć z przeznaczeniem.

- Został pani mężem?

- Ukradł mi serce. Przeżyliśmy razem trzydzieści szczęśliwych lat. Klóciliśmy się jak pies z kotem, ale kochaliśmy się. O mój Boże, jak myśmy się kochali. Wystarczyło, żeby na mnie spojrzął, a przechodziły mnie dreszcze. Jednym przelotnym spojrzeniem umiał powiedzieć mi rzeczy, które w książce zajęłyby trzysta stron.

Carrie wsypała cukier do herbaty i zamieszała. Jej dłoń lekko zadrżała, kiedy przypomniały jej się pocałunki Philipa. Od tamtego czasu chódziła schodami. Całowała się już przedtem nie raz, ale nigdy nie było tak, jak z Philipem. A najbardziej wytrącało ją z równowagi to, że doskonale rozumiała, co miała na myśli sąsiadka, opowiadając o Randolphie.

- Po jego śmierci nie wyszłam ponownie za mąż - ciągnęła Madame Frederick. - Moje serce mi nie pozwoliło. - Sięgnęła po kruchą filiżankę i uniosła do warg. - Niewiele kobiet ma takie szczęście jak ja, żeby w tak młodym wieku znaleźć prawdziwą miłość.

Carrie popijała herbatę w zamyśleniu. Przed jej oczami wciąż stawały sceny w ciemnej windzie. Była to raczej pamięć ciała niż jakieś konkretne obrazy, bo przecież nie widziała wtedy nic. Chciała wyzbyć się tych wspomnień, porzucić je, lecz one za nic nie dawały się usunąć.

Nieustannie wypływały na powierzchnię, przypominały, jak zmysłowo, jak bezwstydnie reagowała na pieszczoty Philipa. Myślała o tym z zażenowaniem.

- Postanowiłam wręczyć ci prezent świąteczny trochę wcześniej - Madame Frederick wyrwała ją z zadumy. Położyła jej na kolanach małe, starannie opakowane pudełko i uśmiechnęła się ciepło. - To dla ciebie.

- Ja też mam coś dla pani, ale chciałam zaczekać do świąt.

- ' A^ja wolę, żebyś swój prezent otworzyła już teraz.

Znów się uśmiechnęła i patrzyła, jak Carrie rozwiązuje złotą wstążkę i odwija papier. W pudełku leżała mała szklana miseczka z suszonymi ziołami i kwiatami. Gdy ją otworzyła, zapachniało wokół szałwią.

- To napój wspomagający płodność — wyjaśniła poważnie Madame Frederick.

- Płodność! - Carrie o mało nie upuściła delikatnej miseczki.

- Zaparz te liście jak herbatę i...

- Madame Frederick, nie mam najmniejszej ochoty zachodzić w najbliższym czasie w ciążę!

Starsza pani pokiwała pobłaźliwie głową.

- Naprawdę doceniam pani prezent - mówiła tymczasem

Carrie, - Jestem pewna, że kiedyś, za ładnych parę lat, zaparzę te zioła, ale teraz... To przedwczesne.

Wypiła jeszcze łyk herbaty i spojrzała na zegarek.

- O, nie - westchnęła, wstając pośpiesznie - za pięć minut powinnam być zupełnie gdzie indziej. - Mackenzie wykazała się wielką hojnością i zaprosiła ją na kolację. Wypisała zaproszenie na pięknej, drogiej karcie ze srebrzystymi dzwoneczkami. Carrie nie mogła jej zawieść. - Jeszcze raz dziękuję, Madame Frederick - powiedziała, dopijając herbatę.

Zapakowała swój gwiazdkowy prezent do torebki i sięgnęła po kurtkę.

- Wpadnij niedługo - poprosiła Madame.

- Na pewno wpadnę - obiecała Carrie. Bardzo lubiła rozmowy ze starszą panią, chociaż przeważnie nie była w stanie pojąć zasad rządzących prowadzoną przez nią konwersacją. Na przykład skąd i po co były te wzmianki na temat dawno zmarłego męża? Zwłaszcza ta o obawach o cnotę zabrzmiała dziwnie. Zupełnie jakby Madame Frederick wiedziała, co zaszło między nią a Philipem, kiedy utknęli w ciemnej windzie.

Zaczerwieniła się ponownie na wspomnienie namiętnych chwil.

Zadrżała, przypomniawszy sobie, jak Philip dotknął jej piersi.

Rzeczywiście trudno przewidzieć, do czego mogłoby dojść, gdyby prąd nie został włączony w odpowiednim momencie.

Wyszła z domu i walcząc z wiatrem, pobiegła do barku na rogu. W barku było tłoczno. Podawano tu znakomite jedzenie, przyciągające klientów z całej okolicy. Od progu Carrie powitały zapachy, od których ślinka ciekła do ust. Goście stali rzędem przed szklaną ladą, gdzie wystawiono zimne przekąski i kuszące sałatki. Lodówka udekorowana była plastikową gałązką choinki. Po chwili usłyszała wołanie Mackenzie.

- Carrie! Tutaj!

Rozejrzała się z uśmiechem. Dziewczynka stała na drugim

końcu sali, machając do niej gorączkowo. Na jej policzkach płonęły rumieńce, oczy lśniły z podniecenia i radości. Dopiero kiedy Carrie doszła do połowy sali, zauważyła, że Mackenzie nie jest sama.

Obok Mackenzie siedział Philip. Jego spojrzenie wyrażało zdumienie, zmieszanie i... tak, chyba złość.

- O rany, już się bałam, że się spóźnisz - oznajmiła dziewczynka, podając jej kartę. - Powiedz, co ci zamówić, a ja pójde stać w kolejce.

Przez chwilę Carrie rozważała możliwość odwołania kolacji, ale nie chciała rozczarować Mackenzie. Najwyraźniej Philip doszedł do podobnego wniosku, bowiem po chwili wahania wrócił do studiowania karty dań.

- Tylko pamiętajcie, że mam ograniczone fundusze - przypomniała dziewczynka, przekrzykując wrzawę w barku. - Ale nie musicie ograniczać się do kanapek z serem, śmiało.

- Ja poproszę kanapkę z gruboziarnistego chleba, z pastrami, bez pikli, za to z podwójną porcją musztardy.

Carrie odłożyła swoją kartę.

- Ja to samo.

- Też lubisz pastrami? - zapytała Mackenzie takim tonem, jakby nie mogła uwierzyć, że aż dwojgu ludziom na świecie smakują podobne potrawy.

- Stań już lepiej w tej kolejce - doradził córce Philip.

- Dobra, zaraz wracam z jedzeniem. - Obdarzyła ich szerokim uśmiechem i poszła, sprawnie przeciskając się przez zatłoczoną salę.

Carrie zdjęła wełniany szalik i kurtkę. Spokojnie, powtarzała w duchu, przecież jestem dorosła i potrafię się odpowiednio zachować. Nie spodziewała się go tu spotkać, ale przecież gorsze rzeczy się zdarzają. Hałas wokół nich był niemal ogłuszający, ale cisza panująca

między mmi chyba jeszcze głośniejsza. W końcu Carrie nie wytrzymała.

- To naprawdę miło ze strony Mackenzie, prawda?
- Nie daj się nabrać - odparł szorstko. - Doskonale wiedziała, co robi.
- A co takiego? - Carrie nie chciała stawać w niczyjej obronie, ale nie podobał jej się ton jego głosu ani to, co najwyraźniej sugerował.
- Zorganizowała to spotkanie, żebyśmy musieli spędzić razem trochę czasu.

Zabrzmiało to tak, jakby córka wydała go na tortury albo kazała zapłacić wyższe podatki.

- Hej, bez przesady, nie jestem wiedźmą.
- No właśnie, w tym cały problem.

To stwierdzenie poprawiło jej nastrój. Wzięła słony paluszek ze szklanki stojącej pośrodku stołu i przełamała go na pół.

- Sugerujesz, że jestem jednak jakąś pokusą?
- Nie pochlebiaj sobie.
- Nie pochlebiam. To ty sobie pochlebiasz. Po pierwsze, jestem od ciebie o dobre osiem lat młodsza i mam jeszcze mnóstwo matrymonialnych możliwości, które w twoim przypadku będą pewnie się kurczyć. A poza tym wyjaśnij mi, proszę, dlaczego uważasz, że miałabym się zainteresować źle wychowanym, niesympatycznym ponurakiem w średnim wieku?

Otworzył szeroko oczy.

- Mocne słowa.
- Ja też umiem grać w tę grę, Philipie.
- W jaką grę?
- Wiesz, prawie ci wtedy uwierzyłam. Skorzystałeś z okazji? Całowałeś mnie, bo było ciemno? Naprawdę, Philipie, mogłeś wysilić się na coś bardziej oryginalnego.

Teraz Philip zmrużył oczy.

- Nie jesteś najlepszym aktorem - mówiła Carrie. - Pociągam cię, ale boisz się, że stracisz kontrolę nad swoimi uczuciami, prawda? Nie jestem pewna, w czym tkwi twój problem, ale chyba musi mieć coś wspólnego z rozwodem. Nie zamierzam się jednak zbyt w to zagłębiać. Jeśli chcesz spędzić resztę życia w samotności, to ja na pewno nie będę ci w tym przeszkadzać. - Zdecydowanie odgryzła kawałek paluszka i zamilkła. W samą porę, bowiem chwilę potem pojawiła się Mackenzie z jedzeniem. Trzymając tacę wysoko nad głową, dotarła z trudem do ich stolika i zaczęła ustawiać talerze na stole.

- Gruboziarnisty chleb, pastrami, bez pikli, podwójna musztarda. ..
- Świetnie - ucieszyła się Carrie, szczęśliwa, że dziewczynka wróciła właśnie w tym momencie. Nie była pewna, czy długo jeszcze zdoła ciągnąć ten bluff. A tak Philip nie miał okazji jej zaprzeczyć.

Mackenzie rozstawiła resztę talerzy, odłożyła tacę i padła na siedzenie między Carrie i Philipem.

- Uwielbiam święta, a wy? - zapytała, po czym wgryzła się w swoją kanapkę.

Philip zapatrzył się w oczy Carrie.

- Pewnie - odparł przez zaciśnięte zęby. - Kto nie lubi? Z zapachu, z jakim rzucił się na swoją porcję, można by wywnioskować, że nie jadł co najmniej od tygodnia. Albo że ścigają się, kto zje pierwszy.

Philip wygrał. W tej samej sekundzie, w której połknął ostatni kęs kanapki, wstał, podziękował córce i przeprosił, że musi iść.

- Wraca do pracy - wyjaśniła ze smutkiem Mackenzie, patrząc za oddalającym się ojcem. - Czasem chodzi wieczorem do biura.

- To zaproszenie to był naprawdę bardzo miły gest - powiedziała Carrie. - Ale twój tata uważa chyba, że miałaś jakieś ukryte cele.

Mackenzie spuściła oczy.

- No niech będzie, miałam, ale czy to tak źle? Lubię cię bardziej niż kogokolwiek innego. Przecież to jasne, że tata nigdy się nie ożeni bez mojej pomocy. Rodzice rozwiedli się dwa lata temu, a on ani razu nie był na randce.

- Mackenzie, daj mu może trochę czasu.

- Czasu? Już go miał, aż za dużo! Nie może przeżyć reszty życia z głową zakopaną dwa metry w piasku. Chcę, żeby się ożenił. Z tobą.

- Och, Mackenzie... - Carrie westchnęła głęboko. Żal jej było dziewczynki, lecz przecież nie mogła pozwolić jej wierzyć, że ludzkimi uczuciami da się tak łatwo kierować. - Nie mogę wyjść za mąż za twojego tatę tylko dlatego, że ty tego chcesz.

- Nie lubisz go?

- Owszem, bardzo go lubię, ale do małżeństwa trzeba trochę więcej niż tylko mojej sympatii dla twojego taty.

- Ale on też coś do ciebie czuje. Wiem, że tak. Boi się to okazać, ale czuje. Tyle to Carrie sama się domyśliła. A może po prostu pragnęła w to wierzyć tak bardzo, że dostrzegała jedynie to, co chciała zobaczyć.

- Moja mama jest naprawdę ładna - oznajmiła nieoczekiwanie

Mackenzie, opuszczając wzrok na dłonie i zgniecioną w nich serwetkę. - Chyba mogła być rozczarowana, że jestem bardziej podobna do rodziny taty, a nie do jej. Nigdy tego wprost nie powiedziała, ale zawsze wydawało mi się, że zostałyby z tatą, gdybym była ładniejsza.

- To nieprawda. - Carrie ścisnęło się serce. - Też tak kie-

dyś myślałam. Mój ojciec nigdy nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Nigdy nie pisał, nie przysyłał prezentów na urodziny ani życzeń na święta, a ja byłam przekonana, że musiałam zrobić coś złego.

Mackenzie podniosła wzrok i spojrzała w oczy Carrie ze współczuciem.

- Ale ty byłaś bardzo mała, kiedy twoi rodzice się rozwiedli.

- Nie szkodzi. I tak wydawało mi się, że jakoś zawiniłam. Teraz rozumiem, że rozstanie moich rodziców nie miało żadnego związku ze mną. Twoi też nie rozwiedli się dlatego, że jesteś podobna do rodziny taty, naprawdę. Dzieci często myślą, że są odpowiedzialne za szczęście rodziców, ale to dorośli nie potrafią porozumieć się ze sobą i ich drogi się rozchodzą. A ciężar cierpienia, winy spada na dzieci.

Przez długą chwilę Mackenzie milczała. To zadziwiająco, pomyślała Carrie, jakie ta mała ma mądre oczy. Czy i ja taka byłam?

- Dlatego właśnie chcę, żebyś wyszła za tatę - odezwała się stanowczo. - Mówisz zawsze takie rzeczy, po których jest mi lepiej. Przez ostatnie parę tygodni byłaś dla mnie lepszą matką niż moja własna. W zeszłym tygodniu nic ci nie mówiłam, ale wiesz, że wczoraj pierwszy raz w życiu upiekłam domowe ciasteczka? Tata pomógł mi kiedyś upiec tort, ale taki z pudełka...

Carrie ścisnęła rękę dziewczynki, ta zaś mówiła dalej:

- I podoba mi się, że zawsze możemy usiąść i porozmawiać. Ty chyba rozumiesz wszystko, co mnie gnębi. I uczysz mnie... Zdaje się, że tylko ja jedna w mojej szkole umiem szydełkować. Proszę cię, Carrie, zgódź się... Nasz nowy dom będzie niedługo gotowy i wyprowadzimy się stąd z tatą. Boję się, że jeśli nie wyjdiesz za niego teraz, to więcej cię nie zobaczę. Proszę, proszę, proszę... Możesz za niego wyjść?

- Och, kochanie - szepnęła Carrie, obejmując dziewczynkę ramieniem. Pochyliła się, wspierając czoło o głowę Mackenzie i szepnęła: - To nie takie proste. Czy nie możemy być po prostu przyjaciółkami?
- Mackenzie pociągnęła nosem i kiwnęła zrezygnowana głową.
- Możemy. Przyjdiesz mnie odwiedzić, jak już się przeprowadzimy?
- No pewnie.
- A przepowiednie Madame Frederick? - zapytała dziewczynka.
- Madame Frederick ma dobre intencje i jest naprawdę bardzo kochana, ale zdradzę ci pewien sekret... Tylko nie wypapłaj.
- Nikomu nie powiem. - Mackenzie spojrzała na nią z przejęciem.
- Ona nic nie widzi w tej swojej kuli.
- Ale...
- Wiem o tym. Mówi, co myśli, i w ten sposób podsuwa innym pomysły, które potem dojrzewają. Jeśli jej przepowiednie się sprawdzają, to tylko dlatego, że ktoś pokierował swoim życiem zgodnie z jej sugestią.
- Ale ona jest taka pewna tego, co mówi.
- Jej pewność siebie wzmacnia siłę sugestii.
- Wychodzi na to - stwierdziła Mackenzie z ciężkim westchnieniem - że nie powinnam wierzyć w ani jedno jej słowo.

Rozdział 7

Carrie nigdy by nie uwierzyła, że dwóch chłopców może być tak podobnych do ojca, gdyby nie widziała tego na własne oczy, i to nie raz. Doug i Dillon siedzieli z tatą na kanapie, oglądając mecz. Trzy pary nóg o stopach przyodzianych w białe skarpetki opierały się o stolik, skrzyżowane w kostkach. Przy boku Jasona leżał pilot do telewizora, a na jego kolanach miska prażonej kukurydzy. Każdy z synów miał odpowiednio mniejszą miskę, a wszyscy byli tak zajęci oglądaniem meczu, że tylko machinalnie skinęli Carrie głowami na powitanie. Widok Jasona z synami nigdy nie przestał jej zadziwiać. Chłopcy byli Manningami z krwi i kości, miniaturkan.: ojca, zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru.

Matka Carrie siedziała w kuchni, ubijając masę na deser przygotowywany na rodzinny zjazd Manningów, który zawsze miał miejsce w Boże Narodzenie.

- Carrie? To ci niespodzianka - uśmiechnęła się na widok córki. - Co cię sprowadza?

- Potrzebuję macierzyńskiej porady - wyznała Carrie. Rozstała się z Mackenzie niecałą godzinę wcześniej, lecz wciąż nie mogła przestać myśleć o ich rozmowie. I o reakcji Philipa, który uciekł na jej widok, kiedy tylko nadarzyła się sposobność.

- Coś się stało? - Charlotte spojrzała na nią czujnie znad miksera. Carrie przysunęła bliżej stołek, usiadła.

- Boję się, że się zakochałam.

65

- Boisz się?

- Tak - potwierdziła z westchnieniem - to najlepsze słowo. Bardzo się boję.

- Czy przypadkiem nie ma to czegoś wspólnego z tą twoją nową przyjaciółką Mackenzie?

Carrie skinęła głową, zdziwiona, że mama wie o dziewczynce. No tak, pewnie opowiedzieli jej chłopcy.

- Pamiętasz, jak zaczęłaś spotykać się z Jasonem?- - zapytała.

Matka wyłączyła mikser, na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Nigdy tego nie zapomnę. Jeszcze nie byłam pewna, czy w ogóle chcę go znać, a ty już wymyślałaś powody, dla których powinnam się nim zainteresować.

- Bo na początku wcale cię nie interesował, prawda? Charlotte zaśmiała się cicho.

- Tak, łagodnie mówiąc. Ale jego wytrwałość skruszyła w końcu me serce.

Carrie wiedziała, że matka nie mówi jej wszystkiego. Zawsze podejrzewała, że początki tego związku nie były łatwe.

- Więc Jason był cierpliwy i wytrwały? - zapytała. - Zależało mu na tobie i nie rezygnował?

- Jak już mówiłam, jego cierpliwość w końcu mnie pokonała. Cierpliwość i zabójcze pocałunki - uściśliła. - Jeśli chodzi o mistrzów całowania, to chyba żaden nie dorównuje twojemu ojczymowi. - Uśmiechnęła się speszona i odwróciła wzrok.

- Philip też ma spory talent - westchnęła Carrie, równie skrepowana jak matka.

Charlotte nie odzywała się przez chwilę, wreszcie zapytała ostrożnie:

- Rozumiem, że często widzisz ojca Mackenzie?

- Nie tak często, jak bym chciała. Mackenzie twierdzi, że

jest rozwiedziony od dwóch lat i od tego czasu z nikim się nie umówił. Choć pewnie życzliwi przyjaciele próbowali mu kogoś znaleźć, dodała w duchu. Tak jak córka.

- Rozumiem, ma za sobą bagaż złych doświadczeń. Czy mówił kiedykolwiek, co się stało z jego małżeństwem?

- Nie. Prawdę mówiąc, niewiele o nim wiem.

Nie chciała zdradzać, jak mało czasu spędzili razem. Właściwie tylko karmienie kotów mogło przypominać prawdziwą randkę - nocny spacer, pusta ulica, rozmowa. Nie była pewna, jak należałoby określić incydent w windzie. Flirt, gwałt, uwiedzenie? Tylko kto kogo uwiódł? Philip twierdził, że wykorzystał okazję, dawał do zrozumienia, że całe zajście nie ma dla niego znaczenia. Podejrzewała, że kłamie, lecz tak naprawdę nie wiedziała, co czuje i co o tym myśli.

- A czego właściwie się boisz? - spytała znowu matka. - Ze zaczyna ci na nim zależeć? Że nie jest to już tylko luźna znajomość? Ze tracisz kontrolę nad swoimi uczuciami?

- Otóż to. Jest dokładnie tak, jak mówisz. Marr, - rozłożyła bezradnie ręce - nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale ja już nie mogę przestać o nim myśleć. Kładę się spać, zamykam oczy - i już jest. Wstaję rano, jadę autobusem do pracy i znów go widzę przed oczami. To straszne.

- A on jest zainteresowany?

- Chyba tak... a może nie. Sama już nie wiem. Wydaje mi się, że mnie lubi, lecz próbuje to w sobie zwalczyć. Na pewno nie chce się do mnie przywiązywać ani ode mnie uzależniać. Wolałby, żebym mieszkała na Księżycu, a nie w tym samym budynku. Unika mnie, ja jego zresztą też. Oboje robimy, co w naszej mocy i pewnie w ogóle byśmy się nie widywali, gdyby nie Mackenzie, której życiową misją stało się organizowanie nam kolejnych spotkań.

Charlotte wylała słodką masę do wysmarowanej masłem foremki i spojrzała na córkę z porozumiewawczym uśmiechem.

- To zaczyna brzmieć znajomo.

- Tak? - Carrie spuściła oczy.

- Och, dziecko, szybko zapominasz. Przecież to ty wszelkimi sposobami wpychałaś mnie w związek z Jasonem. Gdyby Jason nie był tak wspaniały, te twoje swaty byłyby pewnie okropne. Ale na szczęście on był cierpliwy i w niczym mi się nie narzucał. A ja... cóż, tak jak twój Philip ciągnęłam za sobą mnóstwo złych doświadczeń. Potrzebowałam kogoś takiego jak Jason, lecz sama jeszcze o tym nie wiedziałam. A ty zawsze byłaś wrażliwym dzieckiem;^ wielką intuicją. Ze wszystkich mężczyzn wybrałaś właśnie takiego, który miał w sobie tę łagodną cierpliwość, jakiej mi było trzeba. - Podeszła do córki i pogładziła ją po policzku. - W głębi serca wierzę, że skoro umiałaś wybrać mężczyznę dla mnie, to dobrze wybierzesz także dla siebie. Powiedziałaś, że kochasz Philipa...

- Jestem zakochana, chyba tak.

- Mniejsza o słowa - matka machnęła ręką. - Nie wiem, nie znam go, ale wydaje mi się, że twoje serce nie podpowiada ci fałszywie. Być może Philip potrzebuje cię tak, jak ja potrzebowałam Jasona. Wykorzystaj to. I bądź cierpliwa, na pewno nie minie cię parę ciosów. Przygotuj się na to, ale nie bój się go pokochać, jeśli on potrzebuje twojej miłości. I Mackenzie też. Uwierz mi, cierpliwość się opłaci.

W drodze do domu Carrie myślała o matce ze wzruszeniem. Ze wzruszeniem, wdzięcznością i miłością. Jak to dobrze, że może z nią porozmawiać, zwierzyć się, wysłuchać jej rady. Kochana mama. Nie osądza, nie krytykuje, ale słucha i dodaje otuchy. Czy Charlotte zawsze taka była, tylko ona nie umiała tego dostrzec? Nieważne, uznała, istotne jest to, że mogły na

siebie liczyć. I to, że przed kolejnym spotkaniem z Philipem Carrie zyskała kolejną osobę - obok Mackenzie - która trzymała za nią kciuki.

- Co ty tu robisz? - zapytał Gene Tarkington, wchodząc do biura Philipa. Oparł się o framugę drzwi i spojrzał na przyjaciela ze zdziwieniem. Całe piętro było puste, wszyscy dawno poszli już do domu i tylko Philip tkwił za biurkiem, na którym szumiał cicho włączony komputer.

- Pomyślałem, że wpadnę-i ostatni raz sprawdzę te wyliczenia - wymamrotał Philip, wpatrując się w ekran. Uważał Gene'a za jednego ze swoich najbardziej wypróbowanych przyjaciół, ale akurat w tej chwili wolałby zostać sam.

- Stary, już prawie święta. Nie masz nic lepszego do roboty?

- A ty? - odparował Philip. Nie był w tym towarzystwie jedynym pracoholikiem.

- Ja wpadłem na chwilę, zabrać parę papierów. Zobaczyłem u ciebie światło i postanowiłem sprawdzić, czy coś ci *crsem* nie odbiło. Myślałem, że dzisiaj jesz kolację z Mackenzie. Odwołała imprezę?

- Już jestem po - mruknął Philip. - Nie odwołała imprezy, ale nie byłem jedyną osobą, którą zaprosiła. Szkoda tylko, że nie znałem wcześniej listy gości.

- Chcesz powiedzieć, że sprowadziła tę waszą sąsiadkę? Tę z Microsoftu?

- Tę właśnie. - Philip znowu zmarszczył brwi. Wciąż gniewał się na córkę. Jej zachowanie powinno go było ostrzec, że wkrótce znowu wykreci podobny numer, on jednak postanowił jej zaufać. Myślał, że Mackenzie chce mu się odwdzińczyć za ojcowską miłość, a ona znów zaczęła bawić się w swaty! Jeszcze bardziej rozżłościło go to, w jaki sposób zareagował na widok Carrie.

Cholera, zrobiło mu się gorąco, odebrało mu mowę. A już myślał, że się na nią uodpornił. Nie chciał odczuwać podobnych emocji, zwalczał w sobie pragnienie i tęsknotę, jakie pojawiały się w jego sercu, gdy o niej myślał. W ogóle nie chciał myśleć ani o Carrie, ani o żadnej innej kobiecie. Raz już się sparzył i nie zamierzał więcej igrać z ogniem. A Carrie Weston wcale nie była jakimś tam niewinnym pudełeczkiem zapalek. Przy niej mógł spłonąć. Tak, spłonąć w ogniu namiętności.

- Widzę, że nie było to udane spotkanie - odezwał się Gene. - Powiedz szczerze: czy Mackenzie chce ci wcisnąć jakiś pasztet? Chyba nie, to przecież przytomna dziewczyna. O co więc chodzi? Masz coś przeciw tej sąsiadce? Nie jest chyba brzydka?

- Nie - uśmiechnął się kwaśno. Gdyby Gene mógł się przekonać, jak śliczna jest Carrie... On sam się przekonał i od tej chwili chodził jak struty.

- Jeśli interesuje cię moje zdanie, to powiem ci, że powinieneś dziękować Bogu za szczęśliwy los. Większość facetów w twojej sytuacji zrobiłaby to od razu. W końcu znaleźć kobietę, którą zna i lubi twoja córka, to nie takie łatwe. Pamiętasz, co się przydarzyło Calowi? Jego córeczka i druga żona szczerze się nienawidzą. JJe razy wychodzą gdzieś razem, Cal musi czuć, żeby się nie podrapały.

- Niech się Cal o to martwi - odburknął Philip.

- Co tak warczysz? Lepiej się zastanów, co cię właściwie gryzie. Może jesteś zazdrosny o dzieciaka, co? Skoro twoja Mackenzie tak lubi tę sąsiadkę, to może powinieneś dowiedzieć się dlaczego. Może jest życzliwa, ciepła, może umie jej słuchać? Dla dziewczyn w jej wieku to cholernie ważne. Nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale.

- Właśnie - przerwał mu Philip. Przyszedł do biura, żeby uciec przed Carrie, a nie żeby wysłuchiwać pochwalnych tyrad

na jej cześć, i to z ust przyjaciela. - Doceniam twoje starania, Gene, ale skończ już, proszę.

Gene potarł policzek i zaśmiał się krótko.

- Wątpię, czy doceniasz. Dałbym ci spokój, ale serce mnie boli, kiedy widzę, jak marnujesz czas w biurze na parę dni przed świętami. Jeśli chcesz się schować, to są lepsze miejsca.

Gene z pewnością życzył mu dobrze, jednak Philip z zaciśniętymi zębami przyjmował jego słowa. Nie chciał, żeby wyrwało mu się coś, czego by potem żałował. A przecież mógł go oskarżyć o odpowiedzialność za swoje problemy. Czy to nie Gene był właścicielem budynku, w którym zamieszkali z Mackenzie?

- Dobra, pójdę już - przyjaciel dał w końcu za wygraną. - Marilyn czeka w samochodzie. Życz mi szczęścia.

Philip uniósł brwi i spojrzał pytająco.

- Nie wiesz, co znaczy ostatni weekend przed Bożym Narodzeniem? - skrzywił się Gene. - W sklepach można dostać obłędu, ale oczywiście zdaniem mojej żony to idealny moment na robienie zakupów. I mowy nie ma, żeby poszła sama. Powiedziałem jej, że spodziewam się za to orderu Męża Roku. Ale obiecała mi inną nagrodę - dodał i mrugnął okiem. Choć narzeka! wcale nie wyglądał na niezadowolonego, a sądząc po jego minie, można byjść pomyśleć, że wybiera się na finał mistrzostw świata w piłce nożnej, a nie na gwiazdkowe zakupy.

- No to powodzenia - powiedział Philip.

- Dzięki. I obiecaj, że nie będziesz siedział długo.

- Nie będę.

Po odejściu Gene'a puste pomieszczenie wydało się jeszcze bardziej ponure i smutne, a Philip z całą siłą poczuł dojmującą samotność. Jego przyjaciel miał rację: zostało kilka dni do Bożego Narodzenia, a on chowa się w biurze. I robi tak od dawna, to nie pierwszy raz. Gdy Gene z żoną zмага się z rozgo-

rączkowanymi tłumami w sklepach, on ucieka przed ludźmi. I to tymi najbliższymi - przed córką, przed...

Nie, Carrie wcale nie jest mu bliska. To obca osoba, a nie żaden prezent od losu, jak twierdziła Mackenzie i jak twierdził Gene.

Dlaczego więc Mackenzie tak się przy niej zmieniła? I to na korzyść, sam przecież kiedyś to przyznał. Czy nie wmawia sobie, że nie chce jej znać? Czy nie chowa tchórzliwie głowy w piasek? Tak, jest tchórzem, skoro raz zawiódłszy się na kobiecie, boi się podjąć ryzyko. Jest tchórzem i gburem, niewdzięcznym ojcem. Mój Boże, zamiast podziękować córce za zaproszenie, skrzyczał ją, że korzysta z okazji, by podsunąć mu Carrie pod nos. Obraził się i uciekł.

A jeśli nawet Mackenzie podsuwa mu Carrie pod nos, to co?

Carrie, ciągle ta Carrie. Prędzej czy później zawsze wraca do niej myślami. A ilekroć wypowiada jej imię, przeszywa go zimny dreszcz. Nie, przeciwnie, gorący dreszcz. Ledwo ją zna, lecz myśli o niej jak o kimś ważnym, bliskim. Dla Mackenzie Carrie jest bliska, mała spędza z nią mnóstwo czasu. Ta dwudziestoczteroletnia dziewczyna jest dla niej lepszą matką niż kiedykolwiek była nią Laura.

Westchnął ciężko, wstał z krzesła i podszedł do okna. Z dwudziestego piętra widok na centrum Seattle i Puget Sound był wspaniały.

Zapierający dech w piersiach. Wybrzeże, doki, Pike Place Market - wszystko tętniło życiem. Wiele razy stał w tym samym miejscu, wyglądał i nic nie dostrzegał ani niczego nie czuł - teraz poczuł nagle niezwykle ożywienie.

Wrócił do biurka i wyłączył szybko komputer. Był jeszcze bardziej zdezorientowany niż po przyjściu. Nie wiedział właściwie, co robi ani co powinien zrobić. Nie miał żadnego planu, uznał jednak, że musi stąd wyjść i odnaleźć czym prędzej Carrie Weston.

To smutne, że trzynastoletnia córka miała więcej życiowej mądrości niż jej ojciec. W tym jednak wypadku tak właśnie było. Mackenzie miała rację, gdy mówiła, że Philip boi się zacząć życie od nowa, że chowa głowę w piasek, że nie umie pogodzić się z przeszłością. Oczywiście miał powody, by tej przeszłości żałować - ożenił się zbyt młodo, nierozważnie. Nie znaczy to jednak, że musi powtórzyć ten sam błąd, chociaż długo tego właśnie się obawiał.

Zamknął biuro, wsiadł do samochodu i ruszył do domu. Zaparkował w garażu po drugiej stronie ulicy i właśnie szedł do wejścia, kiedy zauważył Carrie. Poruszała się z jakąś naturalną gracją, jakby tańczyła. Pomyślał, że od początku mu się to podobało, choć nie umiał tego nazwać ani nie chciał się do tego przyznać. Cóż więc to było? Energia, witalność, radość? Tak, Carrie promieniowała radością życia. Czasami się zastanawiał, dlaczego zawsze jest taka uśmiechnięta i pogodna. Teraz już go to nie interesowało. Cieszył się, że taka jest, i miał nadzieję, że zechce podzielić się z nim tą radością.

- Carrie! - Przebiegł przez ulicę i zawołał ją, chociaż nie miał pojęcia, co powie, kiedy ją dogoni.

Przystanęła przed wejściem i odwróciła się zaskoczona. Kiedy zaś go zobaczyła, jej spojrzenie wcale nie było radosne. Nie odezwała się, póki do niej nie podszedł, nawet nie spróbowała się uśmiechnąć.

- Naprawdę nie miałam pojęcia, że Mackenzie zaprosiła nas oboje.

- Wiem - odparł z poczuciem winy.

- Wiesz?

Wzruszył ramionami i spuścił na chwilę wzrok. Za każdym razem gdy był blisko niej, uroda Carrie robiła na nim wstrząsające wrażenie. Spojrzał znów w jej błękitne oczy i powiedział:

- Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś... wiem, że to w ostatniej chwili i pewnie masz już inne plany, ale... - Urwał. Kiepsko mi idzie, pomyślał. - Czy poszłabyś ze mną na świąteczne zakupy? - zapytał w końcu, bo przyszło mu do głowy, że jeśli zaprosi ją na kolację albo do kina, Carrie natychmiast odmówi. - Chcę znaleźć coś dla Mackenzie - dodał na zachętę. - Przydałoby mi się chyba parę rad.

Błękitne oczy Carrie rozszerzyły się ze zdumienia.

- Dlaczego? - zapytała.

- Najlepiej teraz - zignorował pytanie i popatrzył na nią z nadzieją.

- Teraz? - powtórzyła, a potem uśmiechnęła się tym swoim łagodnym, uroczym uśmiechem, na widok którego topniało mu serce. - Dobrze - zgodziła się, jakby propozycja wcale nie była zaskakująca.

Dobrze. To niezwykle, jak jedno krótkie słowo może wywołać tyle radości. Gdyby Philip był aktorem na scenie, od tej chwili zacząłby śpiewać swoje kwestie.

Carrie zeszła ze schodków na chodnik i znów się uśmiechnęła - z radością i wdzięcznością. To on powinien być wdzięczny. Ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę parkingu.

Zycie jest piękne, pomyślał. Bardzo dawno przestał w to wierzyć, ale teraz uwierzył na nowo.

Rozdział 8

Kilka godzin wcześniej Carrie powiedziała mamie, że ledwo zna Philipa Larka. Teraz nie była pewna, czy znała jakiegokolwiek mężczyznę lepiej od niego. Siedzieli we włoskiej restauracji obłożeni prezentami świątecznymi i rozmawiali tak długo, aż wszystko zostało powiedziane. Nakrycia już dawno zabrano, a Philip właśnie nalał do jej kieliszka resztkę czerwonego wina.

Sala restauracyjna zdawała się lekko kołysać, ale nie miało to nic wspólnego z butelką pinot noir, którą wypili. Powodem był Philip. Z wahaniem, lecz szczerze opowiadał jej o swoim małżeństwie, o swoim życiu, karierze, ona zaś słuchała ze ściśniętym gardłem i z każdym słowem kochała go coraz bardziej. Wiedziała już, że jest kochającym ojcem i szlachetnym, wrażliwym, wielkodusznym człowiekiem. Całą winę za rozpad małżeństwa brał (jej zdaniem niesłusznie) na siebie. Starał się przy tym nie okazywać rozczarowania.

- Pozostaliście przyjaciółmi? - spytała, gdy mówił o powtórny ślubie byłej żony.

- Tak. Pomijając wszystko inne, Laura jest matką Mackenzie. Wiele było pomyłek w tym małżeństwie, ale moja córka na pewno do nich nie należy. Zawsze będę wdzięczny Laurze za to, że urodziła Mackenzie.

Carrie łzy napłynęły do oczu. Bardzo mu współczuła, a z opowieści Mackenzie wiedziała, że jego byłej żonie daleko było do ideału matki. Do ideału żony pewnie także.

- Co robisz jutro? - zapytał niespodziewanie Philip.

- W niedzielę? - Oparła łokcie na białym lnianym obrusie i usiłowała sobie przypomnieć rozkład zajęć na najbliższe dni. - Idę na spotkanie świąteczne u Manningów. Wżeniłyśmy się z mamą w taką ogromną, wspaniałą rodzinę. Jason ma czworo rodzeństwa. Jest już tyle wnuków, że naprawdę trudno zapamiętać, które dziecko jest czyje. Może przyjdziecie z Mackenzie i poznacie wszystkich?

Zawahał się.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie... tylko że... A, nieważne - stwierdziła w końcu, odrzucając wszelkie wątpliwości. Spojrzała mu w oczy i dodała: - Byłabym toardzo zadowolona, gdybyś przyszedł, Philipie.

- W takim razie przyjdę. - Ujął jej dłoń i lekko ścisnął.

Philip szybko zrezygnował z próby zapamiętania wszystkich imion.

Pierwszych dziesięciu krewnych, którym Carrie go przedstawiła, jeszcze jakoś rozróżniał, ale reszta stała się po prostu tłumem twarzy bez imion. Mackenzie zniknęła gdzieś zaraz po przybyciu, Doug i Dillon powitali go radośnie i pobiegli w ślad za jego córką. Philip złapał szklanekę jakiegoś napoju, znalazł cichy kącik i usadowił się wygodnie. Miał szczęście, że w ogóle znalazł miejsce do siedzenia.

Ze swojego stanowiska mógł obserwować, jak Carrie rozmawia z kolejnymi członkami rodziny. Śledził ją wzrokiem, kiedy z wprawą przeciskała się przez pokój, zdaje się, by znaleźć matkę i przedstawić Philipa obojgu rodzicom. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej policzki były zarumienione ze szczęścia, oczy lśniły podnieceniem. Weszła do tej rodziny przez małżeństwo matki, ale widać było, że uważają ją za swoją.

- Czy mogę się przyłączyć? - zapytała nagle kobieta, która podeszła niespodziewanie z kieliszkiem w dłoni.

- Ależ proszę - ustąpił jej swoje krzesło.

- Nie, nie, proszę siedzieć. Ja tylko na chwilkę. Pan musi być Philipem...

- Tak. - Przyjrzał się jej bliżej i od razu się domyślił, że ta ciemnowłosa piękna kobieta jest matką Carrie. - Pani Charlotte Manning? - zapytał na wszelki wypadek.

- Co za domyślność - uśmiechnęła się. - Tak - wyciągnęła rękę, którą ujął i uścisnął.

- Philip Lark.

- Tak też myślałam.

Teraz, kiedy stała przed nim, dziwił się, że nie rozpoznał jej wcześniej. Charlotte i Carrie miały takie same błękitne oczy o łagodnym, pogodnym wejrzeniu. Rozmawiali przez chwilę o drobnych, mało ważnych sprawach, zdaje się, że po to, by pani Manning mogła wyrobić sobie zdanie na jego temat. Wypadł chyba niezłe w jej oczach, sam też ją polubił, co było zresztą całkowicie zrozumiałe, skoro tak bardzo lubił jej córkę.

- A więc to pan jest kawalerem Carrie. - Mąż Charlotte, Jason Manning, dołączył do żony i objął ją w talii. - Witam. A gdzie Carrie? Widzę, że zostawiła pana i musi pan sam o siebie zadbać?

- Z tego, co zrozumiałem, poszła poszukać państwa. Cała trójka rozmawiała parę minut, po czym Jason odwrócił się i zawołał przez ramię:

- Paul! Chodź poznać chłopaka Carrie!

Po chwili wokół Philipa zebrała się spora grupka. Nawet nie próbował zapamiętać wszystkich twarzy. Przywitał się z dwoma wujami, jakąś ciotką, ścisnął dłoń jakiegoś podlotka. Wkrótce gdzieś wśród gwaru rozległo się głośne „Ho, ho, ho, czy są tu jakieś dzieci?” i najmłodszy członek rodziny Man-

ningów zgromadzili się z przejęciem przy wejściu, gdzie pojawił się Święty Mikołaj, czyli ojciec Jasona w odpowiednim przebraniu.

Wkroczył do pokoju, pobrząkując dzwonkiem i niosąc wór prezentów, a dzieci zapiszczały radośnie i rzuciły się w jego stronę.

Philip odetchnął z ulgą, gdy uwaga wszystkich odwróciła się od niego.

Usiadł w fotelu i odprężył się, zadowolony, że przestał być ośrodkiem zainteresowania. Zaraz potem obok niego pojawiła się Carrie. Usiadła na poręczy fotela i rzuciła mu przepraszające spojrzenie.

- Wybacz, nie chcieli mnie puścić.

- Zauważyłem. - Poklepał jej dłoń. - Poznałem w międzyczasie twojego ojczyma, matkę, dwóch wujków, ciotkę...

- Prawda, że są wspaniali? - przerwała mu ze śmiechem.

- Musiałbym być informatykiem, żeby zapamiętać, kto jest czyim mężem i czyją żoną.

- Nie przejmuj się, to przyjdzie z czasem. Ciesz się, że nie wszyscy dzisiaj przyszli.

- To znaczy, że jest ich więcej? Carrie pokiwała głową.

- Taylor i Christy mieszkają w Montanie. Mają sześcioro dzieci...

- O rany!

- Wszystkie własne. Jason, który ma tylko dwójkę, jest w tej rodzinie niechlubnym wyjątkiem.

- Poznałem jego chłopaków. Doug i Dillon, dobrze pamiętam? Mackenzie świetnie sobie z nimi radzi.

- I nie tylko z nimi. Doug i Dillon uważają, że jest równie fajna, jak czekoladowa polewa do lodów. Skoro ich zna, to radzi sobie i z ich kuzynami.

Po chwili, jakby wywołana tą rozmową, dołączyła do nich Mackenzie.

Pozostałe dzieci zebrały się wokół Mikołaja, lecz

ona, jako „dorosła” trzynastolatka, która nie wierzy w takie bajki, postanowiła poszukać innego towarzystwa. Była jednak na tyle młoda, by udzielił jej się świąteczny nastrój, o czym świadczyły jej lśniące radością oczy i rumieńce na policzkach.

- Dobrze się bawisz? - spytał Philip, gdy usiadła na drugiej poręczy fotela.

- Jest świetnie - odparła. - Nie wiedziałam, że bywają takie duże rodziny.

I wszyscy są tacy mili...

Mikołaj sięgnął do swojego worka i wyciągnął z niego zawiniętą w błyszczący papier paczkę. Przeczytał imię z doczepionej karteczki. Doug zerwał się z miejsca i popędził ku niemu, jakby prezent przepadał, jeśli nie odbierze się go w określonym czasie.

Mikołaj wyjął kolejny prezent z worka.

- A to co? - zapytał, opuszczając okulary, by odczytać imię. - Prezent dla jakiejś Mackenzie Lark? Mam nadzieję, że pani Mikołajowa nie pomieszała waszych prezentów z prezentami innej rodziny.

- Tam jest Mackenzie! - krzyknął Dillon. Wstał i pokazał palcem.

- Ja? - Mackenzie zsunęła się z poręczy fotela i położyła rękę na piersi. -

To prezent dla mnie?

- Jeśli masz na imię Mackenzie, to ten prezent na pewno jest dla ciebie.

Mackenzie nie potrzebowała kolejnego zaproszenia. Pobiegła w stronę Mikołaja z takim samym pośpiechem, jak wcześniej zrobił to Doug.

Philip spojrzął w oczy Carrie.

- To na pewno sprawka mojej mamy - powiedziała.

- Poznałem ją, urocza osoba. Rozmawialiśmy trochę. Otworzyła szeroko oczy.

- Rozmawialiście? I co powiedziała?

- Niewiele, za to twój ojczym wywarł na mnie mocne wrażenie.
- Jason? O nie, cokolwiek powiedział, nie przejmuj się. Ma dobre intencje i uwielbiam go, ale zazwyczaj chodzi z głową w chmurach i nie wie, co mówi.

Philip był zaskoczony jej nagłym zakłopotaniem. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział Carrie bardziej zdenerwowaną i speszoną. Nawet kiedy byli uwięzieni w ciemnej windzie, była spokojniejsza niż teraz.

- Powiedz, Carrie - odezwał się z chytrym uśmiechem -dlaczego jesteś taka przejęta? Czy boisz się, że mógł mi powiedzieć coś kompromitującego?

Zacisnęła wargi.

- No... nie jestem całkiem pewna, ale sugestia, żebyś wreszcie poszedł po rozum do głowy i oświadczył mi się, byłaby do niego całkiem podobna.

Philip z trudem powstrzymał wybuch śmiechu.

- Nie martw się, nic takiego nie mówił.

Rozmowę przerwała Mackenzie, która wróciła szczęśliwa, ściskając oburącz swój prezent.

- Może otworzysz? - zaproponowała Carrie.

- Teraz? - Dziewczynce nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzuciła się na papier, jakby każda następna sekunda oczekiwania była nieznośną torturą. W środku znalazła zestaw toaletowy: lusterko, szczotkę do włosów i grzebień. Philip uśmiechnął się. Kobięcy prezent. - Wspaniale - szepnęła, tuląc przybory do piersi. - Zawsze chciałam mieć coś takiego.

- Skąd wiedzieliście? - zapytał. Jemu nigdy by nie przyszło do głowy, by wybrać taki prezent dla córki. Może nie zauważył, kiedy przestała być malutkim dzieckiem?

- Ja mam podobne - szepnęła Carrie dyskretnie. - Była u mnie, widziała je, powiedziała, że marzy o takich.

- Aha - skinął głową i znów się uśmiechnął, choć do śmiechu wcale mu nie było. Oto po raz kolejny uświadomił sobie, że coraz trudniej mu zrozumieć własną córkę. Była w trudnym wieku, niełatwo było dojść, co ją nurtuje. Raz mówiła, że chciałyby mieć konia, w następnej chwili pytała o lekcje baletu. To śmiała się w głos, to zalewała łzami. Najprościej byłoby powiedzieć, że sama nie wie, czego chce, i tak właśnie często o niej myślał. A przecież powinien wiedzieć, że dziewczynka zaczyna dojrzewać i że zmienne nastroje, bunty i chandry są w tym wieku normalne. Szkoda, że Laura nie interesowała się córką, on bowiem nie miał pojęcia, jak sobie z nią radzić. Co zaś do Carrie, to przyjęcie to raz jeszcze mu uświadomiło, jak ważną osobą jest ona dla Mackenzie. Przyjęcie było urocze, gdy jednak wreszcie się skończyło, Philip odetchnął z ulgą. Podziękował najstarszym Manningom za gościnę, oni zaś wyściskali go jak członka rodziny.

- Będziecie zawsze u nas mile widziani - zapewniła Elizabeth Manning, ujmując jego dłoń w swoje. Impulsywnie pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Zawsze też znajdzie się dla was jakiś prezent. Musisz mi jednak, Philipie, coś obiecać...

- Co takiego? - zapytał.

- Chcę, żeby ślub był wielki, a wesele huczne - oznajmiła, tym razem na tyle głośno, żeby usłyszało ich pół pokoju.

Philip usłyszał za sobą pomruki aprobaty.

- Jeszcze raz dziękuję, babciu - wtrąciła się Carrie, ratując go przed koniecznością wymyślenia dobrej odpowiedzi.

Uściskała starszych państwa i wyszła na zewnątrz. Jason, Charlotte, Doug i Dillon poszli za nimi i na dworze odbyła się druga część pożegnalnej ceremonii. Była to chyba najbardziej wylewna rodzina, jaką Philip kiedykolwiek poznał. Nie przeszkadzało mu to jednak. Jemu samemu zawsze brakowało

silnych rodzinnych więzów. Laura została wychowana w zupełnie innej atmosferze, on podobnie.

Jadąc do domu, śpiewali kolędy. Słodki głos Carrie idealnie łączył się z głosem jego córki. Jego własny był lekko zardzewiały po długim nieużywaniu i trochę fałszował, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało, a już najmniej Mackenzie, z której szczęście kipiało jak gazowany napój ze wstrząśniętej butelki. Zaparkował samochód i przeszli przez ulicę w stronę domu.

- Świetnie się bawiłam - westchnęła Mackenzie i przytuliła się do Carrie, kiedy czekali na windę.

- Ja też.

- To dobrze, że przyjęcie było dzisiaj, a nie jutro. Jutro będę już u mamy.

- Tak, wiem - odparła Carrie. - Ominie cię wigilia w naszym domu, ale wszystko ci później opowiem.

- Myślisz, że Madame Frederick zrobi dla mnie wróżbę, nawet jak mnie nie będzie?

- Na pewno.

- To i dla mnie też - dodał Philip.

- Nie przyjdiesz? - Ta wiadomość zaskoczyła Carrie. Już wcześniej wspominała o wigilijnej wieczerzy organizowanej przez mieszkańców kamienicy, lecz jakoś udało mu się uniknąć odpowiedzi.

- Nie - odparł, wciskając przycisk zamykający drzwi windy.

- Miałam nadzieję... - urwała, nie mogąc ukryć rozczarowania, a wtedy zrobiło mu się głupio.

Nie chciał jej sprawić przykrości, jednak jego zdaniem większość sąsiadów stanowili nieszkodliwi ekscentrycy. Nie miał w zasadzie nic przeciwko nim, ale nie zamierzał też z nimi się zaprzyjaźniać. Dlaczego więc miałby spędzać z nimi ostatni przedświąteczny wieczór?

- Namów go - doradziła Mackenzie, kiedy winda zatrzymała się na piętrze Carrie.

Teraz żałował, że w ogóle się odezwał.

- Może wstąpicie na filiżankę herbaty? - zapytała Carrie.

- Pewnie! - odpowiedziała za ojca Mackenzie i wypchnęła go z windy. - To znaczy tata wstąpi, bo ja idę spać. Dobranoc.

Drzwi zamknęły się, zanim zdążył odpowiedzieć. Mackenzie pojechała wyżej, oni zostali sami.

- Chyba rzeczywiście miałem ochotę - zaśmiał się, a Carrie nieśmiało spojrzała mu w oczy i powiedziała cicho:

- Miałam taką nadzieję.

Otworzyła drzwi i weszła do mieszkania, ale powstrzymał ją przed włączeniem światła. Chwycił ją za ramię i pociągnął w objęcia.

- Cały wieczór na to czekałem - szepnął, po czym niecierpliwie odszukał w ciemnościach jej wargi.

Miał to być delikatny, czuły pocałunek. Pocałunek potwierdzający, że cieszy się z jej towarzystwa i ze wspólnie spędzonego wieczoru. Gdy jednak ich usta się zetknęły, Philip poczuł tak silny przyływ pożądania, że z trudem zdołał nad nim zapanować. Żadna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia. Wplótł palce w jej włosy, przechylił głowę, drugą dłonią sięgnął do piersi...

Kiedy jęknęła cichutko w odpowiedzi na jego pieszczoty, rozkosz zaszumiała mu w uszach. Kolana się pod nim ugięły, słodycz wypełniła lędźwie. Czuł, jak rozsadza go szczęście, chciał zaczerpnąć go jeszcze obficiej i właśnie wtedy usłyszał pytanie, które na moment go otrzeźwiło:

- Dlaczego nie chcesz przyjść jutro na przyjęcie?

W tej chwili przyjęcie było ostatnią rzeczą, o jakiej Philip mógł i chciał myśleć. Poprowadził Carrie do ciemnego saloniku, usiadł w fotelu i posadził ją sobie na kolanach.

- Porozmawiamy o tym później, dobrze?

Nie dał jej czasu na odpowiedź. Przyciągnął ją do siebie po kolejną porcję oszałamiających pocałunków i Carrie pozwoliła się nimi oszołomić.

- Dlaczego później? - zapytała jednak po kilku chwilach, po czym ugryzła go lekko w szyję, wywołując rozkoszne dreszcze.

- Nie jestem pewien, czy lubię Madame Frederick. Roześmiała się cicho i zaczęła kąsać płatek jego ucha.

- Madame jest całkowicie nieszkodliwa.

- Podobno. - Ujął twarz Carrie w dłonie, by znów odnaleźć jej wargi.

Pocałunek był długi i głęboki. - Ludzie, którzy tu mieszkają, to banda dziwaków - dodał, gdy oderwał od niej usta, by zaczerpnąć oddech. -

Połowa z nich to kandydaci do wariatkowa. A tak w ogóle to dlaczego o to pytasz?

Carrie zeszywniała w jego ramionach.

- Mówisz o moich przyjaciółach.

- Hej, chyba się nie obrazisz?

Zsunęła się z jego kolan i stanęła przed nim z surową miną.

- Ja też mieszkam w tej kamienicy. Czy o mnie też tak myślisz?

- Nie, oczywiście, że nie. - Zaniepokoił się. - Okay, jeśli to dla ciebie tyle znaczy, to przyjdę na to głupie przyjęcie.

- Nie, dziękuję - odparła sztywno. - Nie chcę mieć wobec ciebie zobowiązań.

Po jej tonie poznał, że głęboko ją uraził. Cholera, wcale tego nie chciał.

Przecież zrozumiał już, że spotkanie Carrie Weston było prawdziwym błogosławieństwem, darem losu. Zgodził się przecież przyjąć ten dar.

- Carrie, przepraszam. Wyrwało mi się,

- Czy naprawdę tak myślisz, Philipie? - pytała nieustępliwie, cichym, lecz twardym głosem.

Nie odpowiedział od razu, bojąc się, że każda odpowiedź jeszcze bardziej go pograży, ona jednak opatrnie zrozumiała jego milczenie.

- Rozumiem, to mi wystarczy. Wybacz, ale jestem zmęczona...

Wolałabym, żebyś już poszedł.

- Carrie, na litość boską, bądź rozsądna!

Podeszła do drzwi i otworzyła je wymownie. Ostre światło buchnęło mu prosto w twarz. Philip zmrużył oczy - i zrobił, co mu kazała.

- Porozmawiamy o tym później, dobrze?

- Jasne - odparła z sarkastyczną miną.

Nie chciało mu się czekać na windę, wybrał schody. Musi porozmawiać z Mackenzie i poradzić się, co ma robić w tej sytuacji. Ona na pewno będzie wiedziała. Nigdy nie myślał, że przyjdzie mu się radzić nastoletniej córki, lecz teraz był wdzięczny, że ma taką możliwość.

Otworzył drzwi. Mieszkanie było ciemne i ciche. Włączył światło i skierował się do pokoju Mackenzie. Łóżko było trochę ruszone, jakby na nim siadała.

- Mackenzie! - zawołał Ciska.

Sprawdził pozostałe pokoje i dopiero w kuchni znalazł pozostawiony na stole liścik:

Tato!

Mama zastawiła wiadomość na sekretarce. Powiedziała, że nie przyjedzie i że jednak nie mogą spędzić u niej świąt. Powinam była wiedzieć, że będzie zbyt zajęta. Ma czas na wszystko, tylko nie na mnie.

Muszę to przemyśleć w samotności.

Mackenzie

Rozdział 9

Carrie nie była pewna, dlaczego uwaga Philipa o Madame Frederick i innych lokatorach tak ją zdenerwowała. To prawda, obraził jej przyjaciół, nie sposób było wszakże zaprzeczyć, że są rzeczywiście lekko zdziwaczali. Byli też jednak sympatycznymi, życzliwymi ludźmi i bolało ją, że Philip - akurat on! - wyraża się o nich z takim lekceważeniem. Z niewesołych rozmyślań wyrwał ją dzwonek u drzwi. Ktokolwiek dzwonił, bardzo był niecierpliwy, gdyż nie puszczał przycisku, jakby na złość chciał narobić jak najwięcej hałasu.

- Chwilę! Zaraz! - zawołała mocno zirytowana i poszła otworzyć.

Ku jej zaskoczeniu, na progu stał Philip.

- Widziałaś Mackenzie? - zapytał bez wstępów.

- Od powrotu z przyjęcia nie.

Odetchnął głęboko i pokręcił bezradnie głową.

- Jej matka nagrała się na automatycznej sekretarce. Nie przyjedzie po nią, chociaż tak było ustalone.

Carrie zauważyła, że mięsień na jego twarzy drży od tłumionego gniewu.

- Tak się cieszyła, że spędzi ferie z Laurą - ciągnął. - O niczym innym nie mówiła...

Carrie wiedziała o tym. Sporo czasu spędziła z dziewczynką na wybieraniu fryzury i strojów na wizytę. Mackenzie tak zależało, żeby pięknie wyglądać w oczach matki. Chciała jej zaimponować swoją dorosłością, pokazać, że jest modna i no-

woczesna. Starła się wydać matce jak najbardziej atrakcyjna, bo miała nadzieję, że ta dostrzeże to i zaaprobuje. I że wreszcie ją pokocha.

- Zostawiła mi liścik, że musi przemyśleć wszystko w samotności. -

Zerknął nerwowo na zegarek. - To musiało być niecałą godzinę temu.

Gdzie ona, u diabła, mogła pójść? Masz jakiś pomysł?

- Nie mam pojęcia - szepnęła Carrie. Serce jej się ścisnęło na myśl o cierpieniu, jakie musiało być udziałem dziewczynki. Te parę dni z Laurą było dla niej niezwykle ważne.

- Myślałem, że przyszła do ciebie. - Przetarł dłonią oczy. - Naprawdę nie wiem, gdzie jej szukać. Może razem coś wymyślimy? - westchnął i popatrzył na nią błagalnie.

- Pewnie nie ma ochoty na towarzystwo - odparła, starając się przestać martwić i myśleć sensownie.

- Tak - Philip skinął głową. - Myślisz, że wyszła na spacer? Sama, po ciemku? - Wzdrygnął się na ostatnie słowa.

- Nie wiem. Ale pomogę ci szukać.

Spojrzał na nią z wdzięcznością, Carrie zaś sięgnęła po kurtkę i torebkę i po chwili oboje wybiegli z budynku.

Kiedy Carrie miała osiemnaście lat, wkrótce po tym, jak skończyła liceum, postanowiła odszukać swojego prawdziwego ojca. To była pomyłka. Był przekonany, że porzucone dziecko czegoś od niego chce, i teraz, wspominając to zdarzenie, Carrie wiedziała, że miał rację. Tak, dorastająca dziewczyna chciała, żeby tata ją kochał, żeby powiedział jej, jak bardzo jest dumny z tego, że wyrosła na piękną kobietę. Prawie rok zajęło jej uświadomienie sobie, że Tom Weston nie był zdolny dać jej cokolwiek. Nawet aprobatę.

Przez pięć wspólnie spędzonych lat to Jason Manning pokazał jej, co to znaczy być kochającym ojcem. Oczywiście doceniała to, lecz świadomość, że mężczyzna odpowiedzialny

za jej urodzenie nie chce mieć z nią nic wspólnego, była trudna do zniesienia. Dopiero po kilku miesiącach Carrie pogodziła się z jego decyzją. Była mu nawet wdzięczna za szczerłość, która ją początkowo zraniła.

Wszystko to próbowała sobie teraz przypomnieć, by wczuć się w psychikę Mackenzie. Przecież zawsze twierdziła, że jest do niej taka podobna, więc może znajdzie się jakaś analogia, która naprowadzi ich na trop uciekinierki.

Niestety, zagłędali pośpiesznie w różne miejsca, w których mogła skryć się Mackenzie, ale nigdzie nie mogli jej znaleźć. Ich obawy rosły, choć starali się im nie ulegać i nie wpadać przedwcześnie w panikę. Uspokajali się wzajemnie, lecz z minuty na minutę groza rosła.

- Nie chcę nawet myśleć, gdzie może być, samotna, zmarznięta, zapłakana... - Philip wbił z ponurą miną ręce w kieszenie kurtki.

- Ja też - westchnęła Carrie.

- Mógłbym zniechęcić za to Laurę do końca życia, ale szkoda mi nerwów. Mnie może traktować, jak jej się podoba, ale nie Mackenzie. To jej córka, do cholery. Rodzona córka!

- Zostawmy Laurę. Myślmy o Mackenzie.

- Wiem - spuścił głowę. - To z rozpaczy. I z bezradności. Może powinienem był coś jej powiedzieć? - zastanawiał się głośno. - Ostrzec ją, żeby nie wierzyła zbyt w obietnice matki. Ale ja nic nie mówiłem, żeby nie uznała, że usiłuję narzucić jej własne sądy.

- Bardzo mądrze - próbowała go pocieszyć.

- W tej chwili nie jestem tego taki pewny.

- Mackenzie ma dość rozumu, by sama ocenić swoją matkę. Ani ja, ani ty nie musimy jej w tym pomagać - zapewniła go Carrie.

Spojrzał jej w oczy.

- Obyś miała rację.

Sprawdzili wszystkie miejsca, jakie przyszły im na myśl, ale bez skutku. Była prawie północ, kiedy w końcu wrócili do domu. W budynku było cicho i ciemno, co jeszcze podsyciło ich obawy.

- Chyba nie zrobiła jakiegoś... głupstwa, prawda? - zapytał Philip, pełen złych przeczuć.

- To mądra dziewczyna. Samobójstwo nie wchodzi w grę.

- Boże - wzdrygnął się - pewnie, że nie. Bywa szalona, ale nie aż tak. A czy myślisz, że mogłaby na przykład uciec, żeby znaleźć matkę?

- Nie wiem.

Kiedy weszli do holu, Carrie zauważyła otwarte drzwi do piwnicy. Podeszła bliżej i dosłyszała z dołu przyciszone głosy. Spojrzała na Philipa z nagle obudzoną nadzieją.

- Sprawdźmy - zaproponował.

Zeszła za nim po schodach, dziwnie przekonana, że za chwilę zguba się odnajdzie. Najpierw rozpoznała głos Madame Frederick oraz Arnolda.

Domyśliła się, że kończą dekorować salę na jutrzejsze przyjęcie.

Wychyliła się z mroku i wtedy, w kręgu światła padającego ze stuwatowej żarówki, zobaczyła Mackenzie Lark.

Dziewczynka pracowicie przypinała ozdobne łańcuchy z krepiny do sufitu. Nie przejęła się zbyt widokiem Philipa i Carrie. Skinęła im lekko głową, zeskoczyła z krzesła i oznajmiła, jak gdyby nic się nie stało:

- Cześć, tato, cześć Carrie.

- Gdzie byłaś, młoda damo? - spytał szorstko Philip.

Carrie położyła mu dłoń na ramieniu, by okazał mniej złości, a więcej współczucia. Jego mięśnie rozluźniły się trochę. Wiedziała, że wiele wysiłku kosztowało go, by nie przebiec przez salę i nie przytulić dziewczynki do piersi.

- Przepraszam, tato. Zapomniałam powiedzieć, gdzie idę.
 - Carrie i ja szukamy cię od dobrej godziny.
 - Przepraszam - powtórzyła Mackenzie.
 - Wszystko w porządku? - włączyła się Carrie.
 - Już tak.
 - I nie przeszkadza ci, że nie spędzisz świąt z mamą? Mackenzie zawahała się, jej dolna warga lekko zadrżała.
 - Jestem rozczarowana, ale jak powiedziała Madame Frederick: „zab czasu osuszy każdą łzę”. - Roześmiała się i otarła nos przedramieniem. - Mama sama musi zdecydować, jaką rolę mam grać w jej życiu. Ja mogę tylko pozwolić jej wybrać. Poza tym mam tatę, mam przyjaciół... - Rozejrzała się z wdzięcznością po sali.
- Muskularny Arnold w elastycznych szortach uśmiechnął się do niej niezgrabnie. Madame Frederick pokiwała z powagą głową, Maria pomachała dziewczynce ręką. Carrie zaś podeszła do niej i ucałowała jej czoło. Ona też należała do tych przyjaciół.
- Mackenzie objęła ojca ramionami i wtuliła twarz w jego pierś.
- Nie pojechałam, ale będę mogła za to przyjść na to przyjęcie - powiedziała, usiłując spojrzeć na wszystko z jaśniejszej strony. - Ty nie musisz przychodzić, tato - dodała szybko. - Rozumiem.
 - Chcę przyjść - powiedział, spoglądając na Carrie. Wyciągnął rękę, ich palce splotły się w geście pojednania i zrozumienia. - Właśnie w takich chwilach człowiek może się przekonać, jakie to szczęście, że ma przyjaciół.
- Ku zdziwieniu Carrie, Mackenzie zachichotała i zerknęła przez ramię na Madame Frederick.
- A nie mówiłam? - odezwała się starsza pani, uśmiechając się tajemniczo. - Kryształowa kula wszystko widzi.

- A mnie ni cholery nie pomogła, kiedy pytałem o najlepsze inwestycje - przypomniał jej zgryźliwie Arnold. - I nie pomogła w totolotku.

- Ostrzegałam, że nie pomoże ci się wzbogacić - odparła Madame Frederick.

- To jaki z niej pożytek?

- Spełnia swoje zadania - odpowiedź Philipa zaskoczyła wszystkich.

Objął córkę ramieniem i uśmiechnął się jak człowiek, który szczęśliwie wrócił z dalekiej i trudnej podróży. - Chyba dość mieliśmy wrażeń jak na jeden dzień, zgadzasz się, córeczko?

Mackenzie skinęła głową.

- Tak, tato. Dobranoc wszystkim.

- Dobranoc - powiedział Arnold.

- Karaluchy pod poduchy - dodała Madame Frederick.

- Dobranoc, maleńka. I masz mnie kiedyś odwiedzić, jasne? - poprosiła Maria.

- Na pewno - obiecała Mackenzie i poszła z ojcem do schodów.

Carrie wyszła wraz z nimi, wsiedli razem do windy.

- Rano mam piec ciasteczka na przyjęcie - powiedziała, kiedy winda dotarła do jej pięto.

- Potrzebujesz pomocy? - zaoferowała się Mackenzie. - Tym razem nie musisz się martwić, że skorupki wpadną do ciasta.

- Oczywiście, że musisz mi pomóc, kochanie.

Pożegnała się i wysiadła, a potem weszła do pustego mieszkania i zaczęła szykować się do snu. Kiedy nałożyła nocną koszulę, zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę, rozpoznała znajomy głos.

- Wiem, że widzieliśmy się dziesięć minut temu, ale chciałem jeszcze ci podziękować.

- Za co? Przecież nic takiego nie zrobiłam.
- Nieprawda - odparł Philip. - Pomogłaś mi odnaleźć córkę, i to nie tylko dosłownie.
- Chciałabym sobie przypisać tę zasługę, ale nie mogę.
- Myliłem się co do twoich przyjaciół. Uśmiechnęła się.
- Prawda, że są cudowni?
- Tak, cudowni, tak samo jak ty. Mackenzie przeżyła wielki zawód. Była zdruzgotana, kiedy jej matka znów się wykreciła. Znam ją i wiem, jak normalnie reaguje w takich sytuacjach. Nie mam pojęcia, co takiego powiedziała jej Madame Frederick, ale najwyraźniej tego właśnie było jej trzeba.
- Może po prostu była z nią i umiała jej wysłuchać.
- Tak, ja też tego potrzebowałem. Nawet nie wiesz, ile dla mnie zrobiłaś, Carrie.
- Daj już spokój - powiedziała, speszona nieco tym podniosłym tonem. - Powiedz lepiej, czy przyjdiesz na przyjęcie?
- W czapce świętego Mikołaja. - odparł. Zawahał się, a potem zaśmiał cicho i dodał: - Będę dobrze pasować do reszty.

Epilog

Pół roku później

- To chyba najpiękniejszy dzień mojego życia! - oznajmiła Mackenzie, wirując w długiej sukience z różowego szyfonu. Na głowie miała wianek, z którego spływała na plecy jedwabna wstęga. - Naprawdę będziesz moją mamą, tak jak mówiła Madame Frederick!

- Dla mnie to też wspaniały dzień. - Carrie położyła dłonie na brzuchu, żeby uspokoić rozdygotane nerwy. Stały przy wejściu do kościoła, który był już pełen krewnych i znajomych, oczekujących na zjawienie się panny młodej. Za chwilę wystrojony w garnitur Jason miał ją poprowadzić do ołtarza.

- Tata był rano taki słodki... - zachichotała Mackenzie. - A jaki przejęty! Myślałam, że zwymiotuje całe śniadanie. Jest w tobie taki zakochany, że ledwo może jeść.

Carrie zamknęła oczy, usiłując uspokoić nerwy. Ona nawet nie próbowała jeść śniadania. A co do bycia zakochaną, to całkiem oszalała na punkcie Philipa i Mackenzie. Tego dnia spełniały się wszystkie jej marzenia, jak w najpiękniejszej bajce.

- Jest już Gene z żoną i kumple z biura - oznajmiła Mackenzie, zaglądając do kościoła. - O rany, nie wiedziałam, że tylu ludzi zna mojego tatę. - Znowu zatańczyła, robiąc koło wokół Carrie. - Będziesz najpiękniejszą panną młodą na świecie. Tak powiedział tata. I ma rację!

- Dziękuję, kochanie.

- I to naprawdę super, że pozwoliłaś mi być druzną. Nie każdy by się zgodził. O rany, mój pierwszy ślub... - westchnęła znowu, a jej oczy przybrały rozmarzony, nieobecny wyraz.

- Kto miałby zostać moją druzną, jeśli nie ty? - uśmiechnęła się Carrie.

- No nie? Pewnie nie wyszłabyś za tatę, gdybym się o to nie postarała. Ale to Madame Frederick podsunęła mi pomysł, więc to także jej zasługa.

- Pamiętaj, co ci mówiłam o Madame Frederick i jej kryształowej kuli.

- Pamiętam, ale to naprawdę wygląda tak, jakbyście ty i tata byli dla siebie stworzeni.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Dokładnie tak. Gdybym mogła Wybrać sobie kogokolwiek na mamę, to wybrałabym ciebie. - Oczy dziewczynki stały się nagle ciemne i poważne. - Dla taty też jesteś idealna. On cię potrzebuje prawie tak samo jak ja. Bo ja wolę być z tobą niż z kimkolwiek innym. No, może z wyjątkiem taty i Lesa Williamsa - westchnęła dramatycznie. - Ale Les pewnie nawet nie wie, że istnieję.

- Nie bądź tego taka pewną.

- Hej, gotowe? - zapytał zza drzwi Jason.

Carrie wzięła głęboki oddech. Mackenzie podała jej bukiet i otworzyła drzwi. Jason ujrzał ją i zastygł na moment z wrażenia.

- Jesteś... prześliczna - wyszeptał.

- Tak cię to dziwi? - zażartowała.

- Jesteś tak podobna do matki w dniu jej ślubu, że nie mogę w to uwierzyć..

Mackenzie posłała jej uśmiech i pobiegła dołączyć do pozostałych druzhen, przyjaciółek Carrie.

- Bądź szczęśliwa, mała - powiedział Jason podejrzanie

niskim głosem, a potem ujął ją pod ramię i poprowadził do ołtarza. -
Zawsze byłaś i będziesz moją córką - dodał, poprawiając wolną ręką
krawat. - Pamiętaj, że oboje z matką jesteśmy z ciebie dumni.

- Dziękuję, tato - wyszeptała ze ściśniętym gardłem Nad jej głową organy
huczały weselnego marsza, oni zaś kroczyli pewnie naprzód. W stronę
Philipa. W stronę miłości. W stronę wspólnego szczęścia.

Steffen Sandra

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Kto się boi świąt?

Prolog

Max Fitzpatrick przejechał rękawem swetra po zaparowanej szybie i wyrztał przez okno. Bardzo kochał swój stary dom, a ten pokój lubił najbardziej, gdyż przy dobrej pogodzie widział z niego całą drogę do portu. Dziś mógł zobaczyć jedynie dom obok, więc obserwował olbrzymie płatki śniegu, spadające z nieba niczym ptasie pióra i otulające bielą całą okolicę.

Matka Maksa przybijała na podwórzu tablicę z napisem „Pokój do wynajęcia”, a on miał wyciągnąć z szafy walizki, tak aby mama mogła je spakować, gdy tylko upora się ze swoją robotą. Znowu wybierali się na wybrzeże do cioci Maggie i wuja Henry'ego, jak zawsze o tej porze roku. Jutro udadzą się na paradę z okazji Święta Dziękczynienia, a potem wrócą do domu Maggie, do jej kuchni, gdzie napchają się do woli indykiem i puree ziemniaczanym z sosem, i jeszcze trzema rodzajami ciasta. W piątek wszyscy razem pójną na zakupy. Jak zawsze Max i Shiloh zrobią sobie zdjęcia ze Świętym Mikołajem. Taka przecież była tradycja.

A on już powinien pomyśleć o tym, co chciałby dostać na Gwiazdkę. To nie było skomplikowane. Chciał dokładnie tego samego, co w zeszłym roku. I tego, co dwa lata temu. Chciał taty. Takiego prawdziwego taty. Nie kogoś, kto raz czy dwa razy w roku wysyła pocztówki i zostawia wiadomości na automatycznej sekretarce, chociaż doskonale wie, że w tym czasie Max i Shiloh są w szkole.

Max w zeszłym roku poznał prawdę o Świętym Mikołaju.

Kiedy już się oswoił z tą myślą, wcale nie był specjalnie zaskoczony. Właściwie to zrozumiał wtedy, dlaczego dotąd nie otrzymał tego, czego pragnął. Nie sądził, żeby Święty Mikołaj, choćby nawet był prawdziwy, potrafił załatwić mu tatę. Do tego Max potrzebował mamy.

A ona nie wybierała się ponownie za męża. Wiele razy słyszał, jak powtarzała to swojej najlepszej przyjaciółce. Twierdziła, że wuj Henry jest jednym z niewielu mężczyzn, na których można polegać. Wyglądała na bardzo zadowoloną, gdy Maxi wujek Henry siłowali się ze sobą i bawili w męskie zabawy, takie jak udawanie świni albo czochranie się pod pachami.

Mama nazywała weekendy u wujka Henry'ego ważnymi chwilami. Max bardzo lubił wuja, ale potrzebował więcej niż kilku godzin ważnych chwil w tygodniu. Dlatego pragnął, żeby mama ponownie wyszła za męża. Nie za wuja Henry'ego, bo on miał już żonę, i nie za kogoś takiego jak ojciec Guzka Grahama. Jego tata rozwalał się na kanapie i oglądał telewizję, wrzeszcząc na Guzka, żeby podał mu piwo.

W związku z tym Max uważnie przyglądał się mężczyznom, których widywał. Niektórzy byli wysocy, inni nosili brody, a kilku chodziło w krawatach albo w kombinezonach. Wielu z nich zrzedziło, choć mama twierdziła, że nie wszyscy mężczyźni są tacy. Max nie przejmowałby się, gdyby jego nowy tata trochę zrzedził, jeśli tylko byłby miły i dobry dla mamy, Shiloh i niego.

Jakiś ruch na podwórzu przyciągnął nagle jego uwagę. Nadine Boak, ich najbliższa sąsiadka, podeszła i zaczęła rozmawiać z jego mamą. Max lubił Nadine; podobał mu się jej sposób mówienia i kolor włosów, i to, że zalewała się czarnymi od tuszu łzami, kiedy oglądała smutny film na wideo. W przeciwieństwie do matki Maksa Nadine nie ustawała w poszukiwaniach męża.

Max właśnie westchnął głośno, gdy wtem skrzypnęły drzwi i do pokoju wśliznęła się jego młodsza siostra.

- Cześć, Maxie - powiedziała.

Shiloh była jedyną osobą na świecie, która mogła nazywać go tym zdrobnieniem.

- Mam coś, co będzie pasowało do tego, co przygotowujesz dla mamy na Gwiazdkę - oznajmiła szeptem. - Chcesz zobaczyć?

Max popatrzył na swoją pięcioletnią siostrę. Szeptła, a to oznaczało, że albo ma jakąś tajemnicę, albo zrobiła coś, co mogło ją wpędzić w kłopoty. Chcąc sprawdzić, jak jest naprawdę, szedł za siostrą po schodach, które znajdowały się na tyłach domu.

Oboje wiedzieli, w których miejscach schody skrzypią. To, że Shiloh unikała stąpania po skrzypiących deskach, wzbudziło jeszcze większe podejrzenia Maksa.

- Coś ty zrobiła? - wyszeptał natychmiast, jak tylko znaleźli się w jej zagraconym pokoju.

Shiloh była szczuplutka. Niezależnie od tego, ile jadła, wcale nie tyła. Oprócz tego, jak na małą dziewczynkę, była bardzo dzielna i lubiła robić wszystko sama, co sprawiało, że rozbawiała sobą otoczenie, choć czasem też doprowadzała je do rozpacz.

- Nic nie zrobiłam, no... przynajmniej nic złego - odparła. - Popatrz tylko.

- Spod poduszki wyciągnęła zakurzoną aksamitną torebkę i rozsypała jej zawartość na swojej pościeli. - Czy to nie najpiękniejsze cyrkonie, jakie kiedykolwiek widziałeś? - spytała.

Max przyjrzał im się uważnie. Rzeczywiście były ładne, lśniły mocno w świetle lampki stojącej obok łóżka Shiloh.

- Skąd je masz? - zaciekał się.

Dziewczynka włożyła wszystkie świecidełka z powrotem

do woreczka. - Nie ukradłam ich, naprawdę. Ja je znalazłam. Pod podłogą w korytarzu na strychu. Myślisz, że jakaś inna mała dziewczynka dawno temu je tam położyła i o tym zapomniała?

Max zastanowił się nad tą możliwością. On, Shiloh i mama mieszkali w tym domu od pięciu lat. Przedtem stara gospoda należała do babci Maksa i jej siostry. Shiloh pewnie miała rację. Jakiś lokator najprawdopodobniej znalazł świecidełka i schował je, a potem o wszystkim zapomniał.

- Skoro je znalazłaś, to moim zdaniem możesz je sobie zatrzymać - powiedział.

Shiloh cała się rozpromieniła. - Pani w programie telewizyjnym, który wczoraj oglądała mama, przyczepiała do doniczki całą masę guzików. Te cyrkonie są o wiele ładniejsze niż guziki. - Schowała woreczek i odsunęła z oczu niesforny kosmyk włosów. - Dostaniesz je do doniczki, którą robisz dla mamy. Pod jednym warunkiem.

Max uśmiechnął się do Shiloh. Nie potrafił się powstrzymać. Miała o cztery lata mniej niż on i była dwukrotnie mniejsza. Nie bardzo mogła stawiać warunki, a wcale się tym nie przejmowała. Jednak Max jako chłopak mógł dostać od kolegów niezłe lanie, gdyby się przyznał, że lubi swoją siostrę, więc wołał to trzymać w sekrecie.

- Pod jakim warunkiem? - spytał.

- Możesz je mieć, jeśli pozwolisz mi pomagać w przyklejaniu.

- Zgoda - odparł. - Możesz mi zacząć pomagać, jak tylko wrócimy od wujka Henry'ego i cioci Maggie.

Shiloh wciąż się uśmiechała, kiedy nagle z dołu rozległ się głos ich matki.

- Max? Masz te walizki? Max skoczył ku drzwiom.

- Rozmawiałem z Shiloh! - odkrzyknął. - Już idę!

- Dobrze. Śnieg bardzo mocno pada. Chcę jak najprędzej wyruszyć na wybrzeże. Już prawie ze wszystkim skończyłam. Przy okazji, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Nadine mówiła, żebyś się nie martwił. Nakarmi twoje złote rybki podczas naszej nieobecności.

Max westchnął ciężko. Nie miał nic przeciwko złotym rybkom, ale wszyscy wiedzieli, że wolałby raczej mieć psa. Opuściwszy głowę, pomyślał o tej jednej jedynej rzeczy, o której nikomu nie powiedział - nikomu oprócz tego pana, który w zeszłym roku był przebrany za Świętego Mikołaja - ani mamie, ani Nadine, ani Shiloh, ani wujowi Henry'emu, ani nawet Guzkowi. Bardziej niż psa, bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął taty.

Nie wiedział, czy uda mu się go znaleźć. Wiedział jedynie, że z pewnością rozpozna go w chwili, w której go ujrzy. Nie miał pojęcia, kiedy to się stanie. Ale zamierzał się uważnie rozglądać, tak na wszelki wypadek. Bardzo wierzył w to, że wkrótce go znajdzie.

Rozdział 1

Trzaaask!

Colter Monroe drgnął. Nie chcąc się wybudzać, ukrył głowę pod poduszką.

Trzask. Skrzypnięcie. Trzask. Łomot.

Otworzył oczy. Dlaczego, u diabła, się obudził?

- O, nie - jęknął i przewrócił się na plecy. Cholera, znał ten dźwięk. Ktoś wchodził po schodach. Znowu kolejna wizyta tej farbowanej seksownej blondyny. Jeśli będzie miał szczęście, to może kobieta odejdzie.

Wstrzymał oddech do chwili, gdy w korytarzu znowu skrzypnęły deski.

Zaklął, gdy usłyszał stukanie do drzwi i opuścił nogi na podłogę.

Przypomniało mu się także, że prawie rok wcześniej zużył cały zapas swojego szczęścia. Przeciągnął dłonią po zaspanych oczach i z trudem podniósł się z łóżka. Teraz pragnął jedynie, by zostawiono go w spokoju na następne dwadzieścia albo trzydzieści lat. Czyżby prosił o zbyt wiele?

Dał to do zrozumienia bardzo wyraźnie, gdy dwa dni wcześniej wprowadzał się do pokoju na strychu. Żadnych posiłków. Żadnych rozmów. Żadnych kontaktów. Blondynka z pewnością nie była aż tak głupia, by tego nie zrozumieć. Nikt nie mógł być do tego stopnia tępy. Zignorował jej niedwuznaczne zachęty, gdy dawał jej depozyt i zanosił swój skromny dobytek dwa piętra wyżej. Mruknął „Nie, dziękuję”, gdy godzinę później zastukała do jego drzwi, oferując mu dodatkowy klucz i cokolwiek jeszcze za-

pragnie. Wtedy właśnie zrozumiał nagle, że nie jest tępa, tylko zdesperowana. Tym gorzej dla niego.

Wczoraj nie przyjął jej propozycji wspólnego drinka. Nie chciało mu się wyjaśniać, że nie pije. Już nie pije. Nie zmiękczył swojej odmowy komplementem, ale też w żaden sposób nie obraził blondynki. Może i wyglądała jak jedna z tych kobiet, które zanadto używały życia, ale wcale nie była brzydka. Po prostu on nie był zainteresowany. Nikim i niczym. Kiedy wcześniej wrócił z kilkoma artykułami spożywczymi, zauważył samochód na podjeździe i uznał, że blondynka znalazła sobie inne towarzystwo. Pewnie wreszcie zrozumiała jego intencje.

Pukanie do drzwi rozległ się ponownie. Cholera jasna, najwyraźniej się pomylił.

W dwóch skokach znalazł się przy drzwiach.

- Słuchaj, panienko, zupełnie nie mam na to ochoty, więc idź się przymilać do kogoś innego, dobra? - wrzasnął, zanim jeszcze całkiem je otworzył.

Przejrzał riasy w tej samej chwili, w której jego płuca, wypełnił zapach mydła i czystego zimowego powietrza. Gdyby nie był taki zaspany, już w momencie otwierania drzwi poczułby brak intensywnego aromatu perfum. Może nawet byłby za to wdzięczny. Gdyby nie był taki zaspany, może wiedziałby też, co powiedzieć ciemnowłosej kobiecie, która wpatrywała się w niego ostrożnym spojrzeniem zielonych oczu. No i co? A jednak nie była to jasnowłosa seksbomba.

- Czego pani chce? - mruknął przez zaciśnięte zęby.

Zielone oczy rozszerzyły się, a chwilę później zwęziły. Colter uznał, że należy mu się reprimenda, więc się na nią przygotował. Kobieta jednak nie powiedziała ani słowa. Nie wyglądało na to, żeby z trudem stłumiła przekleństwo. Właściwie w ogóle nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko lekko uniosła brwi.

- Jestem Rosanna Fitzpatrick - powiedziała. - Widzę, że poznał pan już moją byłą najlepszą przyjaciółkę.

Była? W jej głosie słyhać było ironię. Od dawna już się nie śmiał i powiedział sobie, że nic go nie obchodzi, czy ta kobieta jest obdarzona poczuciem humoru, czy nie. Nie obchodziło go nawet to, że była ładna i miała wyjątkowo miły uśmiech. Jedyne, czego pragnął, to być samemu. Dał to już do zrozumienia blondynce. Nadszedł czas, aby zrozumiała to również jej czarnowłosa była najlepsza przyjaciółka.

- Pozwoli pani... - zaczął zamykać drzwi.

- Proszę poczekać.

Rosanna przyglądała się mężczyźnie, któremu Nadine wynajęła pokój na strychu. Nazwisko Colter Remington Monroe początkowo wydawało jej się dość niezwykle. Nadine upierała się, że to w ogóle niezwykle mężczyzna. Rosanna musiała się z tym teraz zgodzić.

W pokoju za nim panowała kompletna ciemność. Jedyne światło w korytarzu dobiegało z lampy za rogiem. Rzuciła ciepły, złocisty blask, ale oświetlała jedynie dolną połowę twarzy mężczyzny. Reszta pogrążona była w cieniu. Miał ciemne włosy, nieco za długie, by można je było nazwać schludnie ostrzyżonymi, i kilkudniowy zarost. Jeśli miał także sińce pod oczami, postanowiła, że skręci Nadine kark.

- Przykro mi, że pana niepokoję - powiedziała. Mężczyzna uniósł dłoń obronnym gestem. - Nie wiem, co

zaszło między panią i pani najlepszą przyjaciółką, i szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodzi - stwierdził. - Jasno dałem do zrozumienia kobiecie, która wynajęła mi ten pokój, że nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie.

- Cholera, dlaczego mnie to zdumiewa? - westchnął. - Jakie nieporozumienie?

Rosanna wyjęła jakiś przedmiot z kieszeni i powoli otworzyła dłoń.

- To chyba należy do pana - powiedziała.

Wyskoczył ku niej sprawnie jak kieszonkowy złodziej i zabrał jej policyjną odznakę ruchem tak płynnym, że ledwie poczuła muśnięcie długich palców. Odskokowałyby do tyłu, gdyby w tej samej chwili nie ujrzała wreszcie jego całej twarzy.

Jego policzki były nieco zapadnięte i bardzo blade. Mężczyzna miał pozbawione życia, zmęczone oczy, takie oczy, które doznały już przejmującego bólu. Nie patrzył na nią, ale na odznakę w swojej dłoni, aż Rosanna zaczęła się zastanawiać, czy ten przedmiot ma coś wspólnego z ponurym wyrazem jego twarzy.

- Skąd to pani ma? - jego głos był ochrypły z emocji.

- Moja córka ją znalazła. - Skrzywiła się na to niewinne kłamstwo. Nie zamierzała dodawać, że Shiloh znalazła ją w szafce nocnej mężczyzny, podczas gdy on spał.

A teraz ciąg dalszy tej nieprzyjemnej sytuacji, pomyślała, wkładając rękę do kieszeni. Właśnie wyciągała pieniądze, kiedy napotkała w końcu jego spojrzenie. Coś w niej zamarło. Wyraz oczu mężczyzny nie wskazywał na noc przepitą lub spędzoną w cudzej sypialni. Łatwiej by jej poszło, gdyby tak było.

O wiele łatwiej pozbyłaby się go, gdyby nie wyglądał na człowieka, którego głęboko zraniono.

Gdy Nadine powiedziała jej, że mężczyzna zapłacił czynsz gotówką z góry za trzy miesiące, pomyślała wtedy, że to dziwne.

Zapłacił gotówką, którą mieli opłacić jedzenie, ogrzewanie i prąd. Ścisnęła pieniądze w dłoni. Samotna kobieta powinna słuchać swojego instynktu oraz kierować się ostrożnymi i przemyślanymi zasadami, które mogły zapewnić bezpieczeństwo jej rodzinie.

Północna Gospoda - jeden z tysięcy pensjonatów na wybrzeżu Maine - świetnie sobie radziła w sezonie. Poza sezonem Rosanna wynajmowała niewielki pokój na strychu, by dorobić do pensji. W przeszłości wynajmowała go starszym paniom albo młodym studentkom. Musiała mieć na uwadze nie tylko swoje bezpieczeństwo, ale także dobro Maksa i Shiloh. Jedyne mężczyzna, który mieszkał tu przez trzy długie zimowe miesiące, miał osiemdziesiąt sześć lat. Colter Monroe wyglądał zaś na mężczyznę tuż po trzydziestce. Nadine nic o nim nie wiedziała, równie dobrze mógł być psychopatycznym mordercą. Rosanna musiała więc oddać pieniądze i poprosić go, żeby się wyniósł. Tylko tyle. Niestety, nie wyglądało na to, że łatwo rozwiąże ten problem.

- Obawiam się, że zaszła pewna pomyłka, panie Monroe - oznajmiła. Jego oczy zwięzły się. Kiedy spojrzał na nią, nerwowo przełknęła ślinę.

- Dopiero wróciliśmy od przyjaciół mieszkających na wybrzeżu - wyjaśniła.

- Wróciliśmy?

Lekko przekrzywiła głowę i zerknęła przez ramię.

- Ja i moje dzieci, Max i Shiloh - wyjaśniła.

Colter przeniósł wzrok na dwójkę niedużych dzieciaków, które wpatrywały się w niego zza rogu. Kiedyś jego instynkt podpowiedziałyby mu, że jest obserwowany. Wtedy jednak Cole całkowicie kontrolował otoczenie. Tak mocno zacisnął dłoń na odznace, że jej krawędzie wbiły mu się w ciało. Ból przywrócił go do rzeczywistości i przypomniał mu, że tamte czasy już minęły. Teraz był tutaj i chciał spać.

- Widzi pan, to ja jestem właścicielką gospody - ciągnęła ciemnowłosa kobieta. - Moja przyjaciółka Nadine miała się zająć domem przez weekend. Obiecała, że nakarmi złote rybki Maksa i odbierze pocztę. I nic więcej.

Colter westchnął ciężko. Tylko kobiety potrafiły tak wydłużać opowiadane historie. Jego spojrzenie znowu powędrowało ku dzieciom. Dziewczynka wyglądała tak, jakby nie dojadła. Jej matka zresztą też. Chłopiec, Max, był najsilniejszy z całej trójki. Miał pewnie dziewięć albo dziesięć lat i był patykowaty, lecz nie tak chudy jak jego matka czy siostra. Z tej odległości Colter nie widział, jakiego koloru są oczy Maksa, ale dostrzegał jego przenikliwe spojrzenie. Czaił się w nim inny rodzaj głodu. Ta myśl pojawiła się nieoczekiwanie i sprawiła, że Colter zaczął mieć się na baczności. Na szczęście kobieta wciąż mówiła i najwyraźniej nie zauważyła jego zakłopotania.

- Nadine nie powinna była samodzielnie wynajmować pokoju.

Przekazałam jej ściśle instrukcje...

- Proszę posłuchać - przerwał jej. - Mówiłem pani przyjaciółce - Nadine, tak? - że zamieszkałem tu, żeby się wyspać. Sam.

- Właśnie to usiłuję panu powiedzieć - oznajmiła pośpiesznie Rosanna. - Nadine słucha bardzo wybiórczo. Dałam jej ściśle wskazówki i zakazałam wynajmować pokój na strychu jakiemukolwiek mężczyźnie przed osiemdziesiątką.

Colter gwałtownie obrócił głowę.

- Nie lubi pani mężczyzn? - spytał.

Rosanna uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Mężczyźni są w porządku - odparła i znowu sięgnęła do kieszeni. Kiedy tym razem otworzyła dłoń, trzymała w niej zwitek banknotów niepokojąco podobny do tego, który wręczył jej bylej najlepszej przyjaciółce.

- Co pani robi? - spytał.

- Zwracam pański depozyt, a także pieniądze za czynsz. Jeszcze nie przebrzmiało echo jej ostatnich słów, kiedy chłopiec zrobił krok do przodu. - Mamo, nie - powiedział. - Musisz pozwolić mu zostać. Proszę, musisz.

- Spokój, Max, wszystko będzie dobrze - odparła. Chłopiec potrząsnął głową i pociągnął Rosannę za rękę, w której trzymała pieniądze. - Nie będzie, jeśli go wygonisz. Musisz go zatrzymać.

- Nie jestem bezpańskim psem - powiedział Colter nieco głośniejszym, niż zamierzał.

- On z pewnością nie miał na myśli... - zająknęła się Rosanna.

- Wiem, że nie jesteś psem - zauważył rzeczowym tonem Max. - Jesteś tym, o co prosiłem na Gwiazdkę.

Żadne z nich się nie poruszyło, nie odezwało, nie wydało z siebie najmniejszego dźwięku. W narastającej ciszy słychać było jedynie wiatr i stukanie obłuzowanej dachówki. -

Rosanna skrzyżowała ramiona i odchrząknęła. Zdecydowała się wyjaśnić sprawę i odzyskać względną równowagę. - Prosiłeś o lokatora mężczyznę na święta? - zapytała syna.

- Niezupełnie. - Chłopiec powoli podniósł głowę i napotkał spojrzenie Coltera. Nie odwrócił wzroku, jakby to na jego miejscu uczyniło wiele dzieci. Był odważny, Colter musiał mu to przyznać. Drzenie w jego głosie i przełknięcie śliny zdradzało jednak, że Max się denerwował. - Nie o lokatora.

- A o co? - naciskała Rosanna.

Chłopiec nagle zainteresował się swoimi zniszczonymi butami i wymamrotał coś pod nosem.

- Co powiedziałeś, Max? - zapytała go matka.

Po raz pierwszy Colter zauważył dziewczynkę, która dołączyła do matki i brata. Z szeroko rozwartymi oczyma i potarganymi włosami przywarła do ramienia kobiety i pokazała jej dłoń, że ma się nachylić.

Rosanna przykucnęła i przyłożyła ucho do ust dziewczynki. Dziecko wyszeptało coś, co najwyraźniej wstrząsnęło matką, gdyż Rosanna wyglądała na kompletnie zaskoczoną i zdumio-

na. Popatrzyła na dziewczynkę, potem na chłopca i w końcu na Coltera. Przez kilka sekund ani drgnęła.

- O co chodzi? - spytał.

Pokręciła powoli głową. Najwyraźniej zmieszana, powiedziała w końcu:

- Przepraszamy za najście.

Zacząła się wycofywać, ciągnąc za sobą dzieci. Na szczycie schodów chłopiec ponownie spojrzał na Coltera.

- O co prosisz? - spytał Colter ciszej niż poprzednio.

Rosanna znowu wyglądała na niezwykle przejętą. Dziewczynka poruszyła się, wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale chłopiec uciszył ją gestem ręki. Uniósł nieco brodę i sam przemówił.

- Prosiłem o tatę - powiedział.

Bez słowa zaczął schodzić po schodach, a matka i siostra podążyły tuż za nim. Słuchając symfonii skrzypiących stopni, Colter cofnął się do swojego pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi.

Chwilę potem cała rodzina wspólnie odmawiała modlitwę.

- Pozwolisz mi zostać, mamo, prawda?

Rosanna położyła palec na ustach. - Nie wolno ci zadawać pytań podczas odmawiania modlitwy - wyszeptała.

Shiloh uklękła, po czym zamknęła oczy i wróciła do załatwiania interesów. - Boże, pobłogosław mamę i Maksa, i wuja Henry'ego, i ciocię Maggie, i Nadine, i pannę Willg-ham i Amy Sue Walters i złotą rybkę - wyliczyła jednym tchem. - Amen.

Zerwała się z klęczek i jednym susem wylądowała w łóżku pod kołdrą.

Nagle ponownie zamknęła oczy, dodając: -1 tego pana z góry. -

Otworzyła oczy i zapytała: - To pozwolisz mi, mamo?

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Rosanna z pewnością

by się uśmiechnęła. Shiloh była chodzącym cyklonem i jedną z dwóch największych radości w życiu Rosanny. Jej matka mawiała, że wszystko, co dobre, niesie za sobą zarówno radość, jak i odpowiedzialność.

Wpatrując się w ścianę i poprawiając włosy, które nie dawały się poskromić, Rosanna pomyślała, że jej matka była bardzo mądrą kobietą. - Pozwolisz Maxiemu zatrzymać tego nowego lokatora? - dopytywała się dziewczynka.

Matka Rosanny mawiała także, że kiedy w życiu robi się naprawdę ciężko, czasem pozostaje jedynie przekląć i starać się przetrwać. Rosanna pomyślała, że najwyraźniej teraz właśnie nadszedł jeden z tych momentów. Odgarnęła z czoła Shiloh miękkie jak u niemowlęcia kosmyki włosów. - Pan Monroe jest osobą, a ludzie nie mogą trzymać innych ludzi - powiedziała.

Shiloh obdarzyła matkę niewinnym spojrzeniem dziecka i stwierdziła: - Mówiłaś nam, że na Gwiazdkę możemy prosić

o wszystko, co robi się w domu, a ludzi robi się w domu. Tatusiowie to ludzie, więc Max może prosić o tatusia.

Rosanna nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Poza swoją miłość do wszystkiego, co lśniło, i tendencją do „pożyczania” rzeczy od innych Shiloh nie sprawiała kłopotów. Żwawa

i zmienna jak morska bryza, przez większość czasu żyła w świecie wyobraźni, ale miała bystry umysł i potrafiła posługiwać się logiką, gdy tylko było to dla niej wygodne. Często się śmiała. Max był zupełnie inny - cichy, skupiony i zbyt poważny jak na swoje lata. Rosanna cieszyła się, że nie odziedziczył po ojcu upodobania do błędzenia z głową w chmurach. Dziękowała też Bogu za to, że najwyraźniej jej-syn nie miał specjalnego upodobania do podróży. Dotąd w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że syn tak bardzo chce mieć nowego ojca i że wierzy w to, iż jego życzenia mogą się spełnić.

Max miał jedynie dziewięć lat. Nie chciała niszczyć jego

marzeń. Nie mogła jednak pozwolić, by on czy Shiloh wierzyli, iż mężczyzna mieszkający w pokoju na strychu zjawił się tutaj, żeby spełnić ich sekretne życzenia albo modlitwy. Nie wiedziała, jak bez pozbawiania ich niewinności ślepej wiary i dziecięcych marzeń sprawić, by zrozumieli, że ojcowie nie rosną na drzewach ani nie pojawiają się znikąd.

- Shiloh - powiedziała cicho i delikatnie dotknęła szczupłej łopatki dziecka. - Ty i Max już macie ojca.

- To drań. - Słyszac zdumiony jęk matki, dziewczynka spytała: - Co to jest drań?

- Nieładnie tak nazywać ojca ani nikogo innego - skarciła ją Rosanna.

- Nie?

Matka przecząco pokręciła głową.

- No to powtórz to Nadine, bo to ona tak mówi - stwierdziła Shiloh.

Rosanna oparła czoło na dłoniach. Właściwie Nadine miała rację.

Przecież Darrell Fitzpatrick był muzykiem na pół etatu, a podróżnikiem na cały.

Miała dziewiętnaście lat, gdy go poznała, i tyle marzeń, że nawet nie zauważyła, że wciąż był bez grosza przy duszy. Tak się zakochała, że nic jej nie obchodziło. Dopiero po narodzinach Maksa zaczęła zauważać niedoskonałości Darrella. Cóż, miał talent, ale właściwie nigdy nie kończył piosenek, które pisał. Był sympatyczny, uroczy, ale nie potrafił utrzymać żadnej pracy ani zapamiętać, że należy na czas wracać do domu i odbierać Maksa od opiekunki.

Pewnego dnia, gdy Max miał dwa lata, Darrell zniknął. Zadzwoił jakiś tydzień później, gdy przyszło mu do głowy, że żona może się martwić. Po tym, jak zdarzyło się to po raz trzeci, czwarty i piąty, Rosanna stanęła oko w oko z rzeczywistością i zostawiła męża. Rok później znów zakochała się

w jego uśmiechu, aksamitnym głosie i szczerzej obietnicy, że naprawdę się zmienił. Miał dobrą pracę, mieszkanie, sprawny samochód. Sądowe pojednanie trwało dłużej niż jego praca, a auto też szybko zniknęło.

Rosanna na dobre odeszła od męża w dniu, w którym ona i Max dostali nakaz eksmisji - nigdzie nie można było znaleźć Darrella. Miesiąc później Rosanna z przerażeniem wpatrywała się w cienką niebieską linię na domowym teście ciążowym. Skoro teraz mogła bez żadnych wątpliwości stwierdzić, że nie uda jej się pojechać do Nowego Jorku, by tańczyć tam w Chorus Line, tak jak tego pragnęła, wróciła do miasteczka Północ w Maine, by wychowywać dzieci i pomagać matce w remoncie starego domu i zamianie go w tradycyjny pensjonat.

Matka z radością powitała ją w domu i choć tysiące razy powtarzała „a nie mówiłam”, ich życie toczyło się spokojnie. Rosanna pomyślała, że dzisiejszy wyczyn Maksa z pewnością nie był najbardziej zawstydzającą rzeczą, jaka się jej przytrafiła. I z pewnością nie najcięższą. O wiele trudniej było zostać samotną dwudziestotrzyletnią matką dwójki dzieci albo przeżyć niespodziewany i śmiertelny atak serca własnej matki, który przytrafił się trzy lata temu.

Poprawiając kołdrę Shiloh, Rosanna pochyliła się i ucałowała gładki policzek córki. - Dobranoc, skarbie - powiedziała. - Pamiętaj, nie pożyczaj już od innych żadnych błyskotek.

- Zawsze je oddaję - pisnęła Shiloh.

Rosanna westchnęła. Zazwyczaj martwiły ją dziwne zachowania Shiloh, lecz kilka minut później to Max dał jej większy powód do niepokoju.

- Dobranoc, Max - powiedziała, zaglądając do jego sypialni. Nie odpowiedział. Wiedziała, że nie śpi, co oznaczało, że się martwi. A Maxwell Nathaniel Fitzpatrick potrafił się martwić.

Rosanna zatrzymała się w progu. - Babcia zawsze powtarzała, że kiedy zasypia się w złym humorze, rano ma się niestrawność - stwierdziła. Z drugiego kąta pokoju dobiegło ją westchnienie syna. Podeszła bliżej i zatrzymała się przy jego łóżku. Domyślała się, że Max patrzy na nią i niemal słyszała szare komórki pracujące w jego mózgu.

- Nieładnie jest łamać zasady.

- A jaką zasadę złamałam? - Rosanna okrążyła łóżko i stanęła obok syna. Czuła, że Max nie chce z nią rozmawiać, i była absolutnie pewna, że właśnie w tej chwili wywraca oczyma.

- Zasadę dotyczącą prezentów na Gwiazdkę. Mówiłaś, że można dawać tylko prezenty^ które się samemu zrobi. Nic kupionego w sklepie. Ojca nie kupuje się w sklepie.

- Wkrótce będzie Gwiazdka. Twój ojciec zawsze dzwoni w okolicy świąt Bożego Narodzenia.

- To drań. - Po krótkiej, pełnej ciszy chwili dodał: - Ja też słyszałem Nadine. I wiem, co to znaczy.

- Nie jest draniem, Max.

- Zmienił imię na Dekę - parsknął chłopiec. - Jak gdyby to mogło mu ułatwić nagranie płyty.

Rosanna bezradnie wzruszyła ramionami, myśląc, że niełatwo jest polemizować z taką logiką. - Kocham cię, Max - powiedziała. - Dobrze nam się wiedzie. Nawet lepiej niż dobrze, tak przynajmniej myślę. Mamy ciepły dom, jedzenie w lodówce, przyjaciół i siebie nawzajem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyście byli szczęśliwi i bezpieczni.

- Tylko go nie wyrzucaj - znowu westchnął Max. - Jeszcze nie teraz.

Dobrze?

- Max...

- Dobrze?

Poczuła się winna, choć nie wiedziała dlaczego. Czuła jed-

nak, że nie spisała się najlepiej. - Pomyślę o tym - powiedziała, zamykając oczy.

Max przekręcił się na drugi bok, plecami do matki, i wymamrotał coś o tym, że dorośli zawsze tak mówią, gdy chcą odmówić.

Rezygnacja w głosie syna sprawiła, że ścisnęło się jej serce. Dzieciństwo miało być przecież najszcześniejszym okresem w życiu. Czyżby zbyt często im odmawiała? Zbyt łatwo jej to przychodziło?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania. Nie znała nawet wszystkich pytań.

Wiedziała jednak, że marzenie Maxa o ojcu bierze się z najbardziej tajemniczego miejsca w duszy chłopca, z miejsca, do którego rzadko ją dopuszczał. I Rosanna nie mogła tego zlekceważyć. Musiała przemyśleć pewne sprawy.

Dla swoich dzieci rzuciłaby się w ogień. Ale żeby szukać im nowego ojca?

Lata temu odkryła, że rodzicielstwo wymaga nieustannego balansowania na krawędzi. Rodzice musieli starannie ważyć i mierzyć pragnienia swoich dzieci i zwracać uwagę na to, co dla nich najlepsze. To była trudna sztuka, jeszcze trudniejsza dla samotnej matki. Nie oznaczało to, że Rosanna uważała, iż wszystkim dzieciom musi być lepiej z dwójką rodziców. Czasem bezpieczeństwo i stabilizacja są ważniejsze niż pełna rodzina. Wiedziała, że Max tęsknił za mężczyzną w domu. Pamiętała, jak sama była zrozpaczona po śmierci swego ojca. Wtedy miała dziewięć lat, tyle samo co Max.

Przez kolejną godzinę spacerowała w tę i z powrotem. Myślała tak intensywnie, aż rozbolała ją głowa. Wierzyła święcie, że pewne sprawy należy załatwiać jak najszybciej. Podeszła do tylnego wyjścia w kuchni, otworzyła drzwi i wspięła się po wąskich schodach prowadzących na trzecie piętro.

Rozdział 2

Rosanna zatrzymała się u szczytu schodów. Przez większość czasu bez przerwy tędy biegła, więc to nie wspinaczka tak ją zmęczyła. Po prostu czuła się bardzo zdenerwowana.

Omijając najbardziej skrzypiące schodki, ruszyła w kierunku pokoju na końcu korytarza. Kiedy dotarła na miejsce, oddychała już niemal normalnie i miała ułożoną w myślach całą przemowę.

Podniosła rękę, żeby zastukać, lecz ledwie dotknęła drzwi, rozchyliły się one na kilka centymetrów. - Proszę wejść - usłyszała.

Głos był stłumiony, jak gdyby dobiegał z głębi pokoju. Przyszło jej do głowy, że lokator na nią czekał i dlatego nie zamknął drzwi. Popchnęła je, by zajrzeć do środka.

Colter Monroe stał przy oknie po drugiej stronie pokoju, plecami do Rosanny. Planowała, że odbędą tę rozmowę w korytarzu. Skoro wyglądało na to, że będzie musiała improwizować, położyła bezprzewodowy telefon na podłodze w korytarzu i weszła do pokoju, zatrzymując się tuż przy drzwiach.

Pomieszczenie było długie i wąskie. Z jednej strony pod skosem sufitu stało małżeńskie łóżko, z drugiej znajdowała się mała kuchenka.

Dywaniki, które poukładała na wycyklinowanej podłodze, leżały w tych samych miejscach, co tydzień wcześniej. Łóżko było przykryte spłóviałą narzutą; lampa, którą Rosanna znalazła w antykwariacie, stała na starej komodzie. Sosnowy stół i dwa niedopasowane krzesła zajmowały środek

pokoju. Na blacie leżały muszle, które Max i Shiloh zebrali zeszłego lata. Tylko policyjna odznaka na malowanej szafce nocnej, zniszczona skórzana kurtka i kilka pomiętych opakowań świadczyło o tym, że w tym pokoju mieszka Colter -Monroe. A jednak to jego osobowość dominowała w pomieszczeniu.

Włączył lampę, tak że dostrzegła jego odbicie w ciemnej szybie.

Zastanowiło ją, na co spoglądał o tak późnej porze.

- To ten sam ocean - powiedział tym swoim ochryłym barytonem. - Jednak w Miami wygląda zupełnie inaczej.

A więc przyjechał z Miami. - To pana pierwszy pobyt w Maine? - zapytała z ciekawością.

- Kiedyś udało mi się dotrzeć aż do Filadelfii. Rosanna skrzyżowała ramiona i podeszła nieco bliżej. - Co pan robi w Miami?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos był płaski i pozbawiony emocji.

- Byłem policjantem - powiedział.

- Byłem? - Żałowała, że stał odwrócony i nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Teoretycznie jestem na urlopie - wzruszył ramionami. - Ale tylko dlatego, że szef nie chciał przyjąć mojego wymówienia. To bez znaczenia. Nie zamierzam tam wracać.

Do policji czy do Miami, zastanawiała się Rosanna. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że stoją twarzą w twarz. Wpatrując się w jego ciemne, beczelne brązowe oczy, przypomniła sobie jedno z ulubionych powiedzonek matki: „Uważaj na to, czego pragniesz”. Uznała, że łatwiej jej będzie rozmawiać z nim, widząc jego twarz. Okazało się jednak, że nie ma nic łatwego w konfrontacji z mężczyzną stojącym po drugiej stronie pokoju.

Miał na sobie spłowiałe dzinsy, zniszczone i nieco worko-

wate. Najwyraźniej coś mu się stało w Miami, coś na tyle poważnego, że schudł, jego policzki się zapadły, a oczy miały wyraz tropionego zwierzęcia

- A co zamierza pan robić, panie Monroe? - zapytała. Colter nie miał nic do roboty poza spaniem. To znaczy, tylko pod warunkiem, że Rosanna pozwoli mu tu zostać.

Włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu papierosa, ale na nic nie natrafił. Zrezygnował z picia i palenia już jakiś czas wcześniej - dokładnie pięćdziesiąt dwa dni temu. Nie zrobił tego ze strachu przed śmiercią.

Raczej ze strachu, że nadal może żyć tak, jak żył dotychczas, nic nie czując. Zbyt wiele miesięcy za dużo pił i za dużo pracował. ,

Postanowił wydostać się z tej otchłani. Najpierw zrezygnował ze swoich nałogów, a potem z pracy. Rosanna zapytała go, co zamierza teraz robić. - To zależy od pani - powiedział, patrząc na łóżko w rogu.

Od niej? Zapadła cisza. Ich spojrzenia się spotkały. Serce Rosanny biło w nierównym tempie. Odchrząknęła, udając, że nie jest w najmniejszym stopniu przejęta. On nawet nie próbował ukryć, że uważnie się jej przygląda. Jego oczy były zupełnie nieruchome i spokojne.

- Ode mnie? - spytała.

Colter zrobił krok w jej kierunku. - Zastanowiła się pani, co ze mną zrobić?

Rosanna pomyślała, że to wieloznaczne pytanie. Kiedyś, dawno, dawno temu, była romantyczką. Teraz już nie. Znała swoje silne strony i słabości. Była nowoczesną kobietą o bystrym umyśle i uczciwej duszy. I naprawdę nie wiedziała, co zrobić z Colterem Remingtonem Monroe.

Jezu, co za nazwisko.

- Czy przyjaciele mówią na pana Colt, panie Monroe?

- Nie mam wielu przyjaciół - burknął.

- Jakie to dziwne, doprawdy. Człowiek o tak ciepłej, przyjaznej osobowości...

Jego grymas trudno było wziąć za uśmiech. Broń Boże. Uśmiech pewnie rozerwałby mu twarz na pół. Mimo to owo drgnienie ust mogło oznaczać, że może jednak miał choćby śladowe poczucie humoru. Nie przyszło jej do głowy, żeby ukryć swój uśmiech. Pochyliła się ku mężczyźnie.

- Może pan zostać - powiedziała cicho. - Jeśli nadal pan tego chce, oczywiście.

Colter zacisnął powieki i odetchnął głęboko. Nienawidził tego dławiącego uczucia. Nienawidził ulgi, która jeszcze bardziej zmiękczała mu kolana. Powtarzał sobie, że czuje się tak tylko dlatego, że jest cholernie zmęczony. Tylko z tego powodu obawiał się, że będzie musiał spakować swój skromny dobytek i ruszyć na autostradę w poszukiwaniu innego miejsca, w którym zdoła znaleźć odpoczynek.

- Proszę się nie przejmować - dodała, wygładzając spłowiały, oprawiony w ramki obrazek przedstawiający kuter wie-lorybniczy. - Wyjaśniłam już Maksowi i Shiloh, że ojca nie dostaje się, ot tak, na Gwiazdkę.

Przesunęła się trochę, by poprawić kompozycję z suszonych kwiatów w starej butelce od mleka, cały czas opowiadając mu

o własnoręcznie przygotowywanych prezentach, jakimi ona i dzieci obdarowywali się z okazji świąt Bożego Narodzenia. Zauważył, że nie odchodziła zbyt daleko od drzwi. Była czujna i ostrożna. I nie zamierzała wyrzucić go w środku nocy. Jej głos był delikatny i miękki niczym obietnica, taki przyjacielski i ciepły. I tak Dardzo kobiecy.

Miała włosy koloru świeżo palonej kawy. Opadały jej na ramiona w gęstych, nieco zwichrzonych lokach. Ubrana była w ten sam zielony sweter i długą wełnianą spódnicę co wcześniej. Pomyślał, że jest trochę za chuda. Kiedy jednak przyjrzał

się jej uważniej dostrzegł, że się mylił. Rosanna była szczupła, ale to nie gruba spódnica sprawiała, że jej biodra wyglądały tak kusząco.

Miała jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, drobną budowę ciała i trzymała głowę wysoko, z królewską dystynkcją. Jego spojrzenie powędrowało niżej, na jej szyję, i jeszcze niżej, tam gdzie sweter tworzył łagodne wzniesienie na jej piersi.

Dreszcz, który go przeszył, był mu dobrze znany i nie taki znowu nieprzyjemny. Nie, absolutnie nie był nieprzyjemny. Colter uniósł wzrok i spojrzał kobiecie prosto w oczy, które miały niemal ten sam kolor co sweter.

Rosanna widziała, że mężczyzna ją obserwował. Nie odwróciła wzroku. On też nie. Pulsujący rytm w jego piersi nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że mógł zrobić i powiedzieć coś, co by sprawiło, że błyskawicznie wyleciałby z pokoju, który zgodziła mu się wynająć. Zadzwoił telefon. Na ten nagły, ostry dźwięk Colter podniósł głowę i najeżył się. Znowu rozległ się dzwonek. Skąd? Przecież w jego pokoju nie było telefonu.

Rosanna wyszła na korytarz, pochyliła się i podniosła telefon bezprzewodowy. Jej udział w rozmowie z osobą po drugiej stronie linii sprowadzał się do serii potaknięć i ciągłego powtarzania „uhm”. Chwilę później wróciła, zachowując się tak, jak gdyby kilka sekund wcześniej nic się między nimi nie wydarzyło. Może zresztą nic się nie wydarzyło.

- Proszę się nie przejmować - powtórzyła. - Wyjaśniłam już wszystko Maksowi i Shiloh i będę im to wyjaśniać tak długo, aż zrozumieją.

Był pewien, że dobrze usłyszał każde jej słowo. Dlaczego więc wręczała mu zwitek banknotów, którymi opłacił czynsz?

- Przepraszam za problemy, które mogła spowodować Nadine - powiedziała jeszcze.

- Ale przecież przed chwilą mówiła pani, że mogę zostać - zaprotestował Colter.

Uśmiechnęła się do niego tak, jak pewnie uśmiechała się do swoich dzieci. - Może pan - przytaknęła. - Ale po tym, co się dziś wydarzyło, wolałabym, żeby wynajmował pan pokój tydzień po tygodniu.

Zastanowił się nad tą prośbą. - Któ dzwonił? - spytał nieoczekiwanie. Sięgnęła po jego rękę, włożyła w nią banknoty i zacisnęła na nich palce Coltera. - Nadine - odparła. - Ostrożność nigdy nie zawadzi. Na dziś znalazł już pan schronienie. Później zastanowimy się, co zrobić z resztą miesiąca.

Pewnie nie obdarzyłaby go tak promiennym uśmiechem, gdyby wiedziała, o czym teraz myśli. Obserwował, jak szła do drzwi. Za chwilę już jej nie będzie, a on zostanie sam. Chciał jej coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia co.

- Cole. - Wyrwało mu się to zupełnie niespodziewanie. Rosanna rzuciła mu spojrzenie' przez ramię. - Słucham? Colter przełknął ślinę, usiłując się odprężyć. - Każdy, kto

wytrzyma ze mną na tyle długo, żeby zaryzykować, że może mnie polubić, nazywa mnie Cole - odparł. - A jeśli chodzi o wcześniejsze pytanie, powiedziałem pani przyjaciółce, że zamierzam zostać pustelnikiem.

- Tak, Nadine mi o tym wspominała. - Uśmiechnęła się, jak gdyby dopuściła go do jakiejś tajemnicy. Błysk w oczach Rosanny był pełen ciepła, a wyraz jej twarzy przyjazny i zatroskany.

Usiłował się połapać, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedział, jak teraz wygląda. Sam nie był pewien, czy wynająłby pokój komuś takiemu.

Rosanna nie ufała mu, kiedy tu przyszła. Ten telefon od przyjaciółki miał sprawdzić, co się dzieje. Pewnie zaraz zadzwoni ponownie. Nie ufała mu, nie szukała ojca dla swoich dzieci, a jednak pozwoliła mu tu zostać.

- Dlaczego, Rosanno?

Rosanna zatrzymała się w drzwiach. Już od dawna żaden mężczyzna nie wypowiedział jej imienia w taki sposób - miękkim, aksamitnym tonem. Przypomniało jej to o tęsknocie za bliskością i zażyłością i wszystkim, bez czego nauczyła się żyć. Potrząsnęła głową, wciąż odwrócona plecami do mężczyzny.

- Słucham? - zapytała.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie i pozwoliłaś mi tu zostać? To pytanie sprawiło, że się odwróciła. Patrzyła, jak Colter przejeżdża dłonią po włosach. Podążyła za jego spojrzeniem i jej wzrok padł na pogniecioną pościel na łóżku.

- Nie obawiaj się - odparła. - W przeciwieństwie do Nadine nie marzę o dzikim seksie z nieznajomym.

Czy mówiła coś o seksie? Przez ułamek sekundy Cole nic nie rozumiał. Wiedział, że musi zachować się rozsądnie, ale w sekrecie pomyślał, że seks z nią pewnie rzeczywiście byłby dziki, i szybko odsunął od siebie tę myśl.

- Dlaczego pozwalasz mi tu zostać? - powtórzył. Kiedy na niego spojrzała, Colter poczuł się tak, jak gdyby coś ich nagle połączyło, jakaś tajemnicza nić porozumienia. Rosanna lekko przechyliła głowę.

- Nie mogłam wyrzucić na mróz takiego człowieka jak ty - odrzekła. - Dobranoc, Cole. - Wyśliznęła się z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy został sam w cichym, zimnym pokoju, pomyślał o tym, że zwróciła się do niego po imieniu. Czyżby rzeczywiście coś ich łączyło?

Najprawdopodobniej zwariował.

Nic ich nie łączyło i tak właśnie miało pozostać. Nie było żadnego porozumienia, a Rosanna wcale go nie pociągała. Po prostu była miła. Powinien czuć do niej wdzięczność. Teraz mógł wśliznąć się do łóżka ze świadomością, że nikt mu nie przeszkodzi.

Rozejrzał się po skromnie umeblowanym pokoju. Miał spokojne schronienie przynajmniej na najbliższy tydzień, schronienie, w którym planował jedynie spać. O ironio, to, co pragnął teraz robić w łóżku, niewiele miało wspólnego ze snaniem. Więc jednak nie był całkiem martwy. Nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy gniew, że te odczucia wtargnęły w jego wypalone życie.

Zgasił lampę i przejechał ręką po okiennej szybie. Na ulicy paliły się latarnie. Noc była bardzo pogodna. Na niebie błyszczały gwiazdy, znikając w ciemnościach, które musiały być oceanem.

Nie czuł się jeszcze na siłach, by przyznać, że jego pech minął, ale pomyślał, że może zatrzymał się, zamiast wciąż nasilać. Miał dach nad głową, łóżko z kołdrą, która pachniała dawno zapomnianą letnią bryzą. A także wystarczająco wiele pieniędzy na koncie, by do końca życia pozostać pustelnikiem.

Miał bieżącą wodę, maleńki prysznic, puszkę kawy i dosyć jedzenia, by przetrwać najbliższych kilka dni. Postanowił, że będzie spał, jadł, i dalej spał. Nie miał komu imponować, nie miał też kogo zawieść. Był samotny. Był pustelnikiem. Był zupełnie sam. A Rosaraia nie zamierzała wyrzucić na mróz takiego człowieka jak on. Ruszył do łóżka, ale zatrzymał się w połowie drogi.

Co miała na myśli, mówiąc o człowieku takim jak on?

Gdy rano zszedł do kuchni, postanowił zdobyć przewagę w ich relacjach.
- Nie potrzebuję litości, do cholery - powiedział.

Obieraczka w ręku Rosanny zatrzymała się na marchewce. Po chwili znowu podjęła pracę. - Dobrze spałeś? - zapytała. Cole zupełnie zdębiał. Po prostu nie przywykł do takich

pytań. Zazwyczaj ludzi zupełnie nie interesowało, jak spał. Zwykle zupełnie nie interesował ludzi.

Spał przez szesnaście godzin bez przerwy. Szesnaście godzin bez ruchu - żadnych snów czy myślenia. Gdy się obudził, doszedł do wniosku, że jest na dobrej drodze do zostania prawdziwym pustelnikiem. Po dwóch godzinach chodzenia po pokoju i gapienia się przez okno uznał, że bycie pustelnikiem jest nieco uciążliwe. A właściwie nudne jak diabli.

Czuł się zły i rozdrażniony. Wyjadał płatki śniadaniowe wprost z pudełka. Usiłował naprawić cieknący kran i skrzypiące zawiasy w drzwiach. Mówił sobie, że powinien być jej wdzięczny za to, że pozwoliła mu zostać, ale wciąż pamiętał, jak powiedziała „takiego człowieka jak ty”. I to go drażniło.

Uznał, że pustelnicy mogą chodzić na spacer, pod warunkiem że robią to samotnie. Najpierw jednak postanowił wyjaśnić z nią tamtą sprawę. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, robiąc tyle hałasu, że mógłby obudzić umarłego. Drzwi na tylną klatkę schodową przeznaczoną dla gości były otwarte, więc wiedział, że Rosanna musiała go słyszeć. Stał na dywaniku, czekając, aż się odezwie. Jakoś skomentuje jego zachowanie, skarci go. A tu nic.

Nie odwróciła się. Nic nie powiedziała. Nawet nie podniosła głowy.

Zignorowała go, a on nie lubił być ignorowany.

Widok jej zgrabnej sylwetki na moment go nieco rozproszył. Dziś kobieta miała na sobie luźne spodnie z niską talią. Ani na chwilę nie przestała zajmować się swoją robotą, kołysała się w tę i z powrotem, co przyciągnęło wzrok do jej - pleców.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała.

Nie zrozumiał. Jak uważa? Rzucił jej spojrzenie, którego i tak nie spostrzegła. - Oczywiście, że tak uważam - jęknął.

- To dobrze. - Obrana marchewka wylądowała na blacie

kuchennym. Rosanna pomyślała, że ten facet jest jeszcze bardziej ponury niż Max. - Łopata leży w szopie.

Zdażyła obrócić prawie całą następną marchewkę, zanim usłyszała za sobą jego głos.

- Łopata?

Mruknęła coś, co zabrzmiało jak potwierdzenie. - Skoro nie trzeba się nad tobą litować, pomyślałam, że mógłbyś odśnieżyć podjazd w zamian za kawę i chleb, którym cię poczęstuję, gdy tylko skończysz - stwierdziła. - Zazwyczaj robię to razem z Maksem, ale dziś bardzo mocno śnieży.

Mężczyzna poradzi sobie z tym o wiele szybciej. Nawet pustelnicy potrzebują trochę świeżego powietrza i ćwiczeń.

Odwróciła się w końcu. - Chyba że wolałbyś dostać kawę i chleb już teraz - zaproponowała.

Cole odśnieżał już od jakichś dwudziestu minut, kiedy ujrzał dzieci Rosanny zbliżające się do domu. Były ulicę dalej. Czuł się teraz zdecydowanie lepiej. Miał jaśniejszy umysł i wyostrzone zmysły. Rok temu uznałby, że to rezultat przebudzonego pożądania, które przywróciło go do życia. Teraz jednak wiedział, że aby człowiek poczuł się człowiekiem, trzeba mu czegoś więcej niż seksu. Może sprawił to długi nocny sen albo wysiłek fizyczny. Albo zmiana otoczenia: zimne, suche powietrze zamiast wilgoci, śnieg zamiast betonu czy piasku. Nie wrócił jeszcze całkiem do normalności. Nie wiedział też, czy kiedykolwiek tak się stanie. Ale to był przynajmniej jakiś początek.

Słyszał, jak dzieci rozmawiały ze sobą, zmierzając w jego kierunku. Gdy podeszły na tyle blisko, że mógł zrozumieć, o czym mówią, zamilkły.

Odszedł na bok i skinął im głową na powitanie. Chłopiec i dziewczynka patrzyli na niego w milczeniu, po czym odwrócili głowy. Wyglądało na to, że nie wie-

dzieli, co mu powiedzieć teraz, gdy zrozumieli, że nie jest żywą realizacją ich życzenia.

Słyszając szuranie ich butów, domyślił się, że rodzeństwo zaczęło biec, gdy tylko zniknęło mu sprzed oczu. Następnie dzieci zrzuciły buty u przedsionku schodów i rozpoczęły powitalną litanię.

- Mamo, wróciliśmy!

- Jak tam w szkole?

- Umieram z głodu!

- Shiloh, gdzie jest twoja druga rękawiczka?

Drzwi się zamknęły i Cole wyobraził sobie, jak się rozbierają, jedzą i zajmują wszystkimi najzwyklejszymi czynnościami. Te dzieci pewnie nawet nie wiedziały, jak normalne jest ich życie. Cole nie miał o tym pojęcia, gdy on i Gary byli mali.

Napięcie narastało w jego piersi. Gdyby nie zdarzało się to już wcześniej, martwiłby się, że ma atak serca, mimo że w wieku trzydziestu dwóch lat to mało prawdopodobne. Kilka minut relaksu i specjalna technika oddychania, której nauczył go lekarz w Miami, zlikwidowały uczucie dławienia. Po chwili Cole wrócił do pracy.

Chłopiec pojawił się na podwórzu kilka minut później. Łopata w jego dłoniach była niemal równie duża jak on sam.

- Mama mówi, że zawarliście umowę - powiedział.

- Umowę? - powtórzył Cole.

Max najwyraźniej nic nie robił sobie z tego, że Cole nie wie, o co chodzi.

- Tak - odparł, wbijając łopatę w śnieg. - Ona będzie cię karmić, a ty jej pomożesz w gospodarstwie.

Przez kilka minut obaj pracowali ramię w ramię w zupełnej ciszy.

- Twoja mama mówiła, że rozmawiała z tobą o tym życzeniu gwiazdkowym - odezwał się Cole, starając się, żeby zabrzmiało to zupełnie od niechcienia.

- Tak - przytaknął Max.
- Więc wiesz już, że nie jestem...
- Tak, wiem.

Obaj przerzucili jeszcze kilka łopat śniegu. Jeśli nawet Cole czuł napięcie w nieużywanych od pewnego czasu mięśniach, z łatwością mógł sobie wyobrazić, jakie to męczące dla dzie-więciolatka.

- Byłbym kiepskim ojcem - powiedział Cole - ale gdybyś chciał zostać moim przyjacielem...

Łopata Maksa stuknęła o beton.

- Mówisz poważnie? - spytał.
- Przecież powiedziałem.
- To znaczy, że moglibyśmy się kiedyś gdzieś wybrać?
- Myślę, że tak - odparł Cole. - Przynajmniej dopóki tutaj mieszkam.

Czuł na sobie spojrzenie Maksa. Odetchnął głęboko i wbił łopatę w śnieg, po czym położył ręce na biodrach i spojrzał na małego. Jego policzki i nos były czerwone, czapka lekko się przekrzywiła, a pasma jasnobrązowych włosów opadały mu na czoło. Kiedy Cole po raz pierwszy ujrzał chłopca, pomyślał, że wygląda dojrzałe jak na swój wiek. Teraz jednak w jego oczach lśniły iskierki młodości i tęsknota, na którą ciężko było patrzeć.

- Co zrobimy? - zapytał.

Cole udawał, że z uwagą wpatruje się w przestrzeń przed sobą. - Zawsze fascynowały mnie statki - odparł.

- Są w porcie.
- Tak też myślałem.
- Chcesz iść do portu? - Max nie potrafił ukryć entuzjazmu.
- Chyba chcę.
- Kiedy?

- Kiedy ty będziesz chciał. Najpierw jednak musimy się dogadać z twoją mamą.

Max wrócił do pracy, ale nie upłynęło wiele czasu, zanim znowu się odezwał.

- Port to najfajniejsze miejsce na świecie - stwierdził.

Cole i dzieci siedzieli przy kuchennym stole, Rosanna zaś opierała się o ladę. Na piecu bulgotał gulasz, a para unosi się ku sufitowi. Na zewnątrz znowu zaczął padać śnieg.

- Cole mówi, że zanim dorósł, widział śnieg tylko w telewizji.

Wyobrażasz sobie?

- Nawet na Gwiazdkę? - spytała Shiloh.

Uśmiechając się na widok szczerzego zdumienia córki, Rosanna postanowiła zignorować to, że Max mówił z buzią pełną jedzenia. Nie chciała psuć radości chłopca ze zbliżającej się wycieczki do ulubionego miejsca.

- Więc jak przychodził do ciebie Mikołaj? - zapytała Shiloh, wycierając usta wierzchem dłoni.

Jak miło, pomyślała Rosanna, sącząc kawę. Na zewnątrz był mróz, w środku ciepło, dzieciaki czuły się szczęśliwe. Nawet policzki Cole'a nieco się zarumieniły. Nie nazwałaby go gadatliwym, ale przynajmniej starał się podtrzymać rozmowę. Zastanawiała się, czy zawsze tak niewiele mówił. Zresztą nie miało to znaczenia, gdyż traktował jej dzieci z sympatią i troską.

Zbladła, gdy usłyszała, jak Cole rozmawia z Shiloh o niebezpieczeństwie, jakie niesie za sobą grzebanie w szufladach innych ludzi. Wyjaśnił dziewczynce, że niektórzy trzymają tam czasem niebezpieczne przedmioty, takie jak broń, noże czy trucizna. Chwała Bogu, zapewnił przerażoną Rosannę, że jego pistolet spoczywa bezpiecznie w sejfie. Potem płynnie zmienił temat na Świętego Mikołaja i śnieg.

- Pewnie przylatywał helikopterem - stwierdził Max i upił łyk mleka. - Prawda, Cole?

Cole nawet nie musiał tego potwierdzać.

- Fajnie! - wykrzyknęła Shiloh. - Widziałeś kiedyś helikopter Świętego Mikołaja?

- Nie da się go zobaczyć - odparł Max z pełnymi ustami. - Jest przezroczysty, jak pleksiglas. Nie da się go również usłyszeć.

- O rany.

Rosanna zerknęła na Cole'a i ujrzała, że mężczyzna przypatruje się dziewczynce. Przekrzywił głowę i napotkał spojrzenie Rosanny, po czym przesłał jej uśmiech, z pewnością pierwszy od bardzo długiego czasu. Poczula, że zalewa ją fala gorąca, która nie ma nic wspólnego z temperaturą panującą w kuchni, a za to wiele z wyrazem oczu tego człowieka.

To było samolubne, ale nagle Rosanna poczuła ulgę na myśl o tym, że Cole nie uśmiechał się zbyt często. Jego uśmiech krył w sobie niebezpieczeństwo. Sprawiał, że szumiało jej w głowie i robiło się jej gorąco. W takich chwilach czuła się zrozumiana, pożądana, a to były niebezpieczne emocje.

- Cieszę się, że Mikołaj przyjeżdża do naszego domu saniami - oznajmiła Shiloh.

To oświadczenie zerwało nić porozumienia, jakie zawiązało się między Rosanną a Cole'em. Rosanna odetchnęła z ulgą.

- Macie szczęście - stwierdził Cole. - Ja na każdą Gwiazdkę życzyłem sobie śniegu.

Zajęła się zmywaniem naczyń. Przynajmniej dawało to jakieś zajęcie jej rąkom i oczom.

- Teraz tak mówisz - stwierdziła, nalewając wody do zlewu; - Ludzie, którzy mieszkają tu na stałe, są śmiertelnie znudzeni śniegiem już w połowie stycznia. A kiedy rozpuszcza się w marcu, zarzekamy się, że do końca życia nie chcemy

mieć z nim nic wspólnego. Jednak gdy przychodzi listopad i powietrze robi się szczypiące, a wiatr przynosi wszystkie te zapachy, wszystko zaczyna się od początku.

Cole zamknął oczy. W głosie Rosanny była magia, ta sama magia, która sprawiała, że mała dziewczynka wierzyła w niewidzialne helikoptery i latające renifery. Dzięki tej magii człowiek taki jak on sam także bardzo pragnął w coś uwierzyć. Pragnął uwierzyć w szczęście, przestać się bać - siebie, ciemnej nocy, samotności. Przestać się bać świąt. Westchnął głęboko i pomyślał, że mógłby już do końca życia słuchać tego magicznego głosu.

Szybko otrząsnął się z tych myśli. Dobrze, że nikt na niego nie patrzył, bo za żadne skarby świata nie mógłby się w tej chwili uśmiechnąć. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Rzadko się uśmiechał. Jeszcze rzadziej używał słów „do końca życia”.

- Gotowy? - spytał Max. Chłopiec stał obok krzesła Cole'a, chcąc jak najszybciej wyruszyć do portu.

- Pytałeś mamę o pozwolenie?

Max pokiwał głową i sięgnął po czapkę.

- Powiedziała, że musimy wrócić do domu na kolację.

- No to lepiej się zbierajmy. - Cole wziął swoją skórzaną kurtkę i zniszczone rękawiczki i wyszedł za chłopcem na mróz.

Rozdział 3

Cole mocno szarpnął kluczem. Armatura nie ustępowała. Tracąc cierpliwość, próbował jeszcze raz. Tym razem wręcz się na nim uwiesił. Klucz ześliznął się i wyrznął Cole'a w palec. Mężczyzna zaklął paskudnie i pomyślał, że to dobrze, że dzieci są w szkole, a Rosanna wyszła.

Nie wiedział, jak to się stało, ale wczoraj wieczorem zjadł kolację wraz z nią i dziećmi. W jednej chwili stał na progu i wycierał buty, podczas gdy Max opowiadał o kutrze, który widzieli w porcie, a w następnej wszyscy siedzieli przy parującym gulaszu i grubych pajdach własnoręcznie wypiekanego chleba.

Chcąc odwdzińczyć się za posiłek, postanowił, że zerknie na ciekący kran. Rosanna trzykrotnie musiała wyganiać Maksa z pokoju i przekonywać go, że powinien raczej odrobić matematykę.

Kiedy chłopiec skończył odrabiać lekcje, zadzwonił do kolegi, którego nazywał Guzkiem. Cole podsłuchał, jak Max relacjonuje każdy szczegół wycieczki do portu, co doprowadziło do dyskusji o innych wycieczkach, na które chłopcy wybierali się latem. Kutry, łodzie, zardzewiałe klatki, pułapki na homary, żaglówki, budowa statków. Chłopiec wręcz się tym pasjonował.

Kiedy Max przestał rozmawiać przez telefon, Rosanna potrząsnęła głową z udawanym zgorzaniem.

- Ma kłopoty z tabliczką mnożenia, ale spytaj go o łodzie

albo łowienie ryb, a zamieni się w chodzącą encyklopedię - powiedziała z westchnieniem.

Cole nie dziwił się dzieciakowi. On sam w dzieciństwie niespecjalnie interesował się tabliczką mnożenia. Wtedy wraz z najlepszym przyjacielem rozmawiał tylko o policjantach i złodziejach. Nie powiedział tego jednak Rosannie. Walka z rurami sprawiała, że mógł czymś zająć ręce, mógł nie myśleć

o rzeczach i ludziach, za którymi tęsknił.

Cole podejrzewał, że to miła atmosfera tego domu przypominała mu o wszystkich wieczorach, które spędzał w domu Gary'ego i Evie, jeszcze przed tragiczną śmiercią partnera. Poczul ból w duszy. Nie mógł naprawić kranu bez podkładki, co oznaczało, że czeka go wyćteczka do pobliskiego Rockland. Powiedział więc wszystkim dobranoc i wyczerpany wspiał się po schodach. W pokoju runął na łóżko i natychmiast zapadł w głęboki, pozbawiony marzeń, dwunastogodzinny sen.

Wiedział, że jest z nim coraz lepiej, gdyż wspomnienie Gary'ego nie wywołało kolejnego ataku bólu. Obudził się zupełnie odświeżony. Gdy raniem popatrzył na swoje odbicie w lusterku w maleńkiej łazience, coś się zmieniło. Po kilku minutach zorientował się, na czym polegała zmiana. Jego oczy nie były już przekrwione ani szkliste. Wyglądały całkiem przytomnie. Zupełnie nie pasowały do trzydniowego zarostu i zbyt długich włosów.

Właśnie zakończył naprawę skorodowanej rury, kiedy usłyszał na podjeździe samochód Rosanny, więc nie zdziwił się, gdy kilka minut później stanęła w progu z siatkami w obu rękach. Cole klęczał, jego wzrok znajdował się na wysokości nieprawdopodobnie zgrabnych nóg. Czarne buty zakrywały kostki kobiety, czarne rajstopy znikwały pod czarną spódnicą, która okręciła się wokół kolan Rosanny, gdy rzuciła zakupy na ladę

i zdjęła z siebie bury płaszcz. Musiała włożyć dużo wysiłku

w to, żeby uniknąć jego spojrzenia. Rosanna zagwizdała cicho i trochę fałszywie.

- O rany, Cole, nieźle sobie radzisz - powiedziała z rozbawieniem w głosie.

Chodziło jej o to, że podczas jej nieobecności Cole wziął prysznic, ostrzygł się i ogolił. Nagle poczuł się równie zawstydzony jak pryszczaty nastolatek na studniówce. Wzruszył ramionami.

- Raz lepiej, raz gorzej - stwierdził, nie podnosząc wzroku. Był pewien, że Rosanna się uśmiecha, ale nie odważył się sprawdzić.

- Co robisz z latarką? - dopytywała się. - Myślałam, że zmienisz podkładkę w kranie.

- Zmieniłem - odrzekł, zbierając klucze. - Przysięgam, że ta rura nie ciekła, dopóki nie naprawiłem kranu.

Rosanna wstawiła mleko do lodówki, a hamburgery do zamrażarki.

Otwierając drzwi kredensu, powiedziała; - Tak się dzieje w tym starym domu. Jedna rzecz prowadzi do następnej. Gdzie nauczyłeś się naprawiać ciekące krany?

- Mój najlepszy przyjaciel mieszkał w starym domu, gdzie ciągle coś się psuło albo ciekło. Evie zawsze twierdziła, że wszystko dobrze funkcjonowało z wyjątkiem wieczorów, świąt i weekendów. - Cole wstał i otrzepał spodnie.

Rosanna wciąż rozkładała zakupy, ale zastanowiło ją coś w głosie Cole'a.

- Evie? - powtórzyła.

Cole już dawno strzepał cały kurz ze spodni, ale nie odrywał wzroku od swoich kolan; - Była żoną mojego partnera, Gary'ego - odparł. - I nie myliła się, twierdząc, że po godzinach wszystko idzie źle.

Rosanna nie ruszała się i czekała. Cole wpatrywał się teraz w klucz i bawił się nim machinalnie; jego myśli błędziły bardzo daleko stąd.

- Mieli dwie małe córeczki - ciągnął. - Bliźniaczki. Boże, te małe nigdy nie przestawały mówić. I rzadko kiedy potrafiły usiedzieć na miejscu. Dwa lata temu, kiedy Gary wykrwawiał się na śmierć - od kuli, która była przeznaczona dla mnie - w osiedlowej uliczce, a ja błagałem, żeby się trzymał, jego córeczki po raz pierwszy występowały na szkolnej scenie. W kuchni zrobiło się tak cicho, że Rosanna słyszała, jak mężczyzna oddycha. Wciąż miał opuszczone powieki, więc nie mogła widzieć jego oczu. Słyszał jednak, jak przejętym głosem mówił.

- Evie zajęła mu miejsce. Niczego się nie domyślała. Cholera, przecież zawsze się spóźniał. Oboje żartowaliśmy, że spóźni się na własny pogrzeb. Okazało się, że za bardzo się pośpieszył. O dobre kilkadziesiąt lat. Gdy zadzwonili, zaprowadziła dziewczynki do szpitala. Pokazały mi swój taniec, kiedy ona weszła do sali, w której leżał Gary. Wciąż miały na sobie te cholerne polinezyjskie stroje.

Cole zamknął oczy. Znowu miał to wszystko przed oczyma. Nie wiedział, czemu o tym mówi. Grzebanie w przeszłości nie było specjalnie zabawne. Skoro jednak zabrnął tak daleko, nie mógł teraz przerwać.

- Evie kompletnie się załamała - powiedział. - Ale ja... Ja byłem niczym skała.

- Gdzie są teraz? Evie i dziewczynki?

- Przeniosły się do Cleveland. Dwa miesiące temu Evie znowu wyszła za mąż. Za byłego gracza rugby, z barami szerokimi na kilometr i straszliwymi wąsiskami. Kompletnie się załamałem na weselu. Ale wtedy już sporo piłem.

- Opóźniona reakcja - stwierdziła.

Zupełnie jakby zrozumiała. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Żałował, że w ogóle zaczął o tym mówić. - Powinnaś być psychoterapeutką - powiedział.

Rosanna powstrzymywała uśmiech aż do chwili, gdy Cole na nią spojrział. Nie wiedziała, czy ma się uśmiechać, czy płakać.

- Byłabym beznadziejną psychoterapeutką - odparła.

- Mam cierpliwość, ale już nie do rówieśników. Zawsze marzyłam o tym, żeby rozwiązywać problemy innych ludzi, ale wpadam w rozpacz, kiedy mi się to nie udaje. Psychoterapeutką? Ja? Akurat. Zanim zdołałabym się z tego wyplątać, sama potrzebowałabym psychiatry.

Wydawało się, że wysłuchał jej spokojnie. Sprawdził kran, zajrzał pod zlew, żeby upewnić się, że nic już nie przecieka. Cieszyła się, że Cole się przed nią otworzył, nawet jeśli nie powiedział jej wszystkiego. Domyślała się, że w jego przeszłości było wiele smutku. Kiedy jej o tym opowiadał, słyszała w jego głosie żal, jak gdyby było mu przykro, że to nie on został postrzelony na tej osiedlowej uliczce. Mogłaby się upierać, że posiadanie żony i męża nie czyniło automatycznie życia żonatego cenniejszym od życia kawalera. Matka zawsze powtarzała, że Rosanna potrafiłaby wyklócać się nawet z papieżem. Teraz Rosannie zależało przede wszystkim na tym, żeby na twarzy Cole'a pojawił się uśmiech.

- Czy ten wielki gracz z wąsami to dobry facet? - spytała. Cole skinął głową. - Gary by go pewnie polubił - powiedział.

Rosanna z trudem powstrzymywała się od łez. - Skoro mowa o wąsach - zaczęła, usiłując całkowicie zmienić temat

- wczoraj był tu facet z fałszywymi wąsami. Przynajmniej wydaje mi się, że były fałszywe. Bardzo dziwne. Wciąż marszczył nos, jak gdyby go swędziało. Bardzo mu zależało, żeby wynająć pokój na strychu.

Cole poczuł się nagle bardzo rozdrażniony. Odgrzebywanie przeszłości zawsze tak na niego działało. - Ktoś chce wynająć ten pokój? - zapytał.

Rosanna zaczęła zwijać papierowe torby po zakupach.

- zaproponował mi cztery razy więcej niż to, co ty płacisz. Coleowi zdętwiał kark, jak zawsze, gdy opuszczała go cierpliwość.

- A pieniądze to dobry argument. Prawda?

Rosanna popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - Chyba tak, ale...

- Chyba tak? Co zamierzałaś zrobić? Poczekać do piątku, żeby powiedzieć: „Przy okazji, wynajęłam pokój komuś innemu, więc spakuj swoje rzeczy i wynoś się stąd do diabła”? Mężczyzna rąbnął narzędziami o blat i pośpieszył na górę.

Chwilę później Rosanna wpadła na schody. Tym razem nie próbowała omijać żadnych skrzypiących stopni. Uznała, że im więcej robi hałasu, tym lepiej.

- Słuchaj no, ty... ty... pustelniku. - Powiedziała to głośno i weszła do pokoju bez pukania. - Kiedy ktoś chce ze mną walczyć, powinien mieć choć na tyle przyzwoitości, żeby nie odchodzić w pół słowa. Trzeba dać mi choćby możliwość wyjaśnienia.

Cole usiłował coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu.

- Nie wspominałam ci o tym człowieku, dlatego że nie wynajęłam mu pokoju - ciągnęła. - Powiedziałam, że tego nie zrobię, i nie zrobiłam. Ja dotrzymuję obietnicy, a jeśli ty masz z tym problem, to już twoja sprawa. Może powinnam była powiedzieć temu Derekowi Drexlerowi, że wynajmę mu ten pokój. Chyba zawsze miałam zły gust, jeżeli chodzi o mężczyzn.

Nie wynajęła pokoju? Derek Drexler? To brzmiało jeszcze fałszywiej niż jego fałszywe wąsy. Znowu pomyślał o tym samym. Nie wynajęła pokoju. Zbyt szybko wyciągnął wnioski i, co gorsza, źle ją ocenił.

- Przepraszam, Rosanno.

Była zbyt zdenerwowana, by go słuchać, zbyt zbulwersowana jego zachowaniem, by się uspokoić. Wiedział, że ma gorący temperament. Tymczasem Rosanna chodziła w tę i z powrotem, a jej buty dudniły o starą podłogę. Wyzywała go na rozmaite sposoby i dosyć szybko poczuł się tym znużony.

- Daj już sobie spokój! - wrzasnął. - Jesteś cholernie atrakcyjną kobietą, Rosanno. Z twoimi nogami i energią powinnaś być tancerką, ale pewnie masz problemy ze słuchem, bo nie usłyszałaś, że cię przeprosiłem. Może poczujesz się lepiej, jeśli runę na kolana i zacznę całować twoje stopy.

Na sekundę odjęło jej mowę. Wzmianka o tańcu osłabiła jej determinację. W końcu lata temu marzyła, by zostać tancerką. Wtedy jednak była młoda i naiwną. Teraz była i starsza, i mądrzejsza.

- Nie mów mi, kim powinnam być. - Zdała sobie sprawę z tego, że przypomniał jej o niespełnionych marzeniach. Max i Shiloh byli dla niej wszystkim i byli warci wszystkiego, co zrobiła. - Wiedz, że nie chcę, abyś całował moje stopy ani żadną inną część mojego ciała. W ogóle nie życzę sobie, żebyś mnie dotykał.

- Jakie to dziwne.

- Co to ma znaczyć?

- Słyszałem cię wczoraj wieczorem.

Wpatrywali się w siebie, dysząc ciężko. Ich oczy lśniły od gniewu, a powietrze było tak gęste od napięcia, że z trudem oddychali. ,

- O czym ty mówisz? - spytała.

- Wiem, kim jestem, Rosanno - odparł Cole. - Kobieta taka jak ty mogłaby lepiej trafić. Nie musisz mi o tym przypominać.

Rosanna usiłowała zapanować nad swoimi szalejącymi

emocjami. Nienawidziła tracić panowania nad sobą, bo wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że nie da się cofnąć słów wypowiedzianych w gniewie.

- Posłuchaj, Cole, nie chciałam powiedzieć...

- Chciałaś.

Przejechał dłonią po włosach, oczach i twarzy. - Posłuchaj, nie musisz mi niczego tłumaczyć - powiedział ze zmęczeniem. - Nic mi nie jesteś winna.

Całowanie stóp to taka figura retoryczna.

- Oczywiście...

- Nie przejmuj się, nie jestem fetyszystą. Nie mam najmniejszego zamiaru dotykać twoich stóp ani żadnej innej części twojego ciała. - Kłamał, bo chętnie by to zrobił. Musiał jednak zachować dumę.

- Zapomnijmy o tym, dobrze?

- Pewnie - przytaknęła. - To znaczy o czym?

Chyba nie oczekiwała od niego uśmiechu, więc się nie uśmiechnął.

- Przepraszam, że straciłam panowanie nad sobą - powiedziała Rosanna.

- Tak. Ja też.

- Zazwyczaj udaje mi się trzymać nerwy na wodzy.

- Mnie także.

Właściwie miał z tym problem, gdy był młodszy. Kiedy pierwszy raz wyszedł patrolować ulice, dał się poznać jako policjant, który tracił kontrolę nad sobą, gdy miał do czynienia z handlarzami narkotyków, alfonsami, prostytutkami i złodziejami - wszystkimi, którzy chcieli łatwo zdobyć pieniądze. Teraz było inaczej. Rosanna nie zrobiła nic złego. W końcu była matką. W innym życiu mogłaby zostać jego przyjaciółką. Na innej planecie nawet kochanką. Ale nie w tym życiu, nie w tym świecie.

- Możesz zostać do końca miesiąca, jeśli chcesz - powie-

działa. - Miałam zamiar ci to powiedzieć. Pewnie powinnam była zrobić to wcześniej. Wciąż chcesz zostać?

Cole opuścił ręce tak, że zwisały teraz po bokach. - Chyba tak - odparł.

- No to dobrze. - Rosanna popatrzyła na niego niepewnie.

- Nie masz żalu?

- Nie - odrzekł cicho. - Nie mam.

Przesłała mu coś w rodzaju uśmiechu i odwracając się na tych swoich nogach tancerki, wyszła z pokoju.

Dzieci już od kilku dni zajęte były przygotowywaniem prezentów.

Doniczka była już prawie gotowa - Maxie, to piękne.

- Shiloh trzymała w dłoniach doniczkę jak prawdziwy skarb. Obróciła ją powoli i wyszeptwała: - Mamie z pewnością się spodoba

- Tylko nie upuść - upomniał ją Max, gdy dziewczynka odstawiała doniczkę do kartonu, który znaleźli w szafce na strychu. - Bo będziemy musieli zaczynać od początku.

Przez ostatnią godzinę przyklejali do niej świcidelka. Shiloh miała rację. To bardzo ładnie wyglądało. Mama zawsze mówiła, że lubi praktyczne rzeczy, ale Max wiedział, że na widok tego prezentu w jej oczach zalśniły iskielki.

Fajnie było dawać prezenty, zwłaszcza kiedy się wiedziało, że przypadną do gustu obdarowywanej osobie. Max zaczął się zastanawiać, co dostanie od mamy i Shiloh. Wujek Henry sporo mówił o rowerach, więc chłopiec przewidywał, że może znajdzie jakiś pod choinką. Nie zanosilo się jednak na to, żeby miał dostać ojca.

Max przeczuwał, że coś zaszło pomiędzy jego mamą a Cole'em. Cóż, byli dla siebie mili, mówili „dziękuję” i „przepraszam”, ale właściwie nic poza tym.

- Zrobisz jakiś prezent dla Cole'a? - spytała Shiloh, przytrzymując Maksowi ozdobny papier do pakowania.

- Nie wiem co - odparł, odrywając kawałek taśmy.
- Ja też nie - stwierdziła poważnym tonem Shiloh. Po chwili jej twarz pojaśniała i zapytała konspiracyjnym szeptem
- Chcesz zobaczyć, co robię dla Nadine?
- Oho, pomyślał Max. Znowu szeptała. To zawsze oznaczało kłopoty. -
- Chyba tak - odparł.
- Dobrze. - Shiloh stanęła na czworakach i zajrzała pod łóżko. - Ale musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.
- Max był przekonany, że na pewno z niechęcią dotrzyma tajemnicy, ale musiał się zgodzić, gdyż w innym wypadku Shiloh niczego by mu nie pokazała.
- Obiecuję.
- Jego siostra uśmiechnęła się radośnie i wyciągnęła spod łóżka parę butów na wysokim obcasie.
- Co zamierzasz zrobić z tymi zabójczymi butami Nadine?
- spytał Max.
- Cicho. Ktoś cię jeszcze usłyszy.
- Cześć, dzieciaki. - Cole delikatnie zapukał we framugę. Shiloh głośno pisnęła, a Max zerwał się na równe nogi. Mężczyzna widział w życiu zbyt wiele spiskujących osób, żeby nie zorientować się, o co chodzi. Max niemal upuścił to, co trzymał w rękach, a jego przestraszona siostra wpatrywała się w Cole'a olbrzymimi oczyma.
- Shiloh - powiedział Cole - czy te buty nie mają zbyt wysokich obcasów jak na dziewczynkę w twoim wieku?
- Shiloh okręciła się wokół niczym balerina. - To nie moje buty, głuptasie - roześmiała się.
- A więc czyje? - dopytywał się Cole, wchodząc do pokoju.
- Nadine. Shiloh je zabrała.
- Max, obiecałeś, że nikomu nie powiesz - pisnęła Shiloh.
- Poza tym zamierzam je zwrócić na Gwiazdkę. Najpierw jednak trochę je ozdobię.

- Nie możesz tego zrobić! - wykrzyknął Max. - Wytłumacz jej, Cole.
- Mogę - stwierdziła Shiloh i wysunęła brodę do przodu. - Nadine mówiła mi, że to jej ulubione buty. Pewniaki. Powiedziała, że kupi sobie jeszcze jedną parę, jeśli te się wykrzywią i przestaną być skuteczne. Co to znaczy „skuteczne”, Cole?

- Niech no się zastanowię. To trudne słowo.

- W każdym razie odnowię je i będą błyszcząły jak czerwone trzewiki Dorotki.

Cole przyglądał się butom, które Shiloh trzymała w rękach. Domyślał się, dlaczego Nadine nazwała je pewniakami. Były rzeczywiście seksowne, miały szpiczaste czubki i dziesięcio-centymetrowy obcas.

- Shiloh - zaczął Max. - Mama mówiła, że nie wolno ci kraść rzeczy, które należą do innych.

- Kradnie się tylko wtedy, kiedy się czegoś nie zwraca. Inaczej się pożycza. Prawda, Cole?

Max zerknął na Cole'a w poszukiwaniu pomocy. Właściwie to poza upomnieniem, że należy zapytać o pozwolenie, Cole nie miał żadnych argumentów. Shiloh przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

Wyczuwając zwycięstwo, uśmiechnęła się triumfalnie i schowała buty pod łóżko.

Max i Cole wymienili spojrzenie, znane wszystkim mężczyznom, mającym do czynienia z kobietą, której nie rozumieją i której z pewnością nie da się niczego wytłumaczyć. Max dramatycznie wywrócił oczyma, co rozbawiło Cole'a.

- Mama mówi, że czas jeść - powiedział mężczyzna.

- Zjesz razem z nami? - zapytała Shiloh.

- Nie - potrząsnął głową Cole. - Chyba pójdę gdzieś na hamburgera.

Max westchnął. Mężczyzna już od tygodnia nie jadał razem

z nimi. Wciąż odśnieżał podwórze i podjazd, wciąż coś naprawiał, ale przez większość czasu siedział w swoim pokoju.

- Co chciałbyś dostać na Gwiazdkę, Cole? - zapytała nieoczekiwanie Shiloh.

Cole wzruszył ramionami, więc Shiloh wyskoczyła z następnym pytaniem.

- A co dasz mamie? Pamiętaj, że to musi być zrobione własnoręcznie przez ciebie.

- Będę miał kłopoty, jeśli natychmiast nie zejdziecie na kolację - stwierdził Cole i wymownie wskazał ręką w kierunku drzwi.

Jakby na zawołanie, w tej samej chwili rozległ się głos Ro-sanny. - Są tam jakieś głodne"dzieci?

Rodzeństwo rzuciło się w kierunku schodów na parter. Cole zaś powlókł się tylnymi schodkami na drugie piętro. W jego głowie wciąż rozbrzmiewało pytanie Shiloh. Co podaruje Ro-sannie na Gwiazdkę? Ten prezent był dosyć oczywisty. Nie chciała, by jej dotykał, więc będzie trzymać się na dystans, choć wcale nie było to łatwe.

Północna Gospoda była duża nawet jak na wiktoriańskie standardy.

Wcześniej należała do ekscentrycznych sióstr - starych panien, które spędziły swoje ostatnie lata, wydając większość oszczędności na pieczołowite przywracanie domostwu jego dawnej chwały. Sprzedały dom matce Rosanny za znikomą część jego wartości, bo twierdziły, że nie potrzebują pieniędzy. Kilka miesięcy później zmarły, jedna po drugiej, na ten sam wirus grypy. To była jedna z tych historii, o których mieszkańcy miasteczka lubili od czasu do czasu mówić, gdy już wyczerpali temat tego, jak to widywano samochód szeryfa przed domem Mary Ellen Jacob w wieczory, w które jej mąż Roy przebywał poza miastem. Oprócz tego chętnie opowiadano

także o heroicznym ratunku całej załogi kutra w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim i tajemniczym zniknięciu brylantów Verity Hicks w dziewięćdziesiątym pierwszym. O tym ludzie rozmawiali na maturach, przyjęciach urodzinowych i w kolejkach do sklepu. Właśnie tego rodzaju sprawy nadawały małym miasteczkom osobowość, serce i duszę.

Rosanna co wieczór modliła się za obie starsze panie. Raz czy dwa razy w roku wznosiła oczy ku niebu i pytała je, o czym myślały, gdy zapomniały przeznaczyć trochę miejsca na szafki na każdym piętrze.

Poza maleńką alkową w dwóch z sześciu sypialni, kącik na strychu był jedynym miejscem, które nadawało się na trzymanie rzeczy. Tak więc przechowywała tu wszystko i znalezienie czegokolwiek zawsze stanowiło dla niej problem.

Popatrzyła na górną półkę. Z rękami opartymi na biodrach uznała, że może się do tego zabrać na dwa sposoby. Mogła teraz zbiec dwa piętra po schodach, wyjść na mróz, pójść do szopy i po ciemku poszukać drabiny, a potem wnieść ją do domu i wlec dwa piętra po schodach. Mogła też wspiąć się po półkach po przeciwnej ścianie i usiłować utrzymać równowagę przy zdejmowaniu pudeł.

Właściwie istniało jeszcze trzecie wyjście. Mogła zapukać do drzwi Cole'a i poprosić go o pomoc. Nie zdołała zliczyć, jak wiele razy przyszło jej to do głowy, jednak wciąż pamiętała, jak Cole oświadczył, że nie chciałby jej dotknąć. To zraniło jej dumę. A może miała zbyt wielkie mniemanie o sobie?

Oboje przeprosili, ale coś się między nimi zmieniło. On zamknął się w sobie. Nie winiła go za to. Jeśli w ogóle kogoś winiła, to siebie samą. Przecież wiedziała, że nie da się cofnąć słów wypowiedzianych w gniewie. Żadne przeproszenie nie wymaże tego, co oboje powiedzieli. W związku z tym prośenie Cole'a o pomoc nie wchodziło w grę.

Co oznaczało, że zostawały jej dwie możliwości. Chwilę później Rosanna, tak jak co roku, złapała za krawędź górnej półki i postawiła stopę na dolnej.

Cole odwrócił głowę i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że coś upadło. Nie przestraszył się niczego, ale zainteresował go ten niespodziewany hałas. Otworzył drzwi. Korytarz był pusty i cichy, tak jak przez cały dzień. Zazwyczaj gdy Max i Shiloh wracali ze szkoły, robiło się tu bardzo głośno. Najwyraźniej dzisiaj gdzieś wyjechali, bo przez całe popołudnie nie słyszał żadnych odgłosów.

Już zamykał drzwi, kiedy znowu usłyszał jakiś hałas. Dźwięk dochodził z końca "korytarza; rozlegało się tam szuranie kartonów, brzęczenie szkła i metalu i od czasu do czasu głośne sapanie: „uff”.

Cole udał się w kierunku tego dźwięku i zerknął przez otwarte drzwi. Rosanna kucała w połowie wysokości regału, który sięgał od podłogi aż do sufitu. Ta głupia kobieta musiała odchyłać się do granic możliwości i balansować, żeby dosięgnąć górnej półki. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego jeszcze nie spadła.

- Uważałem cię za kobietę, która ma choć odrobinę rozumu!

Rosanna aż podskoczyła ze zdumienia. Odwróciła głowę i zerknęła na mężczyznę, który ją tak przestraszył, a w tej chwili jej palce ześliznęły się z półki. Usiłowała przytrzymać się powietrza, ale siła grawitacji zwyciężyła.

Kiedy opadała niczym w Zwolnionym tempie, Cole skoczył szybko jak błyskawica: W jedną rękę zdołał złapać gwiazdkowy wieniec na drzwi, w drugą Rosannę.

Kobieta była lekka, ale i tak siła uderzenia wygięła go do tyłu. Zacisnął rękę wokół jej talii i przycisnął ją do siebie tak mocno, że poczuł, że nie może oddychać. Rozluźnił nieco uścisk i postawił ją na podłodze.

- To było bardzo głupie - powiedział.

Rosanna mogłaby zacząć się spierać, że przecież nie weszła na dach.

Gdyby spadła w schowku, nic poważnego nie mogłoby się jej stać.

Panował tu tylko bałagan i trudno było dostać się do półek. Na szczęście nie były na tyle wysokie, aby upadek z nich mógł się okazać naprawdę niebezpieczny. Mogła co najwyżej zniszczyć jedną czy drugą ozdobę, nabić sobie siniaka, ale nic poważnego by się jej nie stało. Była jednak zbyt zajęta tym, jak jej ciało zareagowało na dotyk Cole'a, żeby wypowiedzieć choć jedno słowo w swojej obronie.

Nagle zdała sobie sprawę ze swej reakcji. Ramię, które otaczało plecy Rosanny, było silne, zaś ciało przy jej ciele muskularne i ciepłe.

- Cole? - wyszeptała.

- Tak? - Mężczyzna wysunął szczękę i lekko rozchylił usta. Jego oczy miały teraz tak ciemny odcień brązu, iż wydawały się niemal czarne.

- Dotykasz mnie.

Powoli opuścił głowę. - Tak, wiem - mruknął niechętnie.

Wiedziała, że daje jej dużo czasu, aby mogła się opierać. Ale też dawał jej czas, by zrozumiała swe pragnienia, delectowała się, czekała.

Ręka Rosanny powędrowała do policzka Cole'a, zupełnie jakby pod wpływem jego woli. Miał ciepłą, napiętą skórę, lekko szorstką od odrastającego zarostu.

Przymknął powieki, wyglądało na to, że minęło sporo czasu odkąd zaznał czułości. Dźwięk, który wydobył się z jego gardła, pełen był frustracji i pożądania. wtedy, z łagodnością, którą wcześniej w nim wyczuwała, mimo jego ponuractwa i szorstkości, zakrył jej usta swoimi.

Rozdział 4

Rosanna zatrzepotała powiekami, a jej usta rozchyliły się pod naporem warg Cole'a. Ten człowiek nie był tym, na kogo wyglądał, a ten pocałunek też nie był taki, jakiego się spodziewała. Był niczym zmarszczka na idealnie gładkim jeziorze, tak piękna i naturalna, że gdy tafla jeziora robiła się gładka, miało się ochotę rzucić kamieniem, by jeszcze raz zaobserwować, jak się marszczy. Wzruszający i słodki - taki pocałunek,

o jakich piszą poeci i śpiewają muzycy, i które usiłują wyjaśnić naukowcy.

Usta Cole'a były twarde, a jednak pocałunek okazał się miękki, poruszający serce i łagodny. Od lat nikt nie pocałował Rosanny w taki sposób. Właściwie to nikt jej nigdy nie całował w ten sposób, tak jakby była kimś absolutnie wyjątkowym i cennym.

To był uzdrawiający pocałunek, pocałunek, który balansował na krawędzi namiętności, ale jej nie przekraczał. Ten podarunek należało docenić. Nie był to jednak pocałunek człowieka, który miał już życie za sobą i przed którym rysowała się samotna przyszłość. Ale Rosanna wiedziała, że Cole tu z nią nie zostanie. Będzie jedną z tych osób, o których ona od czasu do czasu pomyśli, za którymi zatęskni.

Nie miało znaczenia, czy będzie ją pamiętał. Liczyła się tylko ta chwila. I właśnie w tym momencie Rosanna oddała pocałunek, równie czule i namiętnie.

Czuła się równie dobrze w jego ramionach jak w swoim

własnym domu, a jego oddech wydawał się równie naturalny jak wiatr szalejący w dachówkach, jak skrzypienie stuletnich belek, jak głosy wspinających się właśnie po schodach Maksa i Shiloh. Pojawienie się dzieci przypomniało Rosannie o jej obowiązkach; o obietnicach, jakie złożyła malcom i sobie samej. Zakończyła pocałunek w chwili, w której skrzypienie desek oznajmiło jej, że Max i Shiloh dotarli już do pierwszego piętra. Otworzyła oczy i delikatnie się odsunęła.

Cole czuł, jak kobieta wysuwa się z jego ramion. Z niechęcią pozwolił jej na to. Teraz mógł zerknąć na wieniec, który złapał, zanim jeszcze schwycił ją w objęcia.

- To było bardzo miłe - powiedziała Rosanna.

Cole pomyślał, że „miłe” to niezbyt adekwatne słowo.

- Owszem - przytaknął mruklawie.

Kiedy dzieci wchodziły już na ostatnie schodki, Rosanna wyjęła wieniec z dłoni Cole'a. - Jeśli chodzi o łamanie lodów, to było o wiele skuteczniejsze niż zwykle „przepraszam” - powiedziała.

Cole potrząsnął głową i wzruszył ramionami. Choć wcale nie zamierzał się uśmiechać, nie zdołał się jednak opanować. Wyglądało na to, że Rosanna potrafiła wywołać uśmiech na twarzy nawet największego ponuraka.

- Cześć, Cole! - zawołała Shiloh, podchodząc do obojga.

- Co robisz?

- Cicho! - skarcił ją Max. - Widzisz, że Cole i mama rozmawiają. Nie przeszkadzaj im.

- Wcale nie rozmawiają. Stoją tylko i gapią się na siebie. Cole zastanawiał się przez chwilę, jak Rosanna zamierza im to wyjaśnić. Ona zaś spokojnie i pewnie, jak zawsze, wróciła do swoich obowiązków i powiedziała:

- Proszę. Możecie zacząć rozpakowywać pudła na dole. Wręczyła Shiloh wieniec, a Maksowi większe pudło i przy-

kazała Tm ostrożnie schodzić po schodach. Kiedy dzieci zniknęły, odwróciła się do Cole'a. - Masz ochotę zrobić mi przysługę? - zapytała. Jego wyobraźnia zaczęła intensywnie pracować. - To zależy - odparł ostrożnie.

Nieczuła na znaczący ton głosu Cole'a kobieta powiedziała:

- Max, Shiloh i ja poszliśmy dziś na targowisko i wybraliśmy wspaniałą choinkę. Sprzedawca pomógł nam załadować drzewko na samochód, ale byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zechciał je przynieść do domu. Wręczyła mu pęk kluczy, po czym pochyliła się, żeby podnieść kilka pudeł z podłogi. Cole uznał, że wobec tego pójdzie do samochodu i zajmie się drzewkiem, choć wolałby zająć się Rosanną. To z pewnością byłoby przyjemniejsze.

Trzy godziny później różnokolorowe światełka błyszcząły wesoło na trzymetrowej choince. Mogła się zmieścić jedynie w salonie, choć i tak Cole i Max musieli obciąć jakieś trzydzieści centymetrów pnia. Cole nigdy dotąd nie ozdabiał równie wysokiego drzewka. Od dawna się tak dobrze nie bawił. Nie było to może aż tak przyjemne jak seks, ale z pewnością równie męczące.

O dziewiątej dzieci położyły się do łóżka, a Cole poszedł na górę. Przed chwilą minęła jedenasta. W Miami nigdy nie kładł się spać tak wcześnie. Tu szybciej przychodziła noc. W tym mieście nie było syren, ruchu ulicznego ani żadnych neonów. Poza latarniami na ulicy świeciły tylko gwiazdy. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu. Wydawało się, że ten maleńki zakątek świata jest najspokojniejszym miejscem na ziemi. Nawet wiatr mrucał sennie.

Cole ziewnął. Przejechał dłonią po włosach, przemył twarz i dosyć pobieżnie wyczyścił zęby. Potem wyciągnął biały pod-

koszulek z dzinsów, włożył ręce do kieszeni spodni i wyjął stamtąd parę drobiazgów i pęk kluczy należących do Rosanny.

Znieruchomiał wpatrując się w klucze. Pomyślał, że kobieta będzie ich rano potrzebowała, by zawieźć dzieci do szkoły.

Wyszedł z pokoju i ruszył w skarpetkach ku schodom. Widział światło w kuchni, ale drzwi na dole były zamknięte. Nacisnął klamkę, po czym lekko zastukał.

Hm. Zaczaj zastanawiać się, gdzie jest Rosanna. Wiedział, że poradzi sobie z zamkiem. W przeszłości wielokrotnie musiał się włamywać do różnych miejsc. Nagle jednak przypomniał sobie o kluczach. Po co miał się włamywać, skoro mógł zwyczajnie otworzyć drzwi?

Trzeci z kolei klucz pasował. Cole otworzył drzwi i cicho zawołał Rosannę. Odpowiedziała mu cisza. Okrążył stół w kuchni i stanął w progu pokoju gościnnego. Prowadzące do salonu podwójne drzwi po drugiej stronie były otwarte. Lampki na choince wciąż świeciły. Drugie źródło światła stanowił telewizor, w którym po raz kolejny powtarzano „Kocham Lucy”.

- Rosanna?

Słyszał jedynie śmiech dobiegający z telewizora. Okrążył pokój. Szukał jakiejś wskazówki, która podpowiedziała by mu, gdzie znajdzie Rosannę. Gdy wszedł do salonu, zrozumiał, dlaczego nie zareagowała na wołanie. Była pogrążona w głębokim śnie. Leżała na kanapie z własnoręcznie zrobioną poduszką pod głową, przykryta kocem utkanym przez swoją matkę. Miała zamknięte oczy, a jej ciemne rzęsy rzucały długi cień na blade policzki.

Cole ścisnął w dłoniach klucze, a potem delikatnie położył je na stoliku do kawy. Nie mógł oderwać oczu od kobiety. We śnie wyglądała tak bezbrannie. Tak wiele z siebie dawała. Pomyślał, że to zgroza, by taka kobieta, tak ciepła i odpowie-

działna, zasypiała nie w ramionach mężczyzny, ale na kanapie podczas oglądania starych sitcomów.

Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby przejechał palcami po jej policzku, ustach, aż do czoła. Albo gdyby obudził ją delikatnym pocałunkiem. Czy budziłaby się powoli, odwzajemniając jego pocałunek, zawieszona pomiędzy snem a jawą? Czy też zaczęłaby wydzierać się jak opętana? Nie miał po co się tu kręcić, nie miał po co przyglądać się, jak śpi. I na pewno nie miał po co budzić jej pocałunkiem.

Ledwie zdążył się od niej odsunąć, kiedy nagle Rosanna otworzyła oczy. Popatrzyła na niego trochę nieprzytomnym spojrzeniem, ale tak ciepłym i zachęcającym, że poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

- Cole?

Natychmiast powrócił do rzeczywistości.

- Przyniosłem ci klucze - wyjaśnił.

- Aha.

Znowu dobiegł ich śmiech z telewizora, ale to nie uspokoiło myśli Cole'a. Miał świadomość ciemności, ciszy i oddalenia. Sytuacja wydawała się bardzo intymna. A Cole pragnął...

Jego pragnienie było silne i niebezpieczne.

- Lubisz stare komedie? - zapytał, mając nadzieję, że jego głos brzmi całkiem naturalnie.

- Oglądanie starych odcinków „Kocham Lucy” to jedną z moich dwóch wielkich namiętności - odparła z uśmiechem.

- Gary uwielbiał „Trzech frajerów” - Cole musiał odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos.

Rosanna usiadła i odsunęła kosmyk włosów z twarzy. - To właśnie jedna z największych różnic pomiędzy płciami - stwierdziła.

Być może, pomyślał Cole. Jednak z pewnością nie była największa ani najbardziej interesująca różnica.

- Lody czekoladowe.

Miał wrażenie, że serce zatrzymało mu się w piersi. - Słucham? - zapytał.

- To moja druga namiętność.

Czuł napięcie w gardle i miał niemal całkowitą pewność, że coś jest nie tak z jego sercem, płucami i mózgiem. Spojrzenie Rosanny było łagodne, a źrenice wręcz olbrzymie. Otaczała je tylko cienka zielona obwódka.

Pochylił się nad nią niczym zmarznięty wędrowiec nad gorzącym ogniem.

Rosanna wyciągnęła przed siebie rękę i potrząsnęła głową.

- Nie mogę, Cole - szepnęła.

Cole znieruchomiał. Powiedziała, że nie może. Nie, że nie chce albo że nie powinna, albo że tego nie zrobi. Nie mogła.

Mieszanka głosów i śmiechów dochodząca z telewizora nie pasowała do poważnego wyrazu oczu Rosanny.

- Wiem, jakim jesteś mężczyzną - powiedziała Rosanna. - Nie chodzi o to, o czym myślisz. Jest w tobie głębia, której wielu mężczyznom brakuje. Ale przyjechałeś tu jedynie na jakiś czas. Jestem samotną kobietą, a to znaczy, że czasem naprawdę czuję się samotna. Ale nikt się mną nie zajmie, jeśli sama tego nie zrobię. Kiedyś już zakochałam się w niewłaściwym człowieku, którego pragnieniem była wędrowka po świecie i pisanie piosenek. Jeśli jeszcze kiedykolwiek się zakocham, to tylko w kimś, kto będzie pragnął tego samego co ja.

Nagle Cole zrozumiał, dlaczego nie zapytała go, co dla niego oznaczał ten pocałunek na strychu. Ona szukała związku na stałe. Mężczyzna bez pracy, planów, obowiązków, który z tygodnia na tydzień wynajmował pokój na strychu, nie nadawał się do tego, by się z nim związać. O tak, podobali się sobie. Ale Rosanna nie zamierzała nic z tym robić.

On także nie. Dla niego najważniejsze były powody związane z przeszłością, a dla niej wręcz przeciwnie, z przyszło-

ścią. - Rozumiem - powiedział. Przez to jednak, że rozumiał, pragnął jej jeszcze mocniej.

- Tak myślałam, że zrozumiesz.

Nie przepraszała go, w żaden sposób się nie tłumaczyła. Nie traciła czasu na żale, że nie jest inaczej. Było jak było. Mogła ich połączyć jedynie przelotna, pełna sympatii znajomość.

Cole pożegnał się z Rosanną, a gdy wrócił do swojego pokoju na strychu, pomyślał, że mężczyźni w tym miasteczku są albo ślepi, albo głupi, albo jedno i drugie.

Przez dłuższy czas stał przy oknie i rozmyślał. Rosanna nie przypominała żadnej innej znanej mu kobiety. Nie mówiła niczego, czego tak naprawdę Kie myślała. Nie traciła czasu na niepotrzebne pogaduszki. Była samotna, ale nie zdesperowana. Co prawda Max wspominał, że czasem oglądała telewizję w łóżku. Takie miała sposoby na zabijanie samotności.

Wyjrzał w noc. Pokój za nim pogrążony był w ciemnościach. Teraz, po wycieczce do portu, potrafił już rozpoznać z oddali niektóre światła. Ktoś powiesił bożonarodzeniowe światełka na statku w suchym doku. Maszt wieńczyła piękna gwiazda.

Do Wigilii pozostał niewiele więcej niż tydzień. To wydawało się zdumiewające. Co się stało z całym grudniem? Pomógł Rosannie i dzieciom przygotować świąteczne drzewko, ale sam nie postarał się o choinkę dla siebie. Musiał kupić prezenty dla Evie i dziewczynek. I dla ojca, i wuja Lou. Zastanawiał się, czy te rzeczy mają szansę dotrzeć do obdarowywanych na czas.

Skoro mowa o prezentach, musiał też znaleźć coś dla Maksa i Shiloh. A także coś wyjątkowego dla Rosanny. Chciał jej wręczyć coś, co przypominałoby jej o nim na długo po jego wyjeździe.

Nieznacznie odsunął się od okna. Jakiś ruch na dole sprawił, że zaczął mieć się na baczności. Poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Serce Cole'a zaczęło szybciej bić, miał przyśpieszony oddech. Poczuł, że traci ostrość wzroku, a w jego piersi narasta napięcie.

Zamknął oczy i natychmiast zaczął się relaksować, tak jak się tego nauczył na Florydzie. Zaciśnął ręce po bokach i powoli, świadomie, rozprostowywał palce, jeden po drugim. Skoncentrował się na oddechu - wciągał powietrze przez nos, wydychał przez usta, wciągał przez nos, wydychał przez usta. Rozluźnił mięśnie i starał się odprężyć.

Kiedyś zajmowało mu to całe godziny, a teraz jedynie sekundy. Policyjny psycholog twierdził, że Cole znajduje się w podobnym stanie co weterani wojenni. Doktor Henderson uważał, że dzieje się tak ze względu na stres, a w wypadku Cole'a stres był spowodowany zarówno wspomnieniami z dzieciństwa, jak i poczuciem odpowiedzialności za śmierć przyjaciela. Te teorie dowodziły jedynie, ile był wart oprawiony świstek, wiszący na ścianie w gabinecie psychiatrycznym.

Ojciec Cole'a robił karierę jako wojskowy. Po śmierci matki Cole'a pułkownik Monroe wyjechał za granicę. Zostawił synka u rodziny swojego najlepszego przyjaciela. Chłopiec nie miał nic przeciwko temu, bo uwielbiał Jima i Marthę Davidow. Traktował ich syna Gary'ego jak własnego brata. Cole tęsknił za matką i ojcem, ale po raz pierwszy w życiu czuł, że ma korzenie. Niezależnie od tego, co głosiły akademickie podręczniki, Cole nie obwinał się również za śmierć Gary'ego. Miliony raz odtwarzał tamtą chwilę w myślach i wiedział doskonale, że nic nie mógł zrobić.

Strach był prawdziwy. Podobnie jak wyrzuty sumienia. Ale to poczucie bezradności wynikało z tego, że Cole nie wierzył już w wyznawane wcześniej wartości. I co z tego, że był do-

brym gliną? I tak wygrywali źli. Wszyscy dobrzy powoli wymierali. I pojedynczy człowiek nic nie mógł z tym zrobić.

Tak, dobro zawsze przegrywa ze złem...

Wpatrywał się uważnie w cienie, zastanawiając się, co też tam wcześniej widział. Nic się nie poruszyło. Może to był tylko wiatr w krzewach albo jakieś zwierzę szukające pożywienia i kryjówki. Czuł się kompletnie wyczerpany, więc postanowił, że sprawdzi to jutro, i z trudem powlókł się do łóżka.

Następnego ranka Rosanna piekła świąteczne ciastka. Cole wetknął głowę do kuchni. Powietrze pachniało cynamonem, imbirem i ciepłym sosem jabłkowym.

- Cześć, Cole! - przywitała Tgo Max. Była sobota, więc dzieci nie poszły do szkoły. - To jest Guzek.

Cole wszedł do pokoju i uśmiechnął się do pulchnego chłopca w baseballowej czapce i porozciągany swetrze.

- Jak leci? - zapytał.

- W porządku.

- Cześć, złotko. Pamiętasz mnie jeszcze? - zawołała od stołu Nadine. Piła kawę i przeglądała jakiś kobiecy magazyn.

Cole zastanawiał się, czy już zorientowała się, że brakuje jej ulubionych butów na wysokim obcasie. To zaś przypomniało mu, że nie powiedział jeszcze Rosannie o najnowszym pomysle Shiloh.

Max i Guzek siedzieli przy kuchennym blacie, Shiloh zaś stała na stołeczku po drugiej stronie i pomagała mamie. Dziś miała włosy związane w kucyk. Na jej policzku widniała biała smuga od mąki, a cały przód różowej sukienki był czymś uwalany.

- Naprawdę nazywa się Daniel - pisnęła. - Wszyscy mówią na niego Guzek, bo kiedy był mały, cały czas się przewracał i upadał na głowę.

Cole pomyślał, że to zadziwiające, że ludziom udaje się

jakoś przeżyć dzieciństwo, i mrugnął do chłopca, który wpatrywał się w niego poważnymi, błękitnymi oczyma.

- Max mówi, że był pan gliną - powiedział.

- To prawda.

- Zabił pan kogoś?

Nagle w pokoju zrobiło się bardzo cicho. Choć mężczyzna nie patrzył nawet w tamtym kierunku, wyczuł spojrzenie, jakie wymieniły między sobą Rosanna i Nadine.

- Oglądacie za dużo telewizji, chłopcy - powiedziała Nadine, chcąc rozładować napięcie.

Rosanna także usiłowała zmienić temat. zaproponowała Shiloh, żeby ozdobiła ciasto i usiłowała zachęcić chłopców do pomocy. Max i Guzek popatrzyli tylko na Rosannę i znów przenieśli spojrzenie na Cole'a. Cole rozważał, co powinien teraz zrobić. Mógłby skłamać. Przynajmniej nie musiałby wtedy opisywać szczegółów i odpowiadać na dziesiątki pytań. Nic nie odpowiedział i skinął głową.

Guzek odwrócił wzrok, ale Max wciąż patrzył Cole'owi w oczy. - Tak myślałem - stwierdził. Guzek odgryzł kawałek figurki z piernika, a Max wskazał na miskę z lukrem i powiedział: - Shiloh, podaj mi ten nóż.

I tyle. Nie było żadnego przesłuchania, żadnego natrętnego domagania się ponurych szczegółów. Tylko spokojna akceptacja prostej i szczerzej odpowiedzi. Ten chłopiec bardzo przypominał swoją matkę. ,

Nadine usiłowała zwrócić na siebie uwagę Cole'a, zadając mu kilka pytań dotyczących pogody. Cole odpowiadał jej bardzo zwięźle, a potem szybko wyszedł.

Tego ranka wiatr wiał wyjątkowo mocno, rozwiewając płatki śniegu, tak maleńkie, że uderzały o twarz Cole'a niczym ostre kawałeczki szkła.

Mężczyzna zapiął kurtkę, postawił koł-

nierz i naciągnął rękawice. Zerknął w górę, a potem zlokalizował fragment podwórza, który mógł widzieć ze swojego okna na drugim piętrze.

Krawężnik kończył się kilka metrów od miejsca, w którym najprawdopodobniej dostrzegł wczoraj jakiś ruch. Poszedł za śladami butów mężczyzny za dom.

Ślady mogły należeć do śmieciarza albo człowieka z elektrowni, który przyszedł odczytać licznik. Tyle, że pojemnik na śmiecie stał zupełnie gdzieś indziej, nie było też tutaj licznika.

Cole zaczął się zastanawiać, czy w sąsiedztwie nie grasuje jakiś podglądacz. Rozejrzał się dookoła. Po drugiej stronie ulicy dzieci bawiły się śnieżkami. Kobieta, która mieszkała za Ro-sanną, właśnie wypuszczała z 'domu swojego pudła. Ten, kto zostawił ślady, dawno już zniknął. Cole postanowił więc, że porozgląda się wieczorem. Odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu, by pojechać na zakupy do pobliskiego miasteczka Rockland.

Była już środa, gdy Cole znów całą noc wpatrywał się w ciemność za oknem. Prezenty, które kupił dla Gracie i Glory, znajdowały się w drodze do Ohio. Nie znalazł niczego dla ojca i wujka Lou, ale podarunki dla Rosanny i dzieciaków leżały na stoliku obok olbrzymiej muszli.

Od soboty Cole bacznie obserwował okolicę i nie dostrzegł ani nie usłyszał niczego podejrzanego. Przekonywał sam siebie, że ślady na śniegu były przypadkowe, aż do dzisiejszego ranka, kiedy odkrył nowe tropy na świeżym śniegu.

Ktoś, kto nosił kowbojki rozmiar dziesięć, okrążył wczoraj po północy dom. Właśnie o północy Cole zrezygnował z obserwacji.

Dziś postanowił nieco dłużej pozostać na warcie. Dochodziło wpół do siódmej, a już był rozdrażniony, wręcz zły. Cho-

dzenie po pokoju nie pozwalało mu ukoić skołatanych nerwów. Potrzebował trochę ćwiczeń i świeżego powietrza. Wyciągnął więc ze swojego worka buty do biegania, włożył ostatnią czystą parę dżinsów i zbiegł na dół.

Właśnie wychodził przez tylne drzwi, żeby ruszyć na długi jogging, kiedy usłyszał kobiecy głos.

Zatrzymał się raptownie. Usiłował rozpoznać ten głos. Był nieco piskliwy, potwornie drżący i dziwnie stłumiony. Dochodził nie z zewnątrz domu, lecz z wewnątrz. Pot wystąpił mu na czoło.

Rosanna? Zamknął zewnętrzne drzwi i usiłował otworzyć drzwiczki prowadzące do wewnątrz, znajdujące się po drugiej stronie wąskiego korytarzyka. Były zamknięte. Co się u diabła działo?

Głos w głowie kazał mu się pośpieszyć. Wciąż nalegał, by się pośpieszył, zanim będzie za późno.

Cole sforsował zamek, popchnął drzwi i ruszył do kuchni, a potem biegł przez wąski korytarz w kierunku tego drżącego, stłumionego głosu.

To był z pewnością głos Rosanny. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Przez jego umysł przebiegały okropne obrazy. Czerwone, psychodeliczne światło raz po raz zmieniał się na białe.

Czerwona była krew, gorąca i lepka; sączyła się strugami w ciemnej osiedlowej uliczce. Białą był śnieg. A na nim widniały ślady szpiczastych kowbojek, które prowadziły donikąd. Te dwa obrazy zlewały się ze sobą, lśniąc i pulsując.

Czuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Mimo dudnienia w piersi Cole wiedział, że nie ma czasu na atak, nie ma czasu na techniki relaksacyjne. Sięgnął po klamkę i nacisnął ją. Boże. Boże. Tam była Rosanna.

- Rosanno! Odpowiedz!

157

Zupełnie jak gdyby ktoś wyłączył kontakt, w łazience nagle zapadła kompletna cisza.

Instynkt wziął górę nad dobrym wychowaniem. Cole rzucił się na drzwi i wyważył je z taką siłą, że posypało się drewno z futryny i zadrżała podłoga. Rosanna odwróciła się, spojrzała na Cole'a i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Rozdział 5

Drzwi łazienki rąbnęły o ścianę dokładnie w tej samej chwili, gdy serce Cole'a niemal uderzyło o żebra. W jednej sekundzie krzyk Rosanny przeszył powietrze, w następnej zapadła przeraźliwa cisza.

Rosanna stała pod prysznicem, a Cole znajdował się jakiś metr dalej i trzymał w ręce zasłonkę prysznicową, którą przed chwilą gwałtownie zerwał. Wpatrywali się w siebie oszołomieni.

Kobieta nie była w niebezpieczeństwie. W przeciwieństwie do Cole'a. Zrozumiał to, gdy jego spojrzenie powędrowało po jej oliwkowym, nieskazitelnym ciele, na którym zdążyła się już pojawić gęsia skórka.

Kobieta była drobna i delikatna, miała jasne, pełne piersi.

Niech to szlag, rzeczywiście był w niebezpieczeństwie. Bał się, że zaraz powie: „Do diabła z tym wszystkim”, i wejdzie do niej pod ten prysznic.
- Cole?

Wydawało się, że brakuje jej tchu. On sam miał trudności z oddychaniem. W końcu zdołał jakoś oderwać spojrzenie od jej piersi i przenieść je niżej. Dreszcz, który wstrząsnął Rosanną, przywrócił jej świadomość. Sięgnęła ręką i zakreśliła kran, a potem szybko sięgnęła po ręcznik, zakrywając nim przednią część ciała.

Cole miał ściągnięte rysy i napięte mięśnie twarzy. Jego oczy były ciemne i chmurne, a dłonie miał zaciśnięte w pięści.

- Cole - powtórzyła. - Co ty właściwie robisz?

Stał w rozkroku, jakby przygotowywał się do poważnej rozgrywki. - Myślałem, że masz problemy - wyjaśnił.

- Problemy? Dlaczego?

- Usłyszałem cię. I pomyślałem... Pomyślałem, że cierpisz. Coś zaatakowało go z obu stron. Podskoczył, sięgnął po broń, której już nie nosił, i strasznie zaklął.

- Co ty robisz, Cole? - zapytała Shiloh.

- Może wszyscy sobie tu wejdziecie? - zawołała Rosanna. Shiloh w ogóle nie dostrzegła sarkazmu w głosie matki, tylko podeszła bliżej. - Cole? - nie ustępowała. - Dlaczego podglądasz mamę pod prysznicem?

Cole nagle ochłonął i zrobił krok do tyłu, a wtedy wpadł na Maksa.

Rosanna brała prysznic. Nie była ranna i nie krwawiła. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie jej groziło, groziło jej z jego strony. W tej chwili bardzo chciał jej dotknąć, pokochać się z nią.

Zaczął się zastanawiać, co może teraz zrobić. Mógł podkuć ogon pod siebie i uciec, chociaż wolałby wypchnąć dzieci, zamknąć im drzwi przed nosem i wyrwać ręcznik z rąk Rosanny.

- Właśnie, Cole - dodał Max. - Dlaczego podglądasz mamę pod prysznicem?

W końcu zdołał oderwać oczy od jej ud. - Coś usłyszałem... - wyjąkał. - I pomyślałem... To znaczy... To brzmiało tak... jakby... miała kłopoty.

- Mama nie miała kłopotów - stwierdziła Shiloh. - Śpiewała. Powiedz mu, Maxie.

- Shiloh ma rację. Mama śpiewała sobie pod prysznicem. Zawsze tak robi. Śpiewała? - nagle zrozumiał. - To miał być śpiew?

- Wynocha. - Oczy Rosanny zrobiły się ciemnoszare z gniewu.

Cole i dzieci cofnęli się o krok. - Nie wiedziałem - mąż czyżna zaczął się tłumaczyć. - Niby skąd miałem wiedzieć? Myślałem, że ktoś cię krzywdzi... Ale ty po prostu śpiewałaś sobie pod prysznicem.

- Babcia zawsze powtarzała, że masz głos jak żaba, praw da, mamusiu?

- Wszyscy się natychmiast wynoście!

Cole i Max podskoczyli, ale na Shiloh nie zrobiło to żadnego wrażenia. -

Pójdziemy - stwierdziła. - Za sekundkę Kiedy latem okna są otwarte, koty wyją, jak mama śpiewa pod prysznicem. Prawda, mamusiu?

- Wynocha!

Niczym marionetki powiązane tą samą żyłką, Cole, Max i Shiloh natychmiast wycofali się z pomieszczenia i stanęli na progu. Rosanna zatrzasnęła im drzwi przed nosem. Kiedy przebrzmiało echo tego dźwięku, wargi Cole'a rozciągnęły się w uśmiechu.

- Czy koty naprawdę wyją, kiedy słyszą śpiew waszej mamy? - zapytał.

- Tak. Koty pani Zuker wyją zaiażdym razem - przytaknęła dziewczynka.

- Prawda, Max?

- Tak. - Max poważnie skinął głową. - I nie tylko one. Kiedy była mała, wyrzucili ją z kościelnego chóru. Mama Guzka mówi, że kierownik chóru powiedział, że mama nie umie zaśpiewać nawet „Wlazł kotek na płotek”. Cole z trudem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. - To niedobrze - stwierdził. ,

- Mamie wcale to nie przeszkadza - oznajmiła Shiloh. - Mówi, że Bóg stworzył zarówno kumkanie żaby, jak i ćwierkanie ptaków.

- Nie powtarzaj tego mamie, ale mnie się wydaje, że ćwierkanie ptaków jest o wiele ładniejsze - stwierdził Max.

- Słyszałam!

Drzwi od łazienki otworzyły się i Rosanna wytknęła przez nie głowę. Potrząsnęła nią i wzniosła oczy do nieba. Zasłoniła się szczelnie ręcznikiem i zaczęła mamrotać do siebie coś na temat tego, że nie ma już nic świętego, a jej odebrano prawo do prywatności.

Kiedy już zamykała drzwi, dobiegł ją śmiech. Nigdy nie miała dosyć chichotu Shiloh i chłopięcego rechotu Maksa, ale dziś to dźwięk śmiechu Cola sprawił, że opuściło ją zmęczenie i rozdrażnienie.

Może to, że z niej żartowali, nie było wcale takie złe. Skoro w ten sposób potrafiła doprowadzić Cole'a do śmiechu, równie dobrze mogła to kiedyś powtórzyć. Odwiesiła ręcznik i popatrzyła na swoje odbicie w zaparowanym lustrze. Widziała ogień w oczach mężczyzny, gdy wpadł do łazienki. Wciąż jeszcze czuła w swoim ciele dojmujące pragnienie.

Tak łatwo byłoby go pokochać. Zamknęła oczy, by dać odpór zalewającej ją fali uczuć. Miała przecież swoją dumę i skalę wartości. Wcale się w nim nie zakochiwała. Po prostu go polubiła. Przecież lubiła wielu ludzi. Sympatia do Cole'a nie była niczym nadzwyczajnym. Ten człowiek dawał się lubić. I wkrótce zamierzał odejść.

Kiedy wyciągnęła szpilkę z włosów i założyła szlafrok, powiedziała sobie, że nie ma powodów, by się mazać ani wpadać w panikę. Była przecież silna i energiczna. Znajdzie w sobie siłę, by mu się oprzeć i żeby po jego odejściu żyć tak jak kiedyś.

Kolor jego oczu, uparta broda i leniwe, rzadkie uśmiechy już zdążyły wryć się jej w pamięć. Teraz słyszała jego głęboki głos, tak łatwo zlewający się ze śmiechem Maksa i Shiloh. Rosanna powtarzała sobie, że wszystko się ułoży. Trzeba będzie żyć jak zawsze.

Tymczasem trzeba się zająć świątecznymi przygotowaniem. Tyle roboty jeszcze przecież zostało.

Gdy Cole i dzieci jednocześnie wpadli do pokoju gościnnego, w powietrzu czuć było mocny zapach choinki. Ktoś włączył światełka na drzewku w salonie. Wyglądało na to, że Rosanna skończyła właśnie przystrajać resztę domu.

Zbliżał się wieczór. Tu, w Maine, była to najspokojniejsza pora dnia. Cole właśnie zaczął się przymierzać do wyjścia, kiedy Shiloh powiedziała zaczepnie:

- Mama faktycznie potrafi wrzeszczeć.

Ledwie zdołał ukryć uśmiech. Z powodu buzujących w nim hormonów wolałby zapomnieć o całej sprawie, natomiast Shiloh wracała do niej z uporem maniaka. Zauważył, że dzieci są odświętnie ubrane. Max miał uczesane włosy, wypolerowane buty i wyprasowane spodnie. Ubrał się w butelkowozielony sweter, o jakieś dwa odcienie ciemniejszy niż aksamitna sukienka Shiloh. Buty dziewczynki były skórzane i ozdobione sprzączkami. Włosy miała przewiązane szeroką białą wstążką. Biała wstęga przepasywała jej talię. Evie podobnie ubierała Glory i Gracie. Pewnie nadal tak robiła. Cole zniechęcony zatęsknił za dziewczynkami i zaczął się zastanawiać, jak sobie radzą.

- Co byś zrobił, Cole? - spytała Shiloh, wspinając się na sofę. - Co byś zrobił, gdyby mama nie śpiewała, tylko krzyczała, tak jak ci się wydawało?

Cole poczuł ciężar w piersi. Przełknął ślinę, usiłując jednocześnie szybko wymyśleć jakąś odpowiedź. Max przewrócił oczyma i odpowiedział za niego.

- Uratowały ją - powiedział wszystkimiedzącym tonem, używanym nawet przez tych braci, którzy lubią swoje siostry.

Serce Cole'a waliło jak młotem. Na szczęście nie był to

jeden z ataków, ale i tak mężczyzna czuł się wystarczająco źle. Nagle odniósł wrażenie, jakby od wielu miesięcy pływał w zamieszkanym przez rekiny oceanie. Kiedy już miał iść na dno, ktoś rzucił mu koło ratunkowe. Dzień po dniu ta rodzina stawała mu się coraz bliższa. Zaczynało mu na nich zależeć. Jak do diabła do tego doszło?

- Czy pójdziesz z nami do szkoły, żeby nas obejrzyć w przedstawieniu gwiazdkowym, Cole? - spytała Shiloh.

Popatrzył na dzieci. W ich twarzach malowała się taka nieskrywana tęsknota, że musiał odwrócić wzrok. Myśleli, że jest bohaterem. Czy w ogóle nie dostrzegali, że był tylko człowiekiem? Nie mógł ich chronić przed całym złem tego świata. Ale mógł ich ochronić przed samym sobą. Potrząsnął więc przecząco głową.

- Przedstawienia gwiazdkowe są tylko dla rodziny - odparł.

- No to co będziesz robił całkiem sam? - spytała Shiloh.

Cole wzruszył ramionami. - Może się zdrzemnę - odpowiedział wykrętnie. Shiloh skrzywiła się. Był pewien, że stracił także u Maksa. No i dobrze. Nie nadawał się na ojca, niezależnie od tego, co wyobrażał sobie Max. Cole nie był rycerzem, zesłanym tu, by uratować chłopca czy kogokolwiek innego. Wyjechał z Miami, żeby uciec od przestępstw i odpowiedzialności. A także od tej przejmującej świadomości, że nic się nie da zrobić.

Przeprosił ich i zamiast od razu iść pobiegać, zaszył się na strychu, żeby pomyśleć. Kiedy tak wyglądał przez okno, powoli zapadła ciemność. W domach na ulicy światła zapalały się w takiej samej kolejności jak zwykle. Ktoś powinien powiedzieć tym ludziom, żeby nieco zmienili przyzwyczajenia. Złodziej nieźle by się tu obłowił.

Cole nienawidził, kiedy ogarniały go złe przeczucia. A jednak

nic nie mógł na to poradzić, że się pojawiły, zimne i ciężkie jak bryła kamienia. Już nie musiał zajmować się oszustami. Poza tym za bardzo zaangażował się emocjonalnie w tę rodzinę.

Przypomniał sobie, jak Rosanna powstrzymała go, gdy kilka dni wcześniej usiłował ją pocałować. Nie chciała wdawać się z nim w romans, bo wiedziała, że on stąd wyjedzie. Ostatnie, czego potrzebowała, to romantyczne interludium, które musiałyby się źle skończyć. Dobrze to rozumiał, przecież także zamierzał utrzymać dystans. A potem zobaczył ją pod prysznicem. W tym krótkim momencie, gdy spotkały się ich spojrzenia, ich ciała także porozumiały się, zrodziło się wspólne pożądanie. Im dłużej tu pozostawał, tym trudniej mu było z nim walczyć. Nadszedł więc czas, by odszedł.

Ta myśl pojawiła się nagle, a jednak wyglądało na to, że cały czas w nim tkwiła. Wiedział, że musi to zrobić. Spakowanie rzeczy do toreb zajęło mu pięć minut. Rozejrzał się po pokoju i zauważył prezenty, które wybrał dla Rosanny i dzieci. Zastanawiał się, czy powinien je zapakować. W końcu zostawił je na stole w widocznym miejscu.

Stanął u stóp schodów i zaczął nasłuchiwać. Cały dom był pogrążony w ciszy, oświetlony jedynie ciepłym światłem pieca. Cole planował, że szybko się pożegna i odejdzie, gdy tylko wszyscy wrócą z przedstawienia. Zostawił więc torby w korytarzu, zapiął kurtkę i ruszył do tylnych drzwi, żeby wreszcie pobiegać.

Nie przypuszczał jednak, że Rosanna wróci na chwilę do domu. Ona zaś zapomniała o ciastkach. Najpierw omal nie zapomniała torebki. Potem miała kłopoty ze znalezieniem kluczy. A teraz jeszcze ciastka. Rany boskie. Była niespokojna, nerwowa, kręciło się jej w głowie i wciąż o czymś zapominała. A to wszystko przez to, że Cole widział ją nagą.

Powinna być na siebie wściekła. Jednak za każdym razem, gdy już miała skarcić się w duchu, na ustach pojawiał się jej uśmiech. Teraz też tak było. Okrążyła ulicę i wróciła na podjazd. Wrzuciła luz, wyjęła kluczyki, otworzyła drzwi i oznajmiła dzieciom, że zaraz wraca.

Obcasy Rosanny stukały o cementowy podjazd. Zimny wiatr rozwiewał połę jej wełnianego płaszcza, a jednak wcale nie czuła chłodu. Wręcz przeciwnie, czuła się rozgrzana od środka - zmysłowa, pożądana. A to wszystko dlatego, że Colter Remington Monroe widział ją naga.

To było szalone. Wiedziała przecież, jak wygląda. Jej brzuch nie był już tak idealnie płaski jak kiedyś. Zawsze uważała, że powinna trochę popracować nad swoim biustem. A jednak gdy Cole patrzył na nią, w jego oczach nie widziała obrzydzenia. W jego spojrzeniu krył się taki ogień, że poczuła się wyróżniona i wspaniała.

Powtarzała sobie, że to niczego nie zmienia. Przecież i tak miał odejść. A ona musiała tu zostać. Teraz jednak stała się roztargniona i podniecona. No i co z tego? Przecież zbliżała się Gwiazdka. W powietrzu czaiła się magia. Skoro więc Rosanna nie szła za głosem uczuć, to komu przeszkadzało, że trochę poigra z ogniem?

Teraz musiała wziąć torbę z ciastkami, które przygotowała na szkolne przyjęcie po gwiazdkowym przedstawieniu. Jeśli się pośpieszy, przynajmniej się nie spóźnią.

Omali nie zderzyła się z Cole'em przy wejściu. Ich spojrzenia spotkały się i Rosanna, dziwnie skrepowana, uśmiechnęła się do lokatora. -

Zapomniałam ciastek - wyjaśniła. -Max jest pewien, że zaczęłam się starzeć.

W odpowiedzi Cole mruknął coś niewyraźnie. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Miał dziwną minę, wyglądał tak, jak gdyby coś ukrywał. Właściwie nie było w tym nic niezwykle-

go. W końcu zawsze niewiele mówił. Teraz miał na sobie spłó-wiałe dzinsy, grubą kurtkę i bardzo zniszczone buty do biegania.

- Gdzieś się wybierasz?

Nie musiała go o to pytać. Ale jednak to zrobiła, tylko po to, żeby natychmiast tego pożałować. Naprawdę, nie zachowywała się tak głupio od czasu, gdy skończyła czternaście lat.

- Co? - Popatrzył na nią z wyrazem winy na twarzy. -A... tak. Chyba tak. Ogarnęło ją jakieś złe przeczucie. - Czy coś się stało, Cole? - zapytała.

- Cóż? Nie. Muszę trochę pobiegać. Pomyślałem, że chyba wybiorę się do portu.

- To miło. - Przepuściła go i dodała: - Tylko bardzo cię proszę, nie mów o tym Maksowi. Jeśli to zrobisz, będzie chciał iść razem z tobą i nigdy nie zdołam go zaciągnąć do szkoły, żeby wystąpił w tym gwiazdkowym przedstawieniu.

- Nic się nie martw, będę milczał jak grób.

Patrzyła, jak Cole wychodzi, i pomyślała, że coś się jednak zmieniło. Nie potrafiła zorientować się dokładnie co, ale z jakichś powodów nie było jej już do śmiechu. Przyglądała się, jak Cole pomachał dzieciom na pożegnanie i ruszył w przeciwnym kierunku.

Otrząsnęła się z tych myśli i weszła do przedpokoju. Widok toreb na podłodze sprawił, że zatrzymała się gwałtownie.

Były stare, spłowiałe i mocno wypchane. Cole zamierzał odejść. Nie w tej chwili, ale najprawdopodobniej wieczorem.

Nawet nie zdawała sobie sprawy ze swoich rozbudzonych nadziei, dopóki ich nie utraciła. W jednej chwili odzyskała zdolność trzeźwego spojrzenia, zniknęły gdzieś przyjemne zawroty głowy, złudzenia, marzenia.

Weszła do kuchni, powtarzając sobie, że odejście Cole'a było nieuchronne. Wiedziała o tym od samego początku. Myślała, że coś się stało w chwili, gdy wpadł na nią w łazience. Wtedy czuła się napiętnowana jego palącym wzrokiem. To sprawiło, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła, że żyje. Wiedziała, że miał odejść. Przekonywała się, że na pewno sobie z tym poradzi. A tymczasem planowała, że będzie się cieszyła obecną sytuacją. Wyglądało na to, że zostało jej niewiele czasu. Czuła się, jakby jej coś odebrano. A przecież Cole nawet jeszcze nie odszedł.

Nieprawda. Wcale nie czuła się źle. Wszystko było w zupełnym porządku. Wzięła ze sobą torebkę z przystrojonymi przez dzieci ciastkami, wróciła po swoich krokach i zamknęła drzwi. Wiatr szalał w jej włosach i rozwiewał płaszcz. Rosanna zadrżała, nagle przemarznięta do szpiku kości.

Cole tymczasem był już daleko i grzebał w kieszeniach kurtki, wyciągając stamtąd kilka banknotów oraz odznakę Ga-ry'ego. Rzucił pieniądze na plastikowy blat stolika w maleńkiej rybnej restauracji i zacisnął dłoń na odznace.

Przez jego głowę przelatywał tabun myśli. Przypomniawszy sobie dzień, w którym Evie wcisnęła mu w dłoń odznakę Gary'ego. Wtedy usiłował odmówić; twierdził, że Evie powinna ją zachować dla dziewczynek. Ona odparła, że to ón jej bardziej potrzebuje. Miała rację, ale przecież prawie zawsze miała rację.

Wiele miesięcy później inna kobieta zrobiła to samo, zwracając mu odznakę, którą „znalazła” jej córeczka. Był nieprzyjemny, wybuchowy i zachowywał się jak zwykły drań. Na Rosannie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Zachowywała się przyjaźnie i szczerze, zamieniając niezręczną sytuację w taką, którą dało się znieść.

Tamtego wieczoru miała na sobie zielony strój. Pasował do koloru jej oczu. Dziwne, zazwyczaj nie pamiętał takich szczegółów. A jednak przypominał sobie pierwsze spotkanie z Rosanną z taką dokładnością, że aż go to zaskoczyło. Trudno mu będzie o niej zapomnieć.

Wziął głęboki oddech i wdychał zapach oleju, posypanych ziołami ryb i krewetek. Uznał, że do jego dzisiejszego nastroju lepiej pasuje długi spacer niż bieganie, więc wcześniej spacerował ulicami, które nosiły nazwy ryb albo drzew, i w końcu wylądował w tej małej restauracyjce obok portu.

Dobrze trafił, bo dawno nie jadł tak dobrych owoców morza. Dzwonek nad drzwiami rozlegał się za każdym razem, gdy ktoś wchodził lub wychodził. Czasem Cole podnosił wzrok i przyglądał się ludziom. Kilku gości zachwycało się półmetrowym Świętym Mikołajem, który tańczył po przyciśnięciu guzika. I wszyscy oprócz Cole'a wpatrywali się w okna za każdym razem, gdy dobiegał ich dźwięk syreny.

Cole w milczeniu sączył kawę i myślał. W Miami ryk syren był czymś tak zwyczajnym, że większość osób w ogóle nie zwracała na nie uwagi.

Zastanawiał się, gdzie powinien teraz pójść. W którą stronę wybrzeża?

Skończył posiłek i zerknął na zegarek. Rosanna i dzieci pewnie już od jakiegoś czasu byli w domu. Przyszła pora, żeby się z nimi pożegnać.

Zapiął kurtkę i postawił kołnierz, a potem wyszedł w mrok. Powietrze było tak mroźne, że szczypało go w twarz i sprawiło, że przyśpieszył.

Przeszedł przez ulicę Makrelową, skręcił w lewo ku Alei Portowej i

przeszedł na Dębową. Błyskające światła sprawiły, że trochę

oprzytomniał. Wyglądało to tak, jak gdyby policyjny samochód parkował wprost na podjeździe Rosanny. Pot wystąpił mu na czoło.

Samochód policyjny rzeczywiście parkował na podjeździe.

169

Cole przebiegł przez trawnik, przeskoczył przez niski żywopłot i wpadł do gospody. Rosanna, Max, Shiloh i dwaj funkcjonariusze spojrzeli na niego ze zdumieniem. Szybko ocenił sytuację. Wyglądało na to, że Rosannie i dzieciom nic się nie stało. Podchodząc do nich, zapytał:
- Co się tu dzieje?

Rozdział 6

Shiloh, Rosanna i Max skoczyli na równe nogi, gdy tylko ujrzeli Cole'a.

- Ktoś się włamał!
- Nic nam nie jest, ale był u nas złodziej!
- Rozwalił cały zamek w drzwiach!

Byłoby mu łatwiej zrozumieć te ich wyjaśnienia, gdyby wszyscy nie mówili w tym samym czasie. Mimo to zdołał jakoś się połapać, o co w tym wszystkim chodzi.

- Włamywacz? - spytał, omiatając spojrzeniem cały pokój i dostrzegając dwóch policjantów, którzy się w niego wpatrywali. - Czy ktoś coś widział? Czego brakuje?

Rosanna otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale uprzedził ją młodszy z funkcjonariuszy. - Nie jest pan stąd, prawda? - spytał.

Facet patrzył na Cole'a spod oka. Świetnie. A więc był podejrzany.

Widział to. Wziął głęboki oddech i rozprostował palce. Zamiast tracić czas, odmawiając współpracy, postanowił okazać dobrą wolę.

- Nazywam się Colter Monroe - powiedział. - Od kilku tygodni wynajmuję pokój na strychu.

Policjant pstryknął długopisem i znacząco poklepał kajdanki. Cole nieraz widywał już takich facetów. Mężczyzna miał metr pięćdziesiąt wzrostu i sprawiał wrażenie niedowartościowanego. Doktor Henderson z pewnością natychmiast by stwierdził, że policjant jest podręcznikowym okazem człowieka

z kompleksem Napoleona. Dla Cole'a ten facet był podręcznikowym okazem palanta.

- Czy te torby, które widziałem w tylnym korytarzu, należą do pana? Cole miał ochotę przespacerować się po pokoju. Jeszcze bardziej pragnął wziąć tego małego szczura w swoje ręce i wyrzucić go przez okno. Przełknął ślinę i powoli pokiwał głową.

- Są moje - potwierdził.

- Dziwny zbieg okoliczności, nie uważa pan?

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

To stwierdzenie zaskoczyło młodego policjanta, ale zanim zdążył jakoś zareagować, do akcji włączył się jego starszy kolega.

- Jaki numer buta nosisz, synu? - spytał.

Siwowłosy mężczyzna patrzył na Cole'a ze spokojem. Pytanie było proste, zachowanie policjanta przyjazne i nie oceniające. Cole natychmiast go polubił.

- Jedenaście i pół - odparł.

Ta odpowiedź najwyraźniej załamała młodszego funkcjonariusza.

Wyglądał na bardzo rozczarowanego. Cole pomyślał, że jeżeli wszyscy mężczyźni w tym miasteczku byli tacy jak ten facet, to nic dziwnego, że Max nie znalazł jeszcze ojca.

- Mężczyzna, który się tu włamał, nosił kowbojki - wyjaśnił siwowłosy sierżant. - Rozmiar dziesiąty. W całym domu zostawił swoje ślady, a także wyłamał zamek w tylnych drzwiach.

- Tak! - przerwał Max. - Musiał być idiotą, bo wystarczyło, żeby zajrzał pod wycieraczkę i wziął stamtąd zapasowy klucz. Przecież wszyscy tutaj trzymają tam klucze. Szkoda, że cię nie było, Cole. Na pewno byś go powstrzymał.

Mężczyzna znowu poczuł, jak w jego piersi narasta napięcie. Cholera, tracił cierpliwość do tych swoich ataków. Po-

trzasnął głową, żeby trochę oprzytomnieć. Powinien powiedzieć temu dzieciakowi, że się myli. Colter Monroe nie był już policjantem i nie bronił niewinnych przed złymi. Popatrzył na oboje dzieci, potem na Rosannę, a jeszcze później na starszego funkcjonariusza.

- Wiecie, kto mógł to zrobić? - zapytał.

- Poza śladami nie zostawił żadnych wskazówek. Ktokolwiek to był, okazał się nieudolny, ale nie brutalny czy szczególnie niebezpieczny. Wiele rzeczy poprzewracał, ale niczego nie zniszczył. I wygląda na to, że nic nie zginęło.

- Jak to nic nie zginęło? - zapyta zaskoczony Cole.

- To nie było typowe włamanie - wtrącił się drugi policjant. - Złodziej wywrócił szuflady, poodrywał deski na strychu i przeszukał szafki. Wydaje się, że szukał czegoś konkretnego.

- Tak - przytaknęła Rosanna. - Nie ruszył antyków ani pieniędzy, które znalazł w szufladzie.

- Uczciwy złodziej? - zapytał Cole.

Mamrocząc coś o raportach, które trzeba napisać, policjanci ruszyli do drzwi. Młodszy zasugerował Rosannie, żeby zmieniła zamki. Starszy mężczyzna popatrzył Cole'owi w oczy i zapytał:

- Czy te wszystkie torby zostały zapakowane z jakiegoś konkretnego powodu?

Zaskoczony Max przenosił spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego.

- Chyba nie odchodzisz, co, Cole? - dopytywał się. - Nie odchodzisz.

Prawda?

Rosanna wstrzymała oddech. Świadomość, że ktoś włamał się do jej domu i grzebał w jej rzeczach była wystarczająco niepokojąca. Ale to nie dlatego czuła się taka zdenerwowana. Przerazało ją, że jakiś nieznajomy chodził po jej domu, ale ten strach nie opuszczał jej od chwili, w której spostrzegła torby, spakowane i gotowe, ustawione obok tylnych drzwi.

Wmawiała sobie, że jest przygotowana na nieuchronne odejście Cole'a. Dzisiaj na szkolnym przedstawieniu klaskała razem z innymi rodzicami. Potem uśmiechała się i rozmawiała na błahe tematy, a wewnątrz psychicznie przygotowywała się na jego odejście. Teraz, spoglądając w oczy Cole'a, czekała na to, co musiało przyjść.

Shiloh złapała go za kurtkę. Zadarła głowę i popatrzyła na Cole'a jak na olbrzyma. - Ten złodziej zepsuł moją lampkę nocną - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Palant.

Brwi Cole'a podskoczyły, a jego ciemne oczy zaiskrzyły.

- No to będziemy musieli kupić ci nową - powiedział.

Rosanna słyszała te słowa i wyciągnęła z nich odpowiednie wnioski. Powiedział „będziemy”. A więc nie wyjeżdżał. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Czowała o wiele większą ulgę, niż powinna, ale nie mogła nic na to poradzić. Miała wrażenie, że dostała ponowną szansę. Cole popatrzył w oczy starszego z mężczyzn.

- Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas tu zostanę

- powiedział.

- Będziemy w kontakcie - bąknął jeden z policjantów, po czym obaj mężczyźni zasalutowali i opuścili dom.

Max poczekał, aż Rosanna zamknie drzwi, i dopiero wtedy powiedział:

- Ale kurdupel.

- Max! - natychmiast upomniała go matka.

Cole popatrzył poważnie na chłopca. - Mój partner miał niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu, a jednak był największym człowiekiem, jakiego znałem - powiedział.

Skarcony Max tylko westchnął. Rosanne uśmiechnęła się do Cole'a i spróbowała jakoś przerwać niezręczną ciszę. - Przegapiłeś dzisiaj wspaniałe przedstawienie - stwierdziła.

Shiloh wysunęła nieco swój drobny podbródek. - Sama zaśpiewałam „Na dachu domu”! - wykrzyknęła.

- Czy koty zaczęły wyc? - spytał Cole z wyraźnym zaciekawieniem, Rosanna rzuciła mu surowe spojrzenie. - To wcale nie było śmieszne - oznajmiła.

Max wybuchnął śmiechem, Shiloh zachichotała, a Cole się uśmiechnął. Patrząc na to, Rosanna poczuła, że mięknie jej serce. Gdy tylko zapaliły się światełka na choince, Rosanna zrozumiała, że jest zakochana.

W szkole zaczęły się już świąteczne ferie. Dziś Rosanna pozwoliła Maksowi i Shiloh siedzieć tak długo, jak tylko chcieli. Na początku dzieci chodziły krok w krok za nią i za Cole'm, zadając dziesiątki pytań, podczas gdy dorośli porządkowali szuflady i szafki. Jakąś godzinę temu dzieci poszły do pokoju gościnnego, żeby oglądać swoje ulubione świąteczne filmy na i wideo. Shiloh zasnęła już na samym początku, a Max wtedy, gdy Rudolf trafił na wyspę zepsutych zabawek. Rosanna spodziewała się, że dzieci bardziej się przejmą włamaniami. Oczywiście, oboje byli zaciekawieni i zaniepokojeni, że ktoś ośmielił się wdrzeć na ich terytorium. Zdumiewało ją jednak to, że nie okazywali strachu. Prawdopodobnie stało się tak dlatego, że włamywacz niczego nie zniszczył i nie był złośliwy. Rosanna pomyślała, że zawdzięczają to zapewne obecności Cole'a.

Czuli się bezpiecznie, gdy w domu był mężczyzna. To nic, że Cole już nie pracował jako policjant. Był tutaj i dzieciom sprawiało to radość.

Rosannie także sprawiało to radość, ale z zupełnie innych powodów.

Do Gwiazdki zostało już niewiele czasu. Rosanna miała dwadzieścia dziewięć lat i była zakochana. Nie pierwszy raz w życiu zresztą. Kiedyś jednak wierzyła naiwnie, że uczucie potrwa wiecznie. Niestety, tak się nie stało. Tym razem zanosilo

się na inne zakończenie. Cole miał odejść. Może jeszcze nie dzisiaj, ale już wkrótce. To nie zmieniało faktu, że go kochała, ale zmieniało rytm jej serca. Wprowadzało niepokój kojarzący się z ciszą przed burzą. Razem z tych niepokojem przychodziło pożądanie tak silne, że prawie mogła je wyczuć, posmakować i zanurzyć się w nim.

- Hej, śpiochu. - Rosanna przykucnęła koło Maksa, który przysnął na fotelu. - Co byś powiedział na to, żebyśmy przenieśli cię do łóżka?

Przynajmniej nocne duszki będą wiedziały, gdzie cię znaleźć.

Chłopiec otworzył oczy, podniósł się i pozwolił, by matka wyprowadziła go z pokoju gościnnego. Tuż za nimi ostrożnie kroczył Cole, trzymając w ramionach śpiącą Shiloh.

Zaprowadziła Maksa do łóżka, ściągnęła mu sweter i wręczyła flanelową piżamę. Po setkach prań wzór całkiem się zatarł i trudno było odróżnić homara od ryby. Pomyślała, że pewnego dnia Max nie będzie chciał nosić piżamy w ryby. Kiedyś był tłusciutkim i wesołym niemowlęciem. Teraz miał tylko dziewięć lat, a już stał się mocny i silny. Czas płynął zbyt szybko.

Pocałowała syna w policzek i poprawiła mu kołdrę, po czym odwróciła się ku drzwiom, gdzie czekał Cole z Shiloh na rękach. Ich spojrzenia się spotkały. Żadne nie opuściło -wzroku.

Razem pracowali nad przywróceniem porządku w gospodzie. Czasem nawet zamieniali między sobą parę zdań, czasem tylko milczeli. Żaden z nich nawet nie wspomniał o łączącym ich pożądaniu, tak silnym, że samo w sobie stanowiło odrębny byt.

Cole zaniósł Shiloh do sypialni obok pokoju Maksa. Tak delikatnie, jak tylko potrafił, położył ją do łóżka. Rosanna szybko ściągnęła córeczce buciki, rajstopki i odświeżoną sukienkę.

Dziewczynka nawet nie otworzyła oczu. Była zupełnie bezwładna, niczym szmaciana laleczka. Założenie jej pizamy nie byłoby takie łatwe, gdyby nie wydatna pomoc Cole'a.

Mężczyzna odsunął kołdrę na bok wąskiego łóżeczka, a Rosanna troskliwie otuliła nią córeczkę. Potem oboje jednocześnie się wyprostowali. Ich spojrzenia znowu się spotkały.

Rosanna wyczuwała, że Cole walczy z pożądaniem, które iskrzyło między nimi przez cały wieczór. A jednak nie ukrył się w swoim pokoju na górze, przynajmniej nie na długo. Rosanna nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby tak się stało. Być może poszłaby tam za nim, bo przecież czas uciekał. A ona nie chciała już pozwolić na to, żeby ominęła ją choć jedna noc.

Podchodząc do łóżeczka córki, wyszeptwała:

- Na dzisiaj już mieli dosyć wrażeń.

Cole przełknął ślinę. Wydawało mu się, że jakaś żelazna dłoń ścisną go za serce. Mimo to biło powoli, mocno i spokojnie. Powtarzał sobie tysiące razy, że powinien się stąd wynosić i iść do pokoju na strychu, jednak trzymała go tu siła silniejsza od rozumu.

Nie istniał taki mężczyzna, który nie zorientowałby się, co chodzi po głowie Rosanny. Cole wątpił, żeby znalazł się choć jeden taki, który oparłby się jej uśmiechowi. Dla jej dobra musiał spróbować.

Gorączkowo zastanawiał się, co mógłby powiedzieć i w końcu coś niespodziewanie przyszło mu do głowy.

- Zamierzałem ci wspomnieć o tym już od dawna... - zaczął niskim głosem. - Shiloh bez pytania zabrała coś z domu Nadine.

- No nie. Co wzięła?

- Jej ulubioną parę butów. Jestem pewien, że leżą zapakowane pod choinką. Z tego, co wiem, Shiloh planowała zmie-

nić je w trzewiki Dorotki z „Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu”.
- Myślisz, że właśnie tak zaczynają wszyscy zatwardziali kryminaliści? - szepnęła Rosanna.

Przeszli razem do drzwi, a Cole zatrzymał się, żeby przepuścić Rosannę. Rąbek jej spódnicy musnął jego spodnie. Poczul słaby zapach jej perfum. Kobieta chwyciła go za rękę. Musiał przypomnieć sobie, że powinien oddychać.

- Ciężko mi sobie wyobrazić, żeby dostała wysoki wyrok za odświeżenie starej pary butów, jeśli wiesz, co mam na myśli - odparł po chwili.

Rosanna odetchnęła z całego serca.

- Co za ulga to słyszeć - stwierdziła.

Cole założyłby się o swój samochód, że świetnie wiedziała, jak działa na niego jej niski, aksamitny szept. W dodatku miała takie piękne ciemnobrązowe włosy. Zazwyczaj nosiła je rozpuszczone, ale na dzisiejszą okazję podpięła je ozdobną klamrą. Już wiele godzin temu zdjęła buty na wysokim obcasie. Nie była niską kobietą, a jednak Cole czuł się przy niej duży i wysoki. Dzięki niej czuł się także silny, dobry i w jakiś dziwny sposób akceptowany.

Dzisiaj wydawała się jakaś inna. Ta zmiana nie wynikała tylko z nowego uczesania, różu na policzkach i delikatnego cienia na powiekach.

Rosanna miała na sobie czerwoną, miękką i luźną sukienkę, której rękawy i dekolty były obszyte czarną lamówką. Pomyślał, że dobrze wygląda w tym stroju. Całkiem nago też.

Milczał, idąc za nią w kierunku głównych schodów. - No cóż... -

Postanowił znaleźć jakiś bezpieczny temat. - Dzieciaki dobrze sobie dzisiaj poradziły.

Rosanna skinęła głową, ale nic nie odpowiedziała. Spojrzenie Cole'a powędrowało ku jej ustom. Poczul, jak serce zamiera mu w piersi.

- Chyba już pójdę - powiedział niepewnie.

Dłoń kobiety pofrunęła ku jego ramieniu. Jej dotyk był tak delikatny jak muśnięcie wiatru, a jednak Cole czuł, że nie zdoła uwolnić się z jej uścisku.

- Rosanno, ja... - zaczął.

Położyła palec na jego ustach. Usłyszała, jak Cole gwałtownie wciąga powietrze. Czowała, jak bardzo jest napięty i jak rozpaczliwie próbuje ukryć swoje pożądanie.

- Wiem, co zamierzasz powiedzieć - uspokoiła go. - Sama to sobie powtarzałam setki razy. Myślałam, że powinnam zwalczyć to pożądanie i że potrafię to zrobić. Ale nie mogę i nie chcę. A ty?

- To niebezpieczne, Rosanno.

Mógł jej pomóc porządkować wszystkie pomieszczenia, z wyjątkiem jej sypialni. Potem poszedłby do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic, podczas gdy ona sprzątałaby u siebie. Nie dowierzał sobie i nie chciał znaleźć się z nią tam sam na sam.

Rosanna potrząsnęła głową, jakby odczytała jego myśli. To nie miało żadnego znaczenia. Można oczywiście przeciągać ten wieczór, ale nie da się zmienić jego finału.

- Wcześniej zauważyłam twoje torby - wyszeptała. - Pomyślałam, że wyjeżdżasz. Tak bardzo żałowałam, że za długo czekałam. Że przegapiłam swoją szansę na to, by z tobą być.

Cole zamknął oczy, jak gdyby bolało go słuchanie tych słów. Nie chciała go dłużej ranić. - Nie chcę znowu tracić szansy - wyznała.

- Zostanę jeszcze przez kilka dni. Ale to wszystko, Rosanno. Nie złożę ci żadnej obietnicy.

Wiedziała, ile go kosztowały te słowa. Ten mężczyzna był najuczciwszym z ludzi. - Wiem, Cole - odparła.

Znajdowali się tylko o metr od jej sypialni., gdy Cole ponownie się odezwał.

- Nie mogę ochronić ciebie i twoich dzieci przed złem, Rosanno - powiedział.

- Sama potrafię zadbać o siebie i o dzieci, Cole. Chcę, żebyś wiedział, że to nie ma nic wspólnego z szukaniem ochrony.

- Więc jest jeszcze bardziej niebezpieczne - stwierdził. Objął ją ramionami i zamknął w swoim żelaznym uścisku. Czuła, jak szalało w nim pożądanie. Jeszcze raz rozważyła ewentualne niebezpieczeństwa. Pod względem fizycznym Cole nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia. W końcu pragnęła tego zbliżenia równie mocno jak on.

Pod względem emocjonalnym jednak wszystko przedstawiało się zupełnie inaczej. Wiedziała to od pierwszej chwili, w której się spotkali. Niezależnie od tego, co myślał o sobie Cole, był on niebezpieczny.

Spotkanie się z nim przypominało zagłębienie się w ciemność, dawało dreszcz nieznanego przygody. Myślała o tym, gdy rozpiniała suwak swojej sukienki. A jednak kiedy przygarnął ją do siebie i przycisnął jej usta do swoich, wiedziała, że nigdy dotąd tak się nie czuła.

Cole był niebezpieczny. Nie z tego powodu, co zrobił albo mógł zrobić, ale przez to, do jakiego stanu ją doprowadzał. Przy nim czuła się piękna i mądra. Przy nim czuła się błyskotliwa, młoda i wolna. Te uczucia pochodziły z głębi jej duszy. Cole był również niebezpieczny dlatego, że istniało zagrożenie, że Rosanna zakocha się w nim całkowicie i nieodwracalnie.

Trzymając się za ręce, przeszli do sypialni, w której sypiała samotnie przez ostatnie sześć lat. Nagle zadrżała, nie dlatego, że było jej zimno, ale dlatego, że minęło bardzo dużo czasu, odkąd doświadczała namiętności; pożądania czy miłości.

Cole pocałował ją delikatnie. Wyciągnął koszulę ze spodni

i rozejrzał się wokół. Rosanna już wcześniej włączyła lampę i odsunęła kołdrę, jak gdyby spodziewała się tego, co miało za chwilę nastąpić.

Cole popatrzył na nią. Dałby sobie uciąć głowę, że ta mała kusicielka uśmiecha się do niego. - Odkąd zobaczyłeś mnie nagą, byłam pewna, że to się stanie - wyszeptała cicho.

Czyżby potrafiła czytać w jego myślach? Pośpiesznie rozpiął ostatni guzik koszuli. - Nic na to nie poradzę, że kompletnie nie potrafisz śpiewać - uśmiechnął się.

Rosanna rzuciła sukienkę na podłogę. - Nigdy w życiu nie cieszyło mnie to tak jak w tej chwili - odparła. Zachowywała się prowokacyjnie, żartobliwie.

- Jesteś niepoprawna - wyszeptał te słowa jej w ucho, obejmując ją mocno i przyciągając do siebie.

- Czy to dobrze, czy źle? - zapytała. Ściągała koszulę z jego ramion, niecierpliwie chcąc poczuć jego ciało tuż przy swoim.

- Czyżbym narzekał?

Słyszała jego ochrypły głos i ciężki oddech. Zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, jego ręce powędrowały do jej ramion. Zsunął ramiączka jej biustonosza. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Zbyt byli zajęci smakowaniem siebie nawzajem, dotykaniem i odkrywaniem jednego sekretu po drugim.

Zamknęli drzwi, przekręcili klucz w zamku i rozciągnęli się na łóżku. W jednej chwili Cole przykrywał Rosannę całym swym ciężarem, w następnej ona już siedziała na nim, gwałtownie pieszcząc go swoimi rękami, ustami i całym ciałem. Całował ją do utraty tchu, a ona oddawała te pocałunki. Dotykali się gorączkowo, oddychając ciężko, a ich ciała pragnęły więcej, wciąż więcej.

Cole powtarzał sobie, że czuje się tak niezwykle i dosko-

nale, bo nie znajdował się pod wpływem alkoholu. Gdy był całkowicie trzeźwy, mógł lepiej się rozkoszować chwilą, lepiej dawać i przyjmować. A może to ona była niezapomniana. W końcu Rosanna składała się z samych kontrastów. W jednej chwili była łagodna, w drugiej agresywna. Jej pocałunki wydawały się tak delikatne, a dotyk tak mocny. Śmiała się odważnie, uśmiechała słodko. Nie była cichą kochanką; jej okrzyki były pełen pożądania i szczere. Świetnie wiedziała, co robi. Doprowadzała go do szaleństwa.

- Teraz, Cole - wykrzyknęła i wyciągnęła do niego ręce.

- Spokojnie - wyszeptał, usiłując z całych sił powstrzymać się od zbyt wczesnego finiszu. Ważył jakieś dwadzieścia pięć albo trzydzieści kilo więcej od niej, a jednak zdawała się nie czuć jego ciężaru. Połączył się z nią na ten najstarszy znany ludzkości sposób. Znieruchomiał na chwilę. Pragnął, by się do niego dopasowała.

Rosanna z rozmarzeniem zamknęła oczy. Tak łatwo było zanurzyć się we mgle rozkoszy, która ją ogarnęła. Zmusiła się jednak do tego, by unieść powieki. Chciała widzieć rysy twarzy Cole'a, ściągnięte z namiętności. Chciała patrzeć, jak jego usta wykrzywają się pod wpływem pożądania, jak pot spływa mu z czoła. Chciała zapamiętać chwile, w których z zachwyty przymykał oczy.

Cole zaczął się poruszać i Rosanna zapomniała kompletnie o patrzeniu, przyglądaniu się, zapamiętywaniu. Przywarła do niego, wykrzykując jego imię. Musiała je bez przerwy powtarzać, gdyż słyszała, jak brzmi w jej uszach. A potem nie słyszała już nic z wyjątkiem bicia własnego serca, głośnego oddechu i krzyku w chwili, gdy osiągnęła spełnienie.

Oboje w końcu znieruchomieli. Powoli powracała do rzeczywistości.

Wyprostowała nogi, a Cole zsunął się nieco na bok, ale objął ją ramieniem i przerzucił nogę przez jej biodro.

Cieszyła się, że nie oderwał się od niej całkowicie, gdyż chciała czuć jego bliskość. Niezależnie od tego, co wcześniej mówił o tym, że nie może jej chronić, wiedziała, że chronił ją dzisiaj. W najzwyczajniejszy sposób. Kochała go za to, a jednocześnie czuła smutek, bo wiedziała, że nigdy nie będą mieli dziecka. Z drugiej strony wcale przecież nie potrzebowała więcej dzieci. Max i Shiloh w zupełności zaspokajali jej instynkt macierzyński. Chodziło raczej o to, że uważała za coś niezwykłego powołanie na świat nowego dziecka, dziecka zrodzonego z zakochanych w sobie ludzi. Ta ostatnia myśl nieco ją ostudziła. To ona kochała Cole'a. On nic nie mówił o swojej miłości do niej.

- Nic ci nie jest?

Odsunęła od siebie troski i kpiąco trąciła Cole'a ramieniem.

- Jaki powinien być twoim zdaniem seks, żebyś nie musiał pytać? - mruknęła. Miał usta przy jej włosach, lecz dałaby głowę, że się uśmiechnął

- Przecież wiesz, o co mi chodziło.

- Nic mi nie jest, Cole. - Uniosła nieco głowę, żeby na niego popatrzeć. - A ty jak się czujesz?

- Kompletnie wyczerpany. Wyrwało mi mózg, rozwaliło serce i na dodatek nic nie widzę.

- Nie musisz mi dziękować.

Cole zachichotał, a ona zawtórowała mu szczerze. - Lubię się z tobą śmiać, Cole - powiedziała poważnie.

Jego ręka, która dotychczas zataczała kółka na jej plecach, znieruchomiła. Po tym wszystkim, co razem robili, ona twierdziła, że lubi się z nim śmiać?

- Uważaj na moje ego - upomniał ją.

- To nie ma nic wspólnego z twoim ego - odparła. - Chodzi o to, że dobrze się z tobą czuję. Moja mama mawiała za-

wsze, że rozkosz można sobie kupić, ale komfort nie jest do kupienia.

- Rosanno?

Odpowiedziała mu pytającym spojrzeniem.

- Ten rodzaj rozkoszy, którego razem doświadczyliśmy, nie jest do kupienia.

Uśmiechnęła się do niego i ukryła pod kołdrą, którą ją troskliwie przykrył. Cole wyszedł z łóżka i z pokoju, nie zważając na swoją nagość.

Poprawiła poduszkę pod głową i pomyślała, że wie, po co wyszedł.

Musiał się czegoś pozbyć. Zastanawiała się, ile Cole miał ich przy sobie i czy wykrzesa z siebie tyle tupetu, żeby go o to zapytać.

Na stoliku obok łóżka zadzwonił telefon. Myśląc o czymś zupełnie innym, Rosanna automatycznie sięgnęła po słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

- Co zrobiłaś z moim brylantami?

To pytanie do tego stopnia nie miało nic wspólnego z rzeczywistością, że nawet się nie przestraszyła. - Co? - zapytała z roztargnieniem.

- Słyszałaś.

Teraz zaczęła słuchać w skupieniu.

- Te brylanty należą do mnie! Wiem, gdzie je zostawiłem. Wróciłem po nie dzisiaj wieczorem. Nie było ich. Gdzie są?

- Nie mam żadnych brylantów!

- Muszą gdzieś tam być!

W słuchawce zapadła cisza w tej samej chwili, gdy Cole wrócił do pokoju. Musiał zauważyć wyraz twarzy Rosanny, bo zapytał natychmiast:

- Złe wiadomości?

- Właściwie to nie wiem.

- Jakiś żartowniś?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Daj mi jakąś wskazówkę, Rosanno. Rozumiem, że to nie był twój przyjaciel.

Zamknęła rozchylone usta i odłożyła słuchawkę. Usiłując zrozumieć coś z rozmowy, którą przed chwilą przeprowadziła, powiedziała: - Jestem pewna, że to ten włamywacz.

- Włamywacz? Co powiedział? - W jego głosie nagle pojawiła się ostrość, a jego oczy były zimne jak stal.

Nawet widok zupełnie nagiego, stuprocentowego mężczyzny nie wytrącił jej z równowagi. Prawie.

- Powiedział, że chce odzyskać swoje brylanty.

- Brylanty?

- Tak - pokiwała głową. - Chyba słyszałam w tle miauczenie kota. Jaki złoczyńca trzyma koty? Mogłabym przysiąc, że już kiedyś słyszałam ten głos.

Cole usiadł na brzegu łóżka.

- Gdzie? - zapytał.

- Nie wiem. Ale rozpoznałam go.

- Słyszałaś ten głos dawno temu czy ostatnio? Rosanna zamyślona przechyliła głowę i napotkała jego spojrzenie. - Chyba ostatnio - stwierdziła.

Cole zastanawiał się przez chwilę, jak gdyby usiłował dopasować do siebie fragmenty układanki. - Wygląda na to, że już wiem, czego tu szukał twój włamywacz.

- Ale dlaczego uważał, że mam jakieś brylanty?

- Pozrywał klepki na strychu. Musiał myśleć, że wie o czymś, o czym ty nie masz pojęcia.

- Uważał, że na strychu schowane są jakieś brylanty? Jak to? Dlaczego?

- Sam się nad tym zastanawiam. Jutro spróbuję się trochę rozejrzeć.

Rosanna znowu pomyślała o tym głosie. Nie czuła się zbyt

szczęśliwa, wiedząc, że złodziej znał jej numer telefonu, i pragnęła, by jak najszybciej rozwiązano zagadkę. Jednak nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić dzisiaj. Szybko zerknęła na Cole'a.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? - zapytała.

Jego oczy pociemniały, a usta nieco się rozchyliły. - Zabawne, że w ogóle o to pytasz - zakpił.

Blask w jego oczach sprawił, że przestała przejmować się czymkolwiek, a dotyk jego warg odurzył ją. Cole położył się obok niej na łóżku i znowu zaczął się z nią kochać.

Rosanna reagowała na niego równie mocno jak za pierwszym razem. A kiedy oddawała mu pocałunki i wila się pod nim z rozkoszy, czuła głęboki smutek w sercu. Kochała mężczyznę, który miał odejść już za kilka dni. Przywierając do niego z całych sił, wyszeptała jego imię. Był z nią tu i teraz. Nie zamierzała tracić ani chwili na żal, na zastanawianie się, co by było, gdyby. Teraz Cole należał tylko do niej.

Rozdział 7

- A kuku! - Nadine wpadła do kuchni, przynosząc ze sobą powiew lodowatego powietrza. - Jest tu kto?

Ostatnie słowa wypowiedziała szeptem, gdyż Rosanna położyła palec na ustach.

- Cicho - szepnęła. - Zaraz je obudzisz.

Nadine w pośpiechu zamknęła drzwi i podeszła do kartonu wyciągniętego z piwnicy przez Rosannę. Była to specjalna przesyłka, która nadeszła godzinę wcześniej.

- Kociak i piesek? - zapytała z niedowierzaniem. - Odbiło ci czy co?

- To gwiazdkowe prezenty dla Maksa i Shiloh od ich ojca

- wyjaśniła jej Rosanna.

Z ust Nadine wydostało się kilka siarczystych przekleństw.

- Cóż, Nadine, nigdy nie poznałaś matki Darrella - roześmiała się jej przyjaciółka.

Nadine potrząsnęła głową. - Rozumiem, że razem ze zwierzętami Darrell nie przesłał rocznego zapasu psiej i kocij karmy, a także nie zdążył ich zaszcześcić - syknęła.

Rosanna westchnęła głęboko. Ostatnio zdarzało się jej to coraz częściej.

- Byłoby miło, gdyby przynajmniej dostarczył je osobiście

- powiedziała. - Shiloh ledwie pamięta, jak on wygląda. Ale dzieciakom na pewno spodobały się te prezenty.

Nadine zgodziła się z nią niechętnie. - Są całkiem słodkie

- stwierdziła. Rozejrzała się dookoła - Nie ma ich?

Rosanna potrząsnęła głową przecząco. Cole zabrał dzieciaki do Rockland. Już rozmawiał z Veritą Hicks o kradzieży jej brylantów, która zdarzyła się przed sześcioma laty. Utrzymywał też stały kontakt z wydziałem policji. Dziś miał nadzieję zdobyć jakieś informacje ze starych gazet, trzymanyh na mikrofilmach w bibliotece w Rockland. Cole był przekonany, że włamanie, brylanty i głos mężczyzny, który zadzwonił do Rosanny, były ze sobą związane. Rosanna zaś marzyła o rozwiązaniu zagadki. Chociaż może niezupełnie do końca. Wiedziała, że gdy tylko włamywacz zostanie schwytany, Cole odejdzie. Ponownie westchnęła.

- Jak tam twoja wyprawa? - zapytała.

Nadine pracowała dla wielkiego koncernu kosmetycznego i właśnie wróciła ze służbowej wycieczki do kwatery głównej w Bostonie.

- Nic ciekawego się nie działo - Nadine zbyła ją krótko. - Od wczoraj nie mogę tego samego powiedzieć o swoim życiu.

Rosanna rozpoznała ten błysk w oczach przyjaciółki. Była w nastroju do pogawędki. Skoro słuchanie było lepsze niż wmawianie sobie, że nic się jej nie stanie po odejściu Cole'a, wstała i nastawiła kawę.

Kiedy kawa była gotowa, Rosanna nalała ją do dwóch kubków. Potem zaś usiadła i usiłowała słuchać Nadine. Nie było to łatwe, ponieważ ostatnimi czasy nie mogła zebrać myśli. Każdej nocy Cole przychodził do jej sypialni, zamykając za sobą drzwi odgradzające ich od całego świata. W pachnących lawendą prześcieradłach ona i Cole tworzyli własny świat. Nad ranem wysuwał się z jej łóżka, zbierał ubranie i wracał do swojego pokoju na górze. Każdej nocy powtarzała sobie, że już tego wystarczy. Każdej nocy przypominała też sobie, że musi być obiek-

tywna wobec tej sytuacji, ale nie było to łatwe. Trudno się zdobyć na obiektywizm, gdy kobieta jest zakochana po uszy.

- Jak wiesz, wróciłam do domu przedwczoraj - mówiła Nadine. - Nie miałam nic do jedzenia, więc poszłam na wczesną kolację do knajpy Rocky'ego. Siedziałam sama nad jedzeniem i myślałam o różnych sprawach. Właściwie to rozpaczalam nad tym, że osiągnęłam właśnie szczyt swoich możliwości seksualnych i nikt nie potrafi tego docenić. Wtedy do knajpy wszedł bardzo interesujący facet. Zawsze uwielbiałam wąsatych mężczyzn.

Nadine zawsze uwielbiała mężczyzn i kropka. Rosanna nie widziała powodu, żeby podkreślać ten oczywisty fakt, więc tylko zachęcająco pokiwała głową. Przyjaciółka nie dawała się długo prosić.

- Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście - ciągnęła.

- A nawet nie miałam na sobie moich butów pewniaków. Przeszukałam cały dom. Nie mam pojęcia, gdzie się podziały.

Rosanna poderwała nagle głowę tak raptownie, że nieco kawy wylało się z kubka. Nadine wcale jednak tego nie zauważyła.

- Okazało się, że nie potrzebuję tych butów, żeby znaleźć mężczyznę - oznajmiła. - Właściwie to Rexy mnie znalazł.

- Rexy?

Nadine mrugnęła do niej konspiracyjnie.

- Seksowny Rexy - szepnęła.

- Seksowny Rexy? - powtórzyła Rosanna.

Właśnie wtedy do domu wszedł Cole wraz z dziećmi. Max i Shiloh ściągnęli kurtki i rzucili je na krzesło.

- Cześć, Nadine - przywitał się Max.

Shiloh podeszła bliżej. Wdrapała się na kolana Nadine i wyciągnęła zabandażowany palec. - Skaleczyłam się w paluszek

- poskarżyła się.

- Czym? - zapytała Nadine.

- Spinką mamy - wykrztusił Max przytomnie, gdy Shiloh nagle zamilkła.

- Kochanie, tak mi przykro. Chcesz, żebym pocałowała cię w paluszek i żeby przestało boleć?

Shiloh dzielnie potrząsnęła głową.

- Mama już to zrobiła - wyjaśniła. - Cole'a też pocałowała, I wiesz co?

Cole widział ją gołą.

Rosanna spojrzała na Shiloh, Maksa, Nadine i w końcu na Cole'a. Był równie oszołomiony jak ona. Wyglądało na to, że wszyscy rzucają sobie ukradkowe spojrzenia, ale nikt nie powiedział ani słowa. Rosanna miała ochotę ukryć twarz w dłoniach. Jej kochana córeczka-powiedziała o tym niefortunnym zdarzeniu, a zupełnie zapomniała wspomnieć o włamaniu. Dwa cienkie piski i ciche miauknięcie przerwały kłopotliwą ciszę. Pięć głów odwróciło się niemal jednocześnie.

- Co to było? - spytała dziewczynka.

Piski znowu się rozległy, ale tym razem zabrzmiały głośniejszym, zagłuszającym żałosnym miauczeniem.

- Mamo, co jest w tym pudełku? - gorączkował się Max. Shiloh zeskoczyła z kolan Nadine i podbiegła do kartonu.

Chłopiec jednak był pierwszy.

- Patrz, Shiloh! - wykrzyknął.

Wręczył siostrze chudego białego kotka, wyciągnął z kartonu tłustego biało-brązowego szczeniaka i przytulił go do siebie. Rosanna opadła na kolana i pokazała córce, jak trzymać zwierzątko i jak je uspokoić. Kotek popatrzył przenikliwie niebieskimi oczyma i zamruczał. Shiloh przepadła - zakochała się po uszy.

Kiedy szczeniak zaczął znowu piszczeć, Max przytulił go do szyi.

Zwierzak odebrał to jako sygnał i zaczął lizać chłopca

po twarzy. Max ryczał ze śmiechu tak głośno, że rozśmieszył wszystkich dorosłych.

Towarzystwo zgodnie zachwycało się zwierzętami, po czym orzekło jednomyślnie, że to najpiękniejszy kot i pies w całym wszechświecie. Następnie rozgorzała dyskusja nad imionami. Po kolei odrzucano wiele propozycji. W końcu Max nazwał pieska Rudy, na cześć latającego renifera, a Shiloh kotka Śnieżkiem. Tak nazywał się baśniowy bałwanek, który ożył. Po jakimś czasie napięta atmosfera trochę zelżała.

- Cóż, Cole - zaczęła Nadine. - Myślisz, o tym, żeby pomieszkać tu trochę dłużej? A może zostaniesz w miasteczku na stałe?

Wszyscy, nawet Max i Shiloh, odwrócili się i popatrzyli na Cole'a. Rosanna pomyślała, że nigdy w życiu nie zapomni tej chwili. Cole wyglądał tak, jak gdyby ktoś strzelił mu prosto w brzuch. Chwilę wcześniej otwierał lodówkę, żeby włożyć do niej sześciopak z colą. Pytanie Nadine sprawiło, że kompletnie znieruchomiał.

Od czasu gdy Rosanna widziała go pierwszy raz, trochę się zmienił. Gdy mu o tym kiedyś wspomniała, stwierdził, że po prostu odpowiada mu jej kuchnia. Nie wyglądał już na zabiedzonego, lecz jego twarz nadal była szczupła i przystojna. A w jego oczach wciąż widniał żal i smutek, najprawdopodobniej spowodowany czymś, co stało się w jego życiu i czego nie potrafił wyrzucić z pamięci. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek mu się to uda.

- Nie - powiedział w końcu, gdy Rosanna odsunęła go od lodówki, wyjęła mu sześciopak z dłoni i wstawiła go do środka. - Nie zamierzam zostawać tu na stałe.

Max i Shiloh oderwali wzrok od Cole'a i popatrzyli na siebie, a potem jednocześnie westchnęli. Nagle Rosanna poczuła się zadowolona na myśl o tym, że Darrell podarował dzieciom

pieska i kotka. Kochała Cole'a. Nigdy nie przypuszczała, że do tego dojdzie. Było mało prawdopodobne, by jeszcze kiedyś zdołała pokochać równie mocno jakiegoś innego mężczyznę. Tak czy inaczej, Max i Shiloh nie będą mieli nowego ojca. Może zwierzęta złagodzą stres po odejściu Cole'a. Przynajmniej ich rozstanie będzie przebiegać łagodniej. Po odejściu Cole'a Rosanna planowała całkowicie zrezygnować z mężczyzn. Nie była przeciwniczką mężczyzn. Ani trochę. Po prostu w przeciwieństwie do Nadine nie brała do łóżka nowego faceta za każdym razem, gdy zmieniała pościel. Tak naprawdę w całym życiu miała tylko trzech kochanków, oczywiście jeśli liczyć Billy'ego Andrewsa, który był jej pierwszym mężczyzną, latem po maturze. Billy bardzo niewiele wiedział o seksie, a jeszcze mniej o dziewczynach. Przecież był tylko chłopcem.

Cole był za to prawdziwym mężczyzną. Może i uważał, że życie mu się nie udało, ale jego męskość była bez zarzutu. Świetnie mu wychodziło bycie mężczyzną; noszenie zniszczonych ciuchów, niepodcinanie włosów, ponure mruknięcia na dzień dobry, -otwieranie lodówki i stanie w jej drzwiach tuż po obudzeniu. Tak, nieźle sobie z tym wszystkim radził, ale najważniejsza była jego dobroć.

Colter Remington Monroe był nie tylko mężczyzną. Był również dobrym człowiekiem. Nawet jeśli wcale tego nie chciał. Niezależnie od tego, co twierdził, opiekował się nią i jej dziećmi.

Założył nowe zamki w gospodzie i porozmawiał z sąsiadami Rosanny. Poradził im, żeby znaleźli sobie lepsze miejsce na chowanie zapasowego klucza. Chronił ją i dzieci. Twierdził, że Max doprowadza go do szału, ale słuchał chłopca. A co do Shiloh... Ta mała owinęła sobie Cole'a wokół wszystkich dziesięciu paluszków.

Nadine także się podobał. Chociaż akurat w tym nie było nic dziwnego. Większość mężczyzn podobała się Nadine. Podobał się też Rosannie, a to już była rzadkość.

Za każdym razem, gdy spoglądał na nią spod tych swoich ciężkich powiek, za każdym razem, gdy śmiał się wraz z dziećmi, gdy kochał się z nią i jej dotykał, czuła się jeszcze bardziej zakochana.

Tak, kłopot z Cole'em polegał na tym, że był prawdziwym mężczyzną.

Wyjątkowym mężczyzną ze spakowanym do wyjazdu bagażem.

Nadine dopiła kawę i poszła do domu, żeby przygotować się do wyjątkowo gorącej randki. Rosanna i dzieci stali po drugiej stronie kuchni i rozmawiali ze sobą. Cole czuł ból w piersi. To nie był jeden z jego ataków. Minęły tygodnie, odkąd miał z nimi problemy. To było coś zupełnie innego.

Kotek spał głęboko, zwinięty na kolanach Shiloh. Max i Rosanna w pośpiechu rozkładali na podłogach gazety. Zdążyli to zrobić dokładnie w ostatnim momencie.

Może serce bolało go tak bardzo, bo stał w kuchni i przyglądał się, jak zielonooka kobieta uczyła swoje dzieci, jak mają się zajmować nowymi zwierzętami. Gdy na niego spojrzała, poczuł, jak serce zaczyna mu szybciej bić. Zreflektował się, wziął jabłko i colę, a potem zamknął drzwi lodówki. Na Florydzie nigdy nie stał w drzwiach lodówki. No cóż, tak naprawdę w Miami nic w tej lodowce nie miał. Tutaj jednak nabierał jakichś dziwnych przyzwyczajęń. Czuł się zły, rozdrażniony, miał ochotę wyć. Nie udało mu się wiele rzeczy, nie tylko bycie pustelnikiem.

Chodziło o coś więcej. Cole świetnie o tym wiedział. Rosanna też pewnie wiedziała. Przejechał ręką po włosach. Przeprószył wszystkich obecnych, wziął jedzenie i poszedł do

swojego pokoju na strychu. Czuł się winny i zagubiony. Miał nadzieję, że policja szybko złapie człowieka, który włamał się do gospody. Może wtedy wreszcie przestanie czuć ten ból w piersi i będzie mógł odejść bez oglądania się za siebie.

Rosanna wśliznęła się do łóżka i zamknęła oczy. Była północ. Skarpety zostały już napełnione łakociami, a prezenty leżały pod choinką.

Wszystko było gotowe na późne śniadanie, które Rosanna przygotowywała każdego roku. Nadine miała przyjść o dziesiątej. Tym razem zamierzała przyprowadzić ze sobą nowego przyjaciela, seksownego Rexy'ego.

Rosanna nie widziała Cole'a oif dwóch godzin, czyli od chwili, gdy zasnęły dzieci. Słyszała, jak spacerował nad jej głową, słyszała, jak skrzypią deski, gdy schodził na dół i poszedł do salonu. Nasłuchując, powtarzała sobie, że miał prawo udać się teraz prosto do swojego pokoju i pójść spać. Kiedy kroki się zbliżyły i umilkły tuż przed jej pokojem, przygryzła wargę i czekała.

Drzwi otworzyły się powoli. Rosanna i Cole patrzyli na siebie w milczeniu.

- Cześć - powiedział w końcu.

- Cześć - odparła. Cole zacisnął zęby.

- Czy coś się stało, Cole?

- Co? Nie. To znaczy, położyłem pod choinką prezenty dla ciebie i dzieciaków. Mam nadzieję, że to w porządku.

- W porządku. Nie musiałeś mi niczego kupować... Cole wzruszył ramionami, więc dodała: - Ja nic dla ciebie nie mam.

Tak właśnie chciała dać mu do zrozumienia, że nie musi się czuć w żaden sposób zobowiązany. Wydawało się jej, że

westchnął z ulgą. W tej samej chwili, jak gdyby nie mógł już dłużej zapanować nad sobą, ruszył ku niej.

Uniosła się na łóżku niczym duch wyłaniający się z mgły. Oddała mu pocałunek i zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli. Czuła, że w jej piersi jest pewne miejsce, które zawsze starannie omijała - ciemne, spragnione miejsce. Dzisiaj przenikliwa potrzeba, by je wypełnić, była tak silna, że mogła pochłonąć ją całą.

Miejsce to wypełniły pocałunki Cole'a. Jego dotyk, westchnienia i szepty wypełniały jej zmysły. Usiłowała nie myśleć o tym, co się z nią stanie po jego odejściu.

Mężczyzna wśliznął się pod kołdrę i położył obok Rosanny. Całował jej twarz, szyję, ramiona; nie mógł się nią nasycić.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Rosanno Fitzpatrick - wyszeptał z podziwem.

- Mam nadzieję, że mówisz to szczerze. - Przesuwała dłonią w dół, po jego klatce piersiowej, aż natrafiła na to, czego szukała.

Cole ze świstem wciągnął powietrze. - Dobrze - powiedział ochryple. -

Jak zwykle zdołałaś skupić na sobie całą moją uwagę. Może teraz zechcesz mi łaskawie wyjaśnić, czego chcesz?

- Świetnie wiesz, czego chcę.

Fala pożądania zalała Cole'a. Zamknął oczy i przełknął ślinę, by pozbyć się grudy, która nie wiadomo skąd pojawiła się w jego gardle. Ujął twarz Rosanny w swoje ręce i pocałował ją w taki sposób, by wiedziała, że uważa ją za wyjątkową kobietę. A potem dał jej to, czego tak pragnęła.

Czego oboje pragnęli.

Materac uginał się, ręce i nogi splątały, płuca zachłystywały zmieszonym oddechem obojga. Gdy było już po wszystkim, mężczyzna przytulił ją do siebie, nakrył ich oboje kołdrą i czekał, aż zaśnie.

Wpatrując się w ciemny sufit, Cole myślał o tym, że niezależnie od tego, co mówiła Rosanna, dała mu coś na święta. Nie lgnęła do niego, nie stawiała żadnych wymagań i przez to ofiarowała mu najwspanialszy prezent, jaki mógł sobie wyobrazić. A on jeszcze nie tak dawno bał się świąt...

Pomyślał o zestawie kaset wideo z serialem „Kocham Lucy”, które położył dziś pod drzewkiem. W porównaniu z darem Rosanny jego prezent wydawał się niewiele znaczyć. Obawiał się też, że podaruje jej na te święta coś więcej. Smutek w sercu. Pomyślał, że przecież mógłby tu zostać. Jednakże za każdym razem, gdy przychodziło mu to do głowy, czuł, jak wielki ciężar rośnie w jego piersi.

Cały czas kontaktował się z policją w sprawie włamania do gospody. Człowiek, który najprawdopodobniej był za nie odpowiedzialny, zadzwonił po raz drugi. Rosanna tysiące razy wsłuchiwała się w nagranie. Mimo że była pewna, że już wcześniej słyszała ten głos, nie potrafiła sprecyzować gdzie ani kiedy. Robiła dobrą minę do złej gry, udając, że wcale się nie obawia kolejnego włamania. Dzielnie zapewniała Cole'a, że w każdej chwili może wyjechać.

Nigdy nie znał nikogo takiego jak ona. Po prostu nie miał tego rodzaju kobiecie nic do zaoferowania. Stracił już życiowy optymizm i gdzieś po drodze zatracił siebie. Dopóki nie powróci do normalnego życia, nigdy nie będzie mógł związać się z żadną kobietą. O ile kiedykolwiek powróci do normalnego życia.

Gdy wspinał się po schodach do swojego pokoju na strychu, był prawie pewien, że nigdy się tak nie stanie.

Rozdział 8

Nadszedł gwiazdkowy poranek, a wtedy Cole stwierdził, że nigdy jeszcze nie znajdował się w samym centrum takiego chaosu. Kiedyś uważał, że córeczki Gary'ego są hałaśliwe i nadaktywne, nie mogły się jednak równać z Maksem i Shiloh. Chociaż właściwie trudno było winić tylko dzieci. Być może nowy szczeniak i nowy kotek miały coś wspólnego z szaleństwem panującym w domu.

Nie miał pojęcia, po co Rosanna nastawiła płytę z kolędami. I tak nie można było nic usłyszeć. Wszędzie walał się papier do pakowania i wstążki. Obok ściany stało wiadro z wodą; krzesło zakrywało mokrą plamę na dywanie, za którą odpowiedzialny był pies.

Rosanna jakoś sobie z tym radziła, choć nawet ona omal nie załamała rąk, kiedy Rudy zagonił kotka na choinkę. Ozdoby choinkowe spadały jak dojrzałe owoce, a czubek drzewka chwiał się niebezpiecznie, gdy Max, usadowiony na ramionach Cole'a, wyplątywał kota z choinkowych łańcuchów.

Kotek uspokoił się i zajął wstążką, a Shiloh otworzyła swo-~ je prezenty. Oczywiście zapewniała, że podoba jej się wszystko, co dostała. Chyba naprawdę podobał jej się strój Dorotki i trzewiki, które dostała od Cole'a, bo założyła wszystko na piżamę i zarzekała się, że zawsze będzie to nosiła.

Max nawet nie próbował ukryć, podniecenia, gdy otworzył pudło z książką o wielorybach i biletem na morską obserwację wielorybów. Rosanna wyściskała oboje dzieci, zanim otworzyła

pudło z donicą, którą tak pięknie przyszykowały. Nie była aż tak rozradowana, gdy odpakowała zestaw kaset z „Kocham Lucy”, choć uśmiechnęła się i podziękowała Cole'owi. Cole pomyślał, że ten uśmiech do niej nie pasował. Butelkowa sukienka podkreślała zieleń jej oczu, ale nie ukrywała cieni pod nimi.

Od Shiloh Cole dostał rysunek, przedstawiający go z odznaką Gary'ego w dłoni, a także ciche przeprosiny za pożyczenie jej jakiś czas temu. Max dał Cole'owi parę zatyczek do uszu i własnoręcznie wykonaną książeczkę z kuponami na mycie samochodu i czyszczenie butów. Złożył też Cole'owi propozycję, że przy każdej okazji będzie mu towarzyszył do portu.

Kiedy dzieci rozpakowały już wszystkie prezenty od Mikołaja, mężczyzna pomógł Rosannie uprzątnąć podarty papier do pakowania, wstążki i kokardki. Shiloh przedstawiła swoją nową lalkę kotu i wycofała się w świat fantazji.

- Max - powiedziała Rosanna. - Nie możesz jeździć po domu rowerem od wujka Henry'ego i cioci Maggie.

W kuchni rozległo się dzwonienie minutnika, a jednocześnie ktoś zadzwonił do drzwi. Rosanna zerknęła przez ramię na syna, który obiecał jej, że będzie uważał, i powiedziała:

- Wiem, że podoba ci się twój nowy rower. Jednak zasady to zasady, mały.

Przeszła do przedpokoju i otworzyła drzwi, w których stała Nadine i jej narzeczony.

- **Wesołych Świąt!** - wykrzyknęła Nadine.

Obie kobiety uściskały się serdecznie. - Nawzajem - odparła Rosanna do przyjaciółki i mężczyzny, który stał za nią.

- Może wejdziecie? Witajcie w królestwie chaosu.

Nadine wręczyła Rosannie placek, po czym przedstawiła jej seksownego Rexy'ego Devoe.

- Milo mi cię poznać - powiedział.

Nawet Max i Shiloh przerwali na chwilę zabawę, słysząc głęboki głos Rexa Devoe.

- Bardzo przepraszam. - Mówił zupełnie tak, jak Marlon Brando w „Ojcu chrzestnym”. - Chyba się przeziębilem.

Nadine puściła oczko do Rosanny. - Obawiam się, że to ja go za bardzo wymęczyłam - stwierdziła.

Rosanna usiłowała uśmiechnąć się na ten żarcik. Cole starał się nie wymiotować. Do przedpokoju przydreptał piesek, powąchał nogę seksownego Raxy'ego, po czym najspokojniej w świecie ją obsikał. Cole ledwie powstrzymał się od śmiechu. Rosanna wyglądała tak, jakby lada chwila miała zemdleć, więc zaproponował, że posprząta bałagan. W tym czasie Nadine zaciągnęła Rosannę do kuchni, żeby dowiedzieć się, jakie wrażenie zrobił na przyjaciółce jej ukochany.

- No i? - zażądała. - Co o nim myślisz?

Rosanna otworzyła piekarnik i wsadziła do niego placek, żeby się podgrzał. - Na litość boską, Nadine, przecież dopiero go poznałam - opędzała się od natrętnej przyjaciółki. - Wydaje się miły.

- A nie jest najprzystojniejszym facetem na świecie?

Zdaniem Rosanny Cole wyglądał o niebo lepiej. Nie chodziło o to, że Raxy'emu czegoś brakowało. Miał przyjemne rysy twarzy, był średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Jednak jego włosy były o wiele ciemniejsze od brwi. Prawdopodobnie należał do tych mężczyzn, którzy je farbowali, by ukryć siwiznę. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby Cole robił coś takiego. No tak, przecież nie będzie widywała Cole'a, gdy zaczną się u niego pojawiać siwe włosy.

- Jest w nim coś, co wygląda znajomo - stwierdziła.

To z pewnością nie były jego oczy. Nigdy nie widziała tak intensywnego odcienia błękitu. Nadine wzięła z szafki sześć talerzy.

- Nie uwierzysz, co znalazłam w jego kosmetyczce - stwierdziła.
- Grzebałaś w jego kosmetyczce?
- Dziewczyna musi być ostrożna. - Nadine wróciła po zastawę. - Zrobiłam to, jak brał prysznic.
- A co byś powiedziała, gdyby cię na tym przyłapał? - Rosanna postawiła marmoladę brzoskwiniową na środku stołu.
- Nie wiem - wzruszyła ramionami Nadine. - Chcesz się dowiedzieć, co tam znalazłam?

Do kuchni wpadł szczeniak, który był wyraźnie na tropie kotka.

- No i co znalazłaś?

Kotek dał susa obok Rosanny i co sił w nogach pobiegł w kierunku Nadine.

- Wąsiki. Auu! No tak. Poszła nowiutka para rajstop.
- Przykro mi, Nadine.

Nadine zdjęła kotka ze swojej nogi i ostrożnie postawiła go na podłodze. - Nie przejmuj się tym - powiedziała. - W końcu są święta. Poza tym możemy je dodać do rachunku Darrella. Mam nadzieję, że obciążysz go wszystkimi dodatkowymi kosztami związanymi z jego świątecznym prezentem dla dzieci, prawda?

Rosanna potrząsnęła głową, ale nie mogła ukryć uśmiechu, Nadine była naprawdę bardzo dobrą przyjaciółką.

W salonie dzieci pokazywały gościom swoje prezenty. Cole skorzystał z tej chwilowej przerwy, żeby się wycofać i złapać oddech. Kiedy tak stał nieruchomo, usiłował się domyślić, dlaczego czuje się zdenerwowany. Jego instynkt nie działał, i to już od wielu miesięcy. A dodatkowo on sam ostatnio niewiele sypiał...

Co zresztą bardzo sobie chwalił.

200

- To moja nowa lalka - mówiła Shiloh. - Nie wiem jeszcze, jak ma na imię. A to sweter od pani Fergusson. Mama twierdzi, że mąż pani Fergusson klnie i pracuje z równym ka-taplazmem.

- Entuzjazmem - poprawił ją Max. - Z równym entuzjazmem.

- Może i tak.

Cole miał ochotę się uśmiechnąć.

- A to obrazek, który narysowałam dla Cole'a - ciągnęła Shiloh. - A to doniczka, którą Maxie i ja zrobiliśmy dla mamy. Mama mówi, że najlepsze prezenty to te, które płyną prosto z serca.

Cole oparł ręce na biodrach. Ta mała dziewczynka naprawdę miała gadane. Wciąż powtarzała „Mama mówi to” albo „Mama mówi tamto”. Była nad wiek rozwinięta. Shiloh podniosła doniczkę dokładnie w chwili, w której szczeniak zainteresował się sznurowadłami Cole'a, po czym błyskawicznie rozwiązał jedno z nich. Max popatrzył na Cole'a i obaj uśmiechnęli się do siebie.

Seksowny Rexy niczego nie zauważył. Cała jego uwaga skoncentrowana była na doniczce w dłoniach Cole'a. Cole popatrzył uważniej i na doniczkę, i na nieznanego.

Coś zaczynało układać się w jego głowie, gdy pojawiła się Nadine.

Otoczając Rexy'ego ramieniem, delikatnie poprowadziła go do kuchni.

- Śniadanie gotowe - oznajmiła. - Poczekaj, aż spróbujesz. Rosanna przeszła samą siebie, jak co roku.

Cole odwrócił głowę, ale kątem oka wciąż obserwował Rexy'ego. Shiloh postawiła donicę na niskim stoliku i pobiegła do kuchni w swoich nowych butach. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył Cole, było ukradkowe spojrzenie Rexy'ego na donicę.

Nadine nie myliła się co do śniadania przygotowanego

przez Rośannę. Wspaniale pachniało i jeszcze lepiej smakowało. Nadine i dzieci nie przestawały gadać, dobrze zresztą, bo Rosanna był nietypowo cicha. Cole nigdy nie był specjalnie rozmowny. A Remy najwyraźniej myślał o czymś innym.

Cole powoli i z rozmysłem smarował masłem swoją bułkę. Nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego, ale wcale nie był zdumiony, gdy Remy zapytał, gdzie jest łazienka, a po chwili wstał i wyszedł.

- No i czy nie jest wspaniały? - zapytała Nadine z drugiej strony stołu.

Cole wzruszył ramionami. Bez żadnych wyjaśnień wstał i cicho poszedł za Remy. Ostrożnie, omijając najbardziej skrzypiące deski, wśliznął się do pokoju gościnnego. Początkowo pomyślał, że się pomylił. Pokój gościnny i salon wydawały się puste. Wtedy jednak usłyszał niski warkot.

- Cholerny pies. - Te słowa wypowiedział człowiek, który nie miał chryпки. - Zostaw moje buty!

Cole zakradł się do drzwi prowadzących do salonu. Remy, jeśli rzeczywiście się tak nazywał, właśnie kopnął psa i skierował się ku drzwiom z nową doniczką pod pachą.

- Nie ruszaj się!

Mężczyzna o kiepsko ufarbowanych włosach obrócił się na pięcie i przyśpieszył. Cole wbiegł do salonu. Przeskoczył nad nowym, jaskrawoniebieskim rowerem Maksa i zaskoczył Remy'ego od tyłu.

Wylądowali na ziemi z głuchym odgłosem, a donica rozsypała się na tysiąc kawałków.

Szczeniak zapiszczał. Rosanna, Nadine i dzieci wbiegły do pokoju, żeby zbadać źródło dziwnych dźwięków.

- Cole, co ty robisz mojemu chłopakowi? - wrzasnęła Nadine.

- To moje brylanty! - wykrztusił mężczyzna rozplaszczony pod Cole'em.

- Brylanty? - powtórzyła Rosanna.,

- Czekalem sześć lat, żeby wyjść z tego cholernego więzienia i po nie wrócić.

- Z więzienia! - wykrzyknęła Nadine..

- Co się stało z doniczką mamy? - wykrztusił Max.

- Cole, mama zabroniła urządzać zapasy w domu - pisnęła Shiloh.

Cole podźwignął się i położył kolano na środku pleców seksownego Rexy'ego.

- To twój włamywacz - powiedział do Rosanny.

- Ten głos - zamyśliła się Rosanna. - No pewnie! Fałszywy wąsik, niezwykle kolor oczu. Barwione szkła kontaktowe.

- Włamywacz?! - jęknęła Nadine,

Cole popatrzył na wszystkich. Stali z otwartymi ustami i wpatrywali się w niego.

- Czy ktoś może zadzwonić po policję? - zapytał.

Ponura Nadine upiła łyk herbaty. - A ja naprawdę myślałam, że to ten jeden jedyny. - Siedziała w rogu sofy, z podkulonymi nogami przykrytymi kocem. - Były więzień. I złodziej brylantów.

Max i Shiloh popatrzyli na siebie znużeni, po czym w milczeniu wstali.

Nie chcieli okazać Nadine braku szacunku. Po prostu mówiła to już nie wiadomo który raz.

Godzinę wcześniej przyjechały dwa wozy policyjne. Pierwszym odjechał Rex Devoe, alias Derek Drexler, alias Burt Axelrod. Dwaj funkcjonariusze zostali w domu, by spisać zeznania. Max i Shiloh już swoje złożyli, podobnie jak Cole i Rosanna.

Max nie wiedział, co dokładnie oznaczają te dziwne spojrzenia, jakie wymieniali jego mama i Cole, ale na wszelki wypadek mocno ścisnął kciuki. Na jego kolanach drzemał pies.

Cole powiedział, że Rudy to bohater, a przecież nie ma jeszcze siedmiu tygodni. Kiedy się obudzi, Max zamierzał zadzwonić do Guzka i opowiedzieć mu o wszystkim.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Nie chcąc budzić śpiącego bohatera, Max dał znać siostrze, żeby otworzyła. Wstała z miejsca tak jak zawsze, niczym baletnica, choć wciąż miała na sobie piżamę, strój Dorotki i czerwone trzewiki.

Trzymając na rękach kotka, Shiloh otworzyła drzwi. Za nimi stała pani w długim futrze i kapeluszu ze stokrotką.

- Dzień dobry - powiedziała pani. - Czy mama jest w domu?

Shiloh odwróciła się, żeby ją zawołać, ale Rosanna już stała w przedpokoju. Położyła rękę natamieniu córki. Shiloh bardzo lubiła ten gest.

- W czym mogę pomóc? - zapytała Rosanna. W oczach kobiety pojawił się błysk szczęścia.

- Moja droga, już mi pani pomogła - powiedziała. Prześliznęła się obok Rosanny, wchodząc do domu, jakby należał do niej. Wielu bogatych ludzi się tak zachowywało. Odwracając się, kobieta obdarzyła uśmiechem Rosannę i Co-le'a, który też znalazł się w sieni.

- Jestem Verita Hicks - wyjaśniła. - Te brylanty, które odzyskaliście, należą do mnie. To ostatni prezent, jaki mój ukochany mąż dał mi przed śmiercią. Nie ma pani pojęcia, jakie to dla mnie ważne, że je wreszcie odzyskałam.

Rosanna uśmiechnęła się do kobiety. Verita Hicks była raczej wysoka, grubokoścista, ani tęga, ani szczupła. Wszystko w niej krzyczało „Mam pieniądze!”, ale ciepło w jej oczach było szczere. Okazało się, że seksowny Remy sześć i pół roku wcześniej pracował jako ogrodnik w posiadłości Hicksów. Był pierwszym lokatorem w gospodzie matki Rosanny. Zrezygnował z pracy dla Verity, gdy ukrył brylanty pod jedną

z klepek na strychu gospody. Dzisiaj zeznał na policji, że zaczął się denerwować, bo gliny węszyły po okolicy i zadawały pytania. Kiedy nadeszła zima, przeniósł się do Alabamy, zostawiając brylanty w kryjówce w Maine. Przyłapano go na gorącym uczynku, gdy usiłował ukraść biżuterię innej starszej pani w Mobile. Był kiepski złodziejem. Odsiedział pięć lat, a dwa miesiące temu wyszedł z więzienia za dobre sprawowanie.

W miasteczku krążyły już plotki, że Vericie spodobał się złodziej i że zastanawiała się, czy mu nie pomóc. A Rosanna myślała, że to Nadine ma zły gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Jednak spojrzenie Verity było takie ciepłe, a i sama Rosanna też nie najlepiej wybierała partnerów.

Uśmiechnęła się do starszej pani.

- Nie ma za co dziękować - powiedziała.

Chciała już zamknąć drzwi za gościem. Musiała koniecznie porozmawiać z Cole'em. Właściwie to chciała go posłuchać, gdyż Cole zaczął nagle mówić zadziwiające rzeczy. Jednak dzwonek zadzwonił ponownie.

- Proszę poczekać., - Verita uniosła jedną rękę w rękawiczce. Drugą sięgnęła do skórzanej torebki i wyciągnęła coś, co wyglądało jak książeczka czekowa. - Należą się pani pieniądze z nagrody.

- Nie chcę pani pieniędzy, pani Verito. Cieszę się, że odzyskała pani swoje brylanty.

Shiloh uwiesiła się na kosztownym futrze pani Hicks.

- Mama mówi, że pieniądze szkodzą ludziom - oznajmiła. - Jak hamburgery, tylko w inny sposób.

Rosanna z trudem złapała powietrze. Modliła się, żeby Verita nie wzięła tego do siebie.

- Mojej córce chodzi o to, że... - wykrztusiła.

Verita puściła oczko najpierw do niej, a potem do Cole'a,

który stał obok Rosanny. - Wiem, o co jej chodzi, moja droga - powiedziała.

Wcisnęła czek w opuszczone bezwładnie ręce Rosanny i znowu się uśmiechnęła, a potem odwróciła na pięcie i odeszła.

Shiloh zamknęła drzwi. Rosanna wciąż jeszcze nie mogła się ruszyć.

Wpatrywała się tylko w sumę wypisaną na czeku. To było wręcz nieprzyzwoite. Takimi pieniędzmi mogła zapłacić za studia dzieci, spłacić hipotekę na gospodę i wciąż jeszcze mieć oszczędności. Nie mogła przyjąć czeku. To w końcu Cole złapał złodzieja.

Cole. Jej serce ścisnęło się, gdy tylko o nim pomyślała. Popatrzyła na mężczyznę i powoli wręczyła mu czek.

- Nie. - Przecząco potrząsnął głową. - Nie rób tego.

W oddali wciąż słyhać było koledy, słodki dziecięcy chórek śpiewał „Wesołą nowinę”. Piosenka odpowiadała nastrojowi chwili, bo gdy Rosanna spojrzała w ciemne oczy Cole'a, ujrzała w nich taką czułość i radość, że aż zaniemówiła. Jego oczy wyglądały zupełnie inaczej niż miesiąc wcześniej. Wtedy odbijały się w nich rozczarowania z przeszłości, nieufność, lęk. Dziś widziała w nich tęsknotę za przyszłością.

- Ależ, Cole, to tobie należą się pieniądze z nagrody - zaprotestowała. - Zasłużyłeś na nie.

Podszedł do niej bliżej. Niemal bił od niego blask. Czuł, jak wzbiera w nim namiętność. Podszedł jeszcze bliżej. W ciemnym pomieszczeniu jego źrenice wydawały się ogromne, otaczała je tylko wąska, brązowa obwódka.

- Gdybym zgodził się przyjąć ten czek - powiedział głębokim, pełnym namiętności głosem - skąd miałbym wiedzieć, czy wyszłaś za mnie z miłości, czy dla pieniędzy?

Widział, że szeroko otworzyła usta. Zamknęła je tylko po to, by moment później ponownie je otworzyć.

- Wyszłabym za ciebie? - wyszeptała z niedowierzaniem. Uśmiechnął się do niej i poczuła, jak mięknie jej serce.

- Przez ten cały czas myślałem, że nie mam nic do zaoferowania - powiedział. - I nagle spotkałem kobietę, która mnie o nic nie prosiła. Im mniej oczekiwałaś, tym więcej pragnąłem ci dać. Nie jestem pewien, czy zasłużyłem na kogoś takiego, ale jeśli mnie zaakceptujesz, dam ci wszystko, niezależnie o tego, co to będzie. Kocham cię, Rosanno.

- Ach, Cole...

Wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego warg. Pocałowała go nie w dziki, namiętny sposób, jak tego oczekiwał, ale radośnie i tak słodko, że nie mógł powstrzymać się od westchnienia.

Podniosła z rozmarzeniem głowę, a Cole usłyszał swój głos, odmieniony, poważny, przejęty:

- Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz?

Rosanna wybuchnęła radosnym śmiechem. Boże, czym na nią zasłużył?

- Tak - odparła. - Tak, tak, tak!

Oparł czoło o jej czoło i gdy tak stali, czuł, że pragnie z nią tak trwać przez następne osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt lat.

- Wesółych Świąt - wyszeptał.

- Wesółych Świąt - powtórzyła.

Max stał za rogiem. Z tego miejsca mógł zaglądać do salonu, gdzie jego mama i Cole rozmawiali o przygotowaniach do wesela, obserwacji wielorybów i o tym, czy Max i Shiloh chcieliby mieć małą siostrzyczkę albo braciszka. Maksowi było wszystko jedno, czy pojawi się jakiś brat czy siostra, myślał tylko o tym, że otrzymał ojca, o którego tak prosił.

Wiedział, że Cole nim będzie, już w chwili gdy po raz pierwszy go zo-

baczył. Uśmiechając się do siebie, Max pobiegł do telefonu i wykręcił numer Guzka.

W pokoju gościnnym Nadine zdążyła już dojść do siebie i flirtowała z policjantem, który przychylnie reagował na jej awanse.

Po drugiej stronie choinki, niewidoczna dla wszystkich Shiloh schowała lśniący długopis do największej kieszonki swojej nowej sukienki. Max właśnie odkładał słuchawkę, po czym przybrał zboląły wyraz twarzy starszego brata. Mała przycisnęła palec do ust i dała bratu znak, żeby nic nie mówił. Potrząsnął przecząco głową. Shiloh uśmiechnęła się do niego. I oboje wybuchnęli śmiechem. To była najniezwyklejsza Gwiazdka, jaka im się kiedykolwiek" przydarzyła. Naprawdę godna zapamiętania i wspomnienia.

Turner Linda

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Dziesięć lat później

Prolog

Dziesięć lat wcześniej

To była najbardziej upalna pora dnia. Słońce stało w zenicie i tylko Słaby wietrzyk rozwiewał kurz wokół stóp Priscilli Rawlings. Kiedy po raz pierwszy przyjechała na rancho Double R, aby spędzić lato u kuzynów, była pewna, że nie przeżyje skwarne słońca Nowego Meksyku, które paliło ziemię i wyjaławiało kolory. Jednak szybko zaczęła doceniać upał i... mężczyzn, którzy codziennie pracowali na zewnątrz.

To za sprawą jednego z nich zaczęła częściej się uśmiechać. To on sprawiał, że traciła oddech i nogi robiły się jej miękkie jak z waty. Wyatt Chandler. Pięć lat od niej starszy, spokrewniony z Rawlingsami ze strony ich matki, ale nie z nią, również spędzał lato w Double R. Tylko raz na niego spojrzała i zakochała się bez pamięci.

Oczywiście on nie zwracał na nią uwagi. W każdym razie na początku. Priscilla miała dopiero siedemnaście lat i nie mogła zainteresować mężczyzny, który poważnie myślał o przyszłości. Wyatt skończył college w May i pod koniec sierpnia chciał przenieść się do Los Angeles. Firma architektoniczna, w której pracował, miała powiązania z największymi firmami w Kalifornii. Jedno spojrzenie na Priscillę wystarczyło, by nabrał przekonania, że ma do czynienia z podlotkiem, który chce sobie poflirtować. Powiedział jej wprost, żeby na niego nie liczyła. Nazywał ją „dzieciakiem”, „smarkulą”; wymyślił wiele

innych przezwisk, żeby zniechęcić ją do siebie. Jednak pragnienie, jakie paliło się w jej oczach, było silniejsze. W rezultacie nie miał dość siły, żeby się jej oprzeć.

To, co wydarzyło się potem, śmiało można by nazwać najpiękniejszym latem w jej życiu. Pod bacznym okiem opiekuńczych kuzynów Wyatt i Priscilla śmiali się, bawili i... zakochali w sobie. Jednak nic nie trwa wiecznie. Ich wspólne wakacje powoli dobiegały końca. Zostały tylko dwa tygodnie do sierpnia, kiedy to Wyatt miał wyjechać do Los Angeles - do innego życia, do nowej pracy, do swojej przyszłości.

Priscilla postanowiła pojechać razem z nim.

Ta decyzja dojrzała w niej, kiedy ze swoją kuzynką Kat kapały się w strumieniu. Nagle poczuła, że musi natychmiast powiadomić o tym Wyatta. Zostawiła zdezorientowaną Kat w wodzie i czym prędzej pobiegła do domu. Szybko się przebrała i ruszyła na poszukiwania. Szukała go tu i tam, ale zapomniała o ich ulubionym miejscu spotkań - stodole. Dopiero Alice, która opiekowała się domem, powiedziała jej, że Wyatt czeka tam na nią razem ze swoim gościem z college'u, który niespodziewanie przyjechał do niego w odwiedziny.

Stojąc przed ocienionymi wierzejami do stajni, Priscilla wahała się, czy powinna wejść. Kimkolwiek był jego przyjaciel, na pewno miał coś ważnego do przekazania, skoro przejechał taki szmat drogi. Postanowiła więc, że wejdzie tylko na chwilę

1 umówi się z Wyattem na późniejszą rozmowę.

Uśmiechnięta przekroczyła próg. Dostrzegła Wyatta przy boksach dla koni i ruszyła w jego kierunku. Zdołała jednak zrobić tylko trzy kroki, kiedy stanęła jak wryta, czując, jak coś ściska ją za gardło. To kobieta - pomyślała beznamiętnie. Gościem Wyatta była długonoga blondynka w krótkiej spódniczce i bluzce bez pleców. I wcale nie rozmawiała z Wyattem... ona się z nim... całowała.

Rozdział 1

- No i zrobiłam to - powiedziała Priscilla ponurym głosem, gdy tylko jej kuzynka podniosła słuchawkę. - Rozstałam się dzisiaj z Tomem.
 - O nie, Cilla - westchnęła Kat. - Akurat w Dzień Dziękczynienia?
 - Wiem, wybrałam najgorszy moment. Kiedy zaczął się zastanawiać nad wyborem muzyki na nasze wesele, coś się we mnie przełamało.
 - Jak zareagował? Był zrozpaczony?
 - Raczej wściekły. Wyrzucił mnie z pracy. Przedtem jeszcze zdążył mi powiedzieć, że jego matka już dawno ostrzegała go przede mną. Podobno mówiła, że wystawię go do wiatru tuż przed ślubem. Ta kobieta nigdy nie darzyła mnie sympatią.
 - A teraz swoim postępowaniem przyznałaś jej rację. Dla niej to też nie będzie najlepszy Dzień Dziękczynienia.
- Choć Cilla nie była w radosnym nastroju, nie mogła opanować niekontrolowanego wybuchu śmiechu.
- Myślę, że wreszcie zrobiłam coś, co jej się spodobało. - Kiedy uśmiech powoli zniknął z jej twarzy, powiedziała cicho: - Tom jest dobrym człowiekiem. Nie chcę go ranić, ale wiem, że podjęłam słuszną decyzję. On ma wszystkie cechy, które chciałabym widzieć u mojego przyszłego męża. A jednak czegoś nam zawsze brakowało. Lubię Toma, ale to za mało, żeby wyjść za niego.
 - Ależ oczywiście - zgodziła się kuzynka. - Czasami war-

to poczekać. Ja poczekałam i nigdy tego nie żałowałam. Co zamierzasz teraz robić?

Wzrok Cilli powędrował ku białej sukni, wiszącej na drzwiach sypialni. Boże, jak to możliwe, że wpakowała się w to wszystko?

- Zwrócę nieużywaną suknię ślubną, a potem rozejrzę się za nową pracę. Tylko Bóg jeden wie, gdzie znajdę pracę o tej porze roku. Większość firm prowadzi rekrutację dopiero po świętach.

- A właśnie, skoro już o tym wspomniałaś - jakie masz plany na święta? Jedziesz do domu?

- Żeby słuchać utyskiwań mamy na temat życiowego błędu, jaki popełniłam, dając kosza tak odpowiedzialnemu mężczyźnie jak Tom? Nie, nie sądzę, żebym miała na to ochotę.

- To może przyjedziesz do nas na ranczo i zostaniesz przez jakiś czas? Nie czekaj na święta, przyjedź teraz: Sama powiedziałaś, że w grudniu nie przyjmują nowych pracowników. To po co masz siedzieć w Denver?

Zatrzymasz się u nas, będziesz chodzić na wycieczki, odpoczywać, robić, co zechcesz. I nikt nawet nie wspomni o Tomie, to mogę ci obiecać.

Cilla wahała się. Propozycja była kusząca. Choć ostatni raz była w Double R jako nastolatka, do dziś pamiętała szeleszczącą na wietrze trawę i ciszę otwartej przestrzeni, rozpościerającej się aż po horyzont. Teraz to wszystko wyglądało jak bajka, ale czy powinna przeszkadzać innym podczas świąt?

- Sama nie wiem, Kat. Nie jestem w najlepszym nastroju.

- Nie szkodzi, już my cię rozweselimy. A więc jesteśmy umówione, Cilla. Przyjeżdżasz do nas w tym tygodniu, zgoda? Zadzwońię do Gable'a, Josey i powiadomię resztę towarzystwa.

Cóż mogła odpowiedzieć? Kat bywała uparta jak osioł, a kiedy odzywała się tym swoim charakterystycznym tonem, nie można jej było odmówić.

- No dobrze - zaśmiała się Cilla. - W takim razie niedługo się zobaczymy. W głównym domu na ranczo Gable podniósł słuchawkę i uśmiechnął się, słysząc głos swojego kuzyna.

- Cześć, stary. Co słyszać? Jak minął dzień indyka?

- Pozwól, że coś ci powiem - powiedział Wyatt. - Co przychodzi ci na myśl, kiedy słyszysz wyrażenie „piekielne święta”.

- Hm - chrząknął Gable. - Coś mi się zdaje, że masz problem. Jak ma na imię?

- Eleanor. - Wyatt z odrazą wymówił to imię. I to nie to, o czym myślisz.

- Tak, tak, wy, zatwardziali kawalerowie, zawsze tak mówicie.

- Mówię poważnie. Ona nie jest moją dziewczyną. Cholera, ja nawet jej dobrze nie znam. Zobaczyła mnie kiedyś na budowie w Beverly Hills i stwierdziła, że jestem mężczyzną, którego szukała przez całe życie.

- A cóż w tym złego? Może to miłość od pierwszego^N wej-rzenia? Wyatt fuknął ze złością.

- Raczej „Fatalne zauroczenie” od pierwszego wejrzenia. Mówię ci, Gable, ona jest kompletnie stuknięta. Zachowuje się jak rozwydrzony bachor, a jej ojciec ma więcej pieniędzy niż sam Pan Bóg. Tylko raz na nią spojrzałem i wiedziałem, że będą z nią kłopoty. Kiedy jednak starałem się jej wyjaśnić, że nie jestem zainteresowany bliższą znajomością, wpadła w furję. Namówiła ojca, żeby dzwonił do różnych ważnych ludzi ze skafgą na mnie i niewiele brakowało, a straciłbym zamówienie na projekt rządowy.

- Żartujesz! Cholera, Wyatt, ona jest rzeczywiście niebezpieczna. Byłeś na policji?

- Tak, ale oni nawet nie kiwnęli palcem. Jej ojciec jest dobrym znajomym komisarza. Teraz ta mała pokazuje się wszędzie tam, gdzie ja. A jeśli jestem w domu, co chwila dzwoni, żeby się upewnić, czy nie ma ze mną jakiejś kobiety. Już dwa razy zmieniałem numer telefonu, ale to nic nie dało. Ta kobieta doprowadza mnie do szaleństwa.

- Musisz wyrwać się z Dodge, stary. Wiem, że masz tam pracę...

- Właściwie to nie. Obecny projekt kończymy w połowie tygodnia, a następny rozpoczyna się dopiero po Nowym Roku, w Oakland. Coś byś powiedział, gdybym wpadł do was na jakiś miesiąc? Wiem, że proszę o wiele.

- Nawet tak nie mów, Chandler - zachnął się Gable. - Przecież należysz do rodziny. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Miejsca u nas nie brakuje.

- Dziękuję, stary. Naprawdę mam u ciebie dług. Do zobaczenia za kilka dni.

Matka Cilli nie była zachwycona, kiedy dowiedziała się, że córka nie spędzi z nią świąt. Jednak gdy późnym popołudniem we środę Cilla zbliżała się do Double R, czuła się tak, jakby wielki ciężar spadł jej z serca. Ranczo zawsze stanowiło dla niej azyl, miejsce, gdzie można było uciec przed światem, a właśnie tego teraz potrzebowała. Tutaj nikt nie będzie wywierał na nią presji, by zdecydowała, co chce zrobić z resztą swojego życia, ani wypytywał o błędy, jakie popełniła w tak świetnie zapowiadającym się związku. Tu mogła dowolnie dysponować swoim czasem i zapomnieć o ślubie, który nigdy się nie odbędzie.

W miarę jak autostrada zostawała w tyle, znikwały oznaki cywilizacji. Przed maską samochodu rozpościerały się olbrzymie połacie ziemi porośniętej trawą i ocienione, skaliste pasmo

gór, stanowiące zachodnią granicę rancza. Cilla opuściła boczną szybę i uśmiechnęła się, czując na twarzy powiew zimnego równinnego wiatru. Miała wrażenie, że wraca do rodzinnego domu.

W końcu dostrzegła olbrzymi dom w stylu wiktoriańskim, stojący w centrum rancza od ponad stu lat. Jego rozświetlone okna wyglądały jak latarnia morska w zapadającym zmroku. Chcąc jak najszybciej znaleźć się na miejscu, Priscilla dodała gazu, wzbijając tuman kurzu za samochodem.

Na kolistym podjeździe zaparkowany był drogi sportowy samochód, który z łatwością może pokonywać dalekie przestrzenie., Cilla nie zdążyła jednak dobrze mu się przyjrzeć, bo z domu na powitanie wyszła Kat. Była w zaawansowanej ciąży. Za nią podążała cała reszta.

- Cilla! Wyglądasz wspaniale - krzyczeli jedno przez drugie. - Jak minęła podróż? Słyszeliśmy, że na północy pada deszcz ze śniegiem. Miałaś jakieś problemy?

- Na pewno jesteś zmęczona. O której godzinie wyjechałaś?

Byli tam wszyscy: Gable z żoną, Josey, Cooper i Susannah, Flynn i Tate, i mąż Kat - Luke. No i oczywiście dzieci. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżała, jest ich więcej. Powitanie przypominało dom wariatów, ponieważ każdy z Rawlingsów chciał się z nią przywitać. W końcu Alice, która przypominała kwokę troszczącą się o swoje małe, zaczęła wydawać rozkazy jak sierżant podczas musztry.

- Nie pozwólcie tej biednej dziewczynie stać na dworze. Nie widzicie, że trzęsie się z zimna? A ty, Kat, powinnaś się położyć, za mało dziś odpoczywałaś. Gable, weź bagaże Cilli. Cooper, pomóż jej nieść torbę z prezentami. Boże, ona wygląda tak, jakby wróciła z bieguna północnego. Śmiejąc się, Cilla gorąco uścisnęła Alice.

- Alice, wcale się nie zmieniłaś. Czy upieczesz mi meksykańskie ciasto czekoladowe?

- Już to zrobiłam. Czeka na stole w kuchni - powiedziała kobieta, uśmiechając się. - Masz szczęście, że udało mi się je i upilnować. Gdyby nie moja miotła, twoi kuzyni już dawno by je zjedli.

- Chcieliśmy tylko wyświadczyć ci przysługę - odezwał się niewinnym głosem Flynn, kiedy wszyscy weszli na ganek - i upewnić się, że jest dobre.

- Tak, tak - dodał Cooper. - Wiemy, jaką wagę przywiązujesz do swoich wypieków. Nie chcieliśmy, żebyś czuła się zawstydzona. Kiedy starsza kobieta tylko zachnęła się na te tłumaczenia, wszyscy wybuchnęli śmiechem i podprowadzili Cillę do frontowych drzwi. Tylko Kat się nie śmiała i zanim Cilla weszła do środka, odciągnęła ją na bok.

- Powinnaś jeszcze o czymś wiedzieć. Zdziwiona zatroskanym wzrokiem kuzynki, Cilla zapytała:

- O co chodzi? Coś z dzieckiem? Alice wspominała, że powinnaś odpoczywać.

- Nie, nie, nic mi nie jest - odpowiedziała Kat zbita z tropu. - Powinnam była oddzwonić, kiedy dowiedziałam się, że oboje dzwoniлиście tego samego wieczora, ale pomyślałam, że lepiej się nie wtrącać. Jednak teraz mam wątpliwości i jest już i za późno.

- Za późno na co? - uśmiechnęła się Cilla. - Mów jaśniej, Kat. No, wyduś to wreszcie z siebie.

Ale Kat nie musiała tego robić. Nagła cisza, jaka zapadła na ganku, zwróciła uwagę Cilli. Kiedy spojrzała w górę, nogi się pod nią ugięły. 1 W drzwiach stał Wyatt.

Uśmiech zamarł na jej twarzy, a potem zniknął. Nie! - krzyk-

nęła w duchu. Ostatni raz widziała go dziesięć lat temu. I dziesięć lat temu złamał jej serce. Przynęła sobie, że nigdy więcej go nie zobaczy. Przed przyjazdem na ranczo zawsze upewniała się, że w tym czasie jego tam nie będzie. Tym razem nie zapytała o to, bo słyszała, że pracuje w Los Angeles nad jakimś dużym projektem rządowym. W takim razie co on tu robi?

Priscilla miała ochotę obrócić się na pięcie i uciec. I to natychmiast! Ale nie chciała dać satysfakcji Wyattowi Chandlerowi. Czując, jak serce jej wali, uniosła w górę brodę, przekonana, że ten mężczyzna nie ma już nad nią władzy. Jednak gdy ich spojrzenia się spotkały, jej pewność znacznie osłabła.

Wyatt się zmienił. Oddałaby wszystko, żeby nic ją to nie obchodziło, ale ku własnej rozpaczycy z uwagą przyglądała się jego twarzy, porównując ją z tą sprzed dziesięciu lat. Jego rysy pozbawione były chłopięcych cech, a zielone oczy - miękkości. Czarne, faliste włosy zachowały swój odcień, tylko wokół oczu pojawiły się kurze łapki, a skóra straciła młodzieńczą gładkość. Wyatt był bardziej dojrzały, twardszy, bardziej męski. A w dzinsach, rozpiętej pod szyją koszuli i kowbojskich butach nadal wyglądał na najatrakcyjniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała.

To wrażenie musiało odbić się na jej twarzy, bo choć próbowała zachować obojętność, Wyatt sprawiał wrażenie, jakby się wszystkiego domyślił. W jego zielonych oczach pojawiło się rozbawienie, a na twarzy szeroki uśmiech.

- A niech mnie kule, jeśli to nie Prissy - wycedził. - Dawno się nie widzieliśmy, kuzynko.

Wcale nie byli kuzynami i dobrze o tym wiedział, ale Priscilla złapała przynętę.

- Nazywają mnie Cilla, kuzynie - odparowała, baczenie mu się przypatrując. - A tak przy okazji to, że długo się nie wi-

dzieliśmy, nie znaczy, że stęskniliśmy się za sobą. Co tutaj robisz?

- To samo co ty - odpowiedział rozbawiony. - Przyjechałem na święta.

- Co? To niemożliwe.

Wyatt zaśmiał się, wyraźnie nie przejmując się jej niechętną reakcją.

- Niestety, to prawda. Własnym uszom nie wierzyłem, kiedy dowiedziałem się, że ty też przyjeżdżasz. Masz dla mnie jakiś prezent?

Priscilla obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

- A jak myślisz?

Wyatt pomyślał, że jej uczucie nienawiści do niego jeszcze nie wygasło, czemu zresztą wcale się nie dziwił. Nie zapomniał, co wydarzyło się między nimi podczas tych pamiętnych wakacji dziesięć lat temu. Była wtedy podlotkiem, nie potrafiła nawet prowadzić samochodu, uczyła się jeszcze sama siebie. Nie powinien był traktować jej poważnie, ale był bezradny wobec jej uporu i wdzięku. Obiecał sobie wtedy, że nie straci dla niej głowy i nie zrobi nic głupiego; po prostu trochę po-flirtuje, bez żadnych zobowiązań. Ale ona bardzo szybko zawładnęła jego sercem. Nie upłynęło wiele wody w rzece, kiedy zostali kochankami. Gdy wreszcie poszedł po rozum do głowy, ona marzyła już o ślubie. To go piekielnie wystraszyło.

Patrząc na te wydarzenia z perspektywy czasu, doszedł do wniosku, że źle tym wszystkim pokierował. Ale wtedy sam był jeszcze niedojrzały. Gdy Priscilla zaczynała mówić o ślubie-, od razu wyobrażał sobie jej ojca, goniącego go z pistoletem. Próbował ją więc przekonać, że nie byli dla siebie stworzeni. Zadzwoił po koleżankę z college'u i zaaranżował przed Priscillą scenę w stodole.

Nie był dumny z tego, co zrobił, ale czuł się kompletnie

przyciśnięty do muru. I chociaż teraz Priscilla na pewno w to nie uwierzy, zrobił to również dla jej dobra. Jeszcze tego samego dnia wyjechała z rancza i od tamtej pory nigdy się więcej nie widzieli. Aż do dzisiaj. Zastanawiał się nad dziwnymi kolejami losu. Przeznaczenie znowu rzuciło ich w to samo miejsce i znów dogryzali sobie jak para dzieciaków. Tylko że teraz ona nie miała już siedemnastu lat.

I to może być problem - pomyślał, kiedy wszyscy zaczęli wchodzić do domu, chcąc przerwać krępującą ciszę. Przez te wszystkie lata wyobrażał ją sobie jako piegowatego podlotka z rudymi włosami związanymi w koński ogon, w obciętych dżinsach, opasujących jej szczupłe biodra, i wypłowiałym T-shircie, podkreślającym jej małe piersi. Ale ta dziewczyna należała do przeszłości, a zamiast niej pojawiła się Priscilla Rawlings, której pewnie nie poznałby na ulicy.

Była wyrafinowana. Przez ostatnich dziesięć lat nigdy nie myślał o niej w ten sposób. Ale kobieta, która stała przed nim, mierząc go pogardliwym spojrzeniem, nabrała ogłady i gracji. Gdzie się podziała ta mała przemądrzała dziewczynka, o której myślał z taką tkliwością? Ta dzika Indianka, pędząca przez ranczo i zanosząca się perlistym śmiechem. W tej Cilli nie było śladu tamtej dziewczyny. W czarnych wełnianych spodniach, swetrze z niebieskoszafirowej angory, ze skręconymi w loki włosami, które błyszczały jak ogień i luźno opadały na ramiona, wyglądała jak ktoś zupełnie obcy.

Wielki Boże, kiedy ona tak wypiękniała? I dlaczego nikt mu o tym nie powiedział? Rodzina informowała go o każdym chłopaku, z którym chodziła, ale nikt nie raczył mu powiedzieć, że wystarczył jeden jej uśmiech, żeby zatrzymać ruch na ulicy. Gdyby o tym wiedział, przygotowałby się na spotkanie z nią. Pobożne życzenia! Kogo on chce nabrać? Jej owal-

na twarz, wydatne kości policzkowe, aksamitna skóra, nie wspominając już o ustach stworzonych do całowania, czyniły z niej zapierającą dech piękność. I nic, co usłyszałyby o niej wcześniej, nie przygotowałyby go na takie spotkanie. W ciągu najbliższego miesiąca będzie musiał przyzwyczać się do nowej sytuacji. Miał przeczucie, że to nie będzie łatwe.

Ze ściśniętym żołądkiem Cilla uciekła na górę do pokoju, żeby się rozpakować i uspokoić. To, że przebywa pod jednym dachem z tym mężczyzną, nie oznacza, że jest mu winna coś więcej niż zwykłą uprzejmość - tłumaczyła sobie. Zresztą prawdopodobnie nie będą się zbyt często spotykać. Wyatt nie należał do mężczyzn, którzy lubią przesiadywać w domu, a ranczo było naprawdę duże. Przy odrobinie szczęścia będzie spotykała go tylko podczas posiłków, a więc zawsze w towarzystwie innych domowników.

Musisz się tylko uśmiechać i podtrzymywać rozmowę, by gospodarze nie czuli się nieswojo - powiedziała do swojego odbicia w lustrze, kiedy wypakowała ostatnią rzecz. - To nie będzie trudne.

To wydawało się łatwe, ale gdy tylko wyszła na korytarz, drzwi naprzeciwko otworzyły się i po raz drugi stanęła twarzą w twarz z Wyattem. Przez chwilę wydawał się równie zaskoczony. Zaraz jednak jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Musimy przestać się tak często widywać, kochanie - powiedział łagodnie - bo kuzyni zaczną plotkować.

Krew napłynęła jej do twarzy i z trudem powstrzymała się, żeby go nie uderzyć.

- Zgadzam się - warknęła. - Może więc wyświadczysz przysługę nam obojgu i wrócisz, skąd przyjechałeś?

- Dlaczego miałbym to robić? - zaśmiał się. - Ja pierwszy tu przyjechałem.

- Do diabła, Wyatt, to nie jest gra! Mówię poważnie. Jesteś

tak samo niezadowolony z naszego spotkania jak ja. Gdybyś był dżentelmenem, wyjechałbyś.

Wyatt przez krótką chwilę poważnie rozważał tę sugestię. Priscilla miała rację; żadne z nich nie cieszyło się z tego spotkania, a to źle wpłynie na atmosferę w domu i zepsuje święta całej rodzinie. Jednak coś go powstrzymywało przed natychmiastowym wyjazdem. Mógł poradzić sobie z wrogością Cilly, co jednak począć z prześladowającą go Eleanor? Za wcześnie na powrót do Los Angeles.

- Przepraszam, kochanie - cedził słowa - ale powinnaś wiedzieć lepiej niż inni, że ja nie jestem dżentelmenem. Jestem pewien, że rodzina zrozumie twoją decyzję, jeśli powiesz im, że ten dom jest za ciasny dla Has dwojga. Możesz przecież pojechać -do swojej mamy na Florydę.

- I wtedy każdy pomyśli, że się ciebie wystraszyłam? - powiedziała, marszcząc brwi. - Nic z tego, Wyattcie Chandler. Jeśli ty zniesiesz moje towarzystwo, ja zniosę twoje.

Wyatt usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, szeroko się uśmiechnął.

- Jak chcesz, złotko. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa. Priscilla obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- Daruj już sobie. Gdybyś rzeczywiście chciał mojego szczęścia, miałbyś przynajmniej tyle taktu, żeby zatrzymać się u Flynna albo Coopera.

- Po co? Żebyś nie wpadała na mnie za każdym razem, kiedy się odwrócisz? - drażnił się z nią, - Boisz się, że znowu się we mnie zakochasz?

- To równie prawdopodobne jak to, że zostanę prezydentem - odparowała, szczerze ubawiona. - Już mi na tobie nie zależy, kowboju. Jeśli więc masz nadzieję na wzniesienie dawnego ognia, to tylko marnujesz czas. Nic z tego nie będzie.

Rozdział 2

Kiedy cały klan Rawlingsów zebrał się w jadalni, trzeba było zsunąć dwa stoły i przynieść krzesła z całego domu. Jednak nawet wtedy wszyscy siedzieli ściśnięci jak stado cieląt u wodopoju. Przy najmniejszym ruchu dotykało się osoby siedzącej obok, a gwar rozmów był tak głośny, że nie słyszało się własnych myśli. Cilli bardzo się to podobało.

Kiedy była nastolatką, rodzina nie była liczna. Nikt też nie był w zalegalizowanym związku. Rodzinę tworzyli Gable, Cooper, Flynn i Kat. No i oczywiście Alice, która pomagała Gable utrzymać dyscyplinę i zintegrować rodzinę po śmierci rodziców. Dla Cilli, która była jedynaczką, każde spotkanie z kuzynami było jak wizyta w gronie najbliższych.

A najlepsze były wspólne posiłki. Double R było znane z gościnności i przy stole zawsze zostawiano wolne miejsce dla przypadkowego gościa. A im więcej tych gości, tym weselej. Patrząc na roześmiane twarze wokół, Cilla z radością stwierdziła, że ten zwyczaj na szczęście przetrwał.

Przy stole było siedmioro dzieci w różnym wieku, od szesnastoletniej Haily, córki Flynn'a i Tate, do niespełna dwuletniej Holly, córki Coopera i Susannah. Kuzyni stanowili wesołą kompanię, w której zabawne uwagi co chwila wywoływały salwy śmiechu. Na przykład Holly zalotnie uśmiechała się do siedzącego po drugiej stronie stołu Wyatt'a, a kiedy ten wybałuszał na nią oczy, zaczynała chichotać.

Obserwując go spod oka Cilla zauważyła, że nadal mógł

podobać się kobietom. I nie miało znaczenia, czy dama ma lat dwa, czy osiemdziesiąt - jego osobisty urok działał na każdą. Wszyscy kuzyni byli w szczęśliwych związkach i mieli ustabilizowaną sytuację życiową. Jedynym wyjątkiem był Wyatt, który nie okazywał zbyt dużego zainteresowania małżeństwem i założeniem rodziny. Miał świetny kontakt z dziećmi, tak samo jak jej ulubiony wujek. Ale kiedy święta się skończą, Wyatt wróci do Los Angeles i swego życia bez zobowiązań. To ją najbardziej irytowało. On ciągle był wolny i żył na luzie. Ona również do tej pory z nikim się nie związała.

Jakie to szczęście, że między nami wszystko dawno się skończyło - pomyślała.

Siedząc po drugiej stronie stołu, starała się go ignorować, jednak utrudniał to śmiech Holly i innych dzieci. Z trudnością powstrzymała uśmiech, kiedy Wyatt dmuchnięciem przesłał dziecku pocałunek. I w tej samej chwili spojrzał jej prosto w oczy. A niech go, zaklęła w duchu, nie spuszczać z niego wzroku. Jak on to robił? Specjalnie usiadła z dala od niego, ale jego przebiegłe, roziskrzane, wszystkowiedzące oczy osadziły ją na krześle i pozbawiły oddechu.

A więc skończyłaś ze mną, tak? - zdawał się mówić. - No, to się jeszcze okaże.

Wyatt gapił się na nią, nie zwracając uwagi, czy ktoś to zauważy. Cilla miała ochotę go zabić.

Siedząca po przeciwnej stronie stołu Kat uderzyła widelcem w szklanę.

- Uwaga, uwaga - powiedziała, przekrzykując milknące rozmowy. - Muszę wam coś powiedzieć.

- O Boże - jęknął Flynn - pewnie zdecydowała się na kolejne imię dla dziecka. Co to będzie tym razem? Michał Anioł Valentine czy może Abraham Lincoln Valentine? Jedno i drugie na długo zapada w pamięć.

- Zabawne, Flynn. Naprawdę zabawne - odparowała, uśmiechając się, kiedy inni wybuchnęli śmiechem. - Właściwie to myślałam o Michale Aniele i Lincolnie. To brzmi lepiej niż Fred i Barney, nie sądzisz?

Zaskoczony Flynn zamyślił się.

- Chcesz dać dziecku dwa imiona?

Z iskierką w oku Kat wyciągnęła rękę do siedzącego obok niej męża, Lucasa.

- Nie, po prostu musimy dać dzieciom jakieś imiona. Zaległa głucha cisza. Kiedy wreszcie zrozumiano, o co chodziło Kat, wszyscy zaczęli wstawać z krzesel.

- Bliźniaki? - szepnęła podniecona Cilla. - Będziesz miała bliźniaki? / Tate i Josey, którzy byli lekarzami, od razu zaczęli zadawać pytania.

- Dobrze się czujesz? Chodzisz do Thompsona w Silver City? Co on myśli o pracy na farmie w trakcie ciąży?

- Czy ty w ogóle powinnaś pracować? - zapytał zatroskany Gable. - Josey spędziła w łóżku ostatnie cztery -miesiące ciąży. Czy aby na pewno stosujesz się do zaleceń lekarza?

- Tak, przynajmniej ten jeden raz w życiu stosuję się do zaleceń lekarzy - powiedziała Kat, śmiejąc się, gdy bracia, bratowe i kuzyni przekazywali ją sobie z rąk do rąk i gratulowali, gorąco ściskając. - Tego pilnuje Lucas. Chodzę do Thompsona i nie pracuję od zeszłego tygodnia. Pozwólcie złapać oddech, bo inaczej nic wam nie powiem.

Wyatt, który ostatni pogratulował Lucasowi, uścisnął go, a potem z uśmiechem zwrócił się do Kat.

- Będiesz wspaniałą matką. Ale dwoje naraz? Boże, jeśli będą do ciebie podobne, dadzą ci prawdziwy wycisk. Myślisz, że poradzisz sobie z nimi?

Z błyskiem w niebieskich oczach, Kat szeroko się do niego uśmiechnęła.

- A jak myślisz?

Alice, rozpromieniona jak dumna babcia, podała szampana i ciasto, którego strzegła całe popołudnie. Kolacja przekształciła się w prawdziwe przyjęcie, na którym, śmiejąc się i żartując, rozmawiano o najbardziej wyszukanych imionach dla dzieci i z rozpędu wybierano im już przyszłe uczelnie.

- College to teraz nasze najmniejsze zmartwienie - powiedziała Kat, śmiejąc się. - Ale martwię się tym, gdzie umieszczę dzieci, jeśli okaże się, że to chłopiec i dziewczynka. W domku jest tylko jeden wolny pokój.

- To żaden kłopot - odezwał się Wyatt. - Mogę wam naszkicować plany.

- O nie, jesteś przecież na wakacjach. Nie możemy się na to zgodzić.

- Aleja lubię projektować. Potraktujmy to jako mój prezent dla dzieciaków.

Kat wahała się i spojrzała wyczekująco na męża.

- To dosyć drogi prezent, Wyatt - odezwał się Lucas. - Większość ludzi daje po prostu pluszowego misia. Na pewno masz na to ochotę?

- Nie proponowałbym tego, gdybym nie chciał. Poza tym nie mogę przez miesiąc siedzieć beczynnie. Zwariowałbym z nudów.

Lucas spojrzał na żonę, jego wzrok zdawał się mówić to samo co jej.

- No dobrze, skoro nalegasz, nie będziemy się upierać.

- Dzięki, Wyatt. To bardzo miło z twojej strony.

- Teraz na ranczu nie ma dużo roboty - powiedział zamyślony Gable. -

Jeśli wszyscy włączymy się do pracy, ani się obejrzymy, jak pokój będzie gotowy.

Zaczęli planować, kto co i kiedy będzie mógł zrobić. Wyatt przystąpił do szkicowania planów na serwetce, a Kat opisywała swój wymarzony pokój dla dziecka. Z drugiego końca stołu Cilla patrzyła na tych dwoje i pomyślała, że właśnie tak mogłoby być. To ona mogłaby być w ciąży i to dla ich dziecka Wyatt mógłby projektować pokój.

Nie, nawet za milion lat, Cillo Rawlings - odezwał się w niej głos rozsądku. - Nawet o tym nie myśl.

Ale było już za późno. Przed oczami stanęły jej wspomnienia i głęboko skrywane pragnienia, które przed laty szczelnie zamroziła w swoim sercu. Dziecko. Dziecko Wyatta. Mając siedemnaście lat, marzyła o dniu, kiedy weźmie na ręce dziecko, będące wspaniałym połączeniem cech swoich rodziców, ucieleśnieniem ich wzajemnej miłości. Jednak to marzenie umarło, zdawało się, na zawsze, kiedy zobaczyła Wyatta w ramionach innej kobiety.

Boże, co jej się roi?

Gwałtownie odsunęła krzesło od stołu, przykuwając uwagę wszystkich dorosłych. Unikając ostrego wzroku Wyatta, wstała z wymuszonym uśmiechem.

- Przepraszam za to zamieszanie, ale jestem zmęczona po podróży i jeśli za chwilę się nie położę, usnę przy stole.

- Rzeczywiście jesteś blada - powiedziała zatroskana Jo-sey. - Na pewno dobrze się czujesz?

- Mamy tu teraz epidemię grypy - dodała Tate. - W ostatnim tygodniu w moim gabinecie drzwi się nie zamykały. Jeden pacjent nie zdążył wyjść, a już wchodził drugi. Nie masz przypadkiem gorączki?

- Nie, doktor Tate. Nic mi nie jest, naprawdę - dodała z przekonaniem Cilla. - Wstałam dziś o piątej i jestem po prostu niewyspana. Nie przerywajcie sobie zabawy. Do zobaczenia jutro rano.

Cilla obiecała wszystkim, że w nadchodzących dniach nadrobi zaległości związane z rodzinnymi nowinami. Potem szybko poszła na górę, przekonana, że gdy tylko znajdzie się w łóżku, natychmiast zaśnie. Ale jeszcze długo po tym, jak wzięła prysznic i wsunęła się do łóżka, natrętne myśli nie dawały jej spokoju.

Z dołu dobiegały odgłosy pożegnań, kiedy Flynn i Cooper ze swoją rodziną ruszyli do swojego domu, położonego nieopodal. Wkrótce po nich wyszli Kat i Lucas, a gdy Josey i Gable ułożyli dzieci do snu, dom z wolna cichł. Cilla słyszała delikatne odgłosy kroków, kiedy wchodzili na górę, i dźwięk zamykanych drzwi. Wreszcie zaległa zupełna cisza. Cilla leżała na plecach, wpatrywała się w sufit i nie mogła zasnąć.

Z pokoju po drugiej stronie korytarza dobiegały przytłumione dźwięki. Słychać był szum wody w łazience, odgłos butów upadających na podłogę, aż wreszcie Cilla miała tego dosyć. Nie mogła spokojnie leżeć i słuchać tych odgłosów, nie wyobrażając sobie jednocześnie, jak Wyatt rozbiera się, wyciąga na łóżku i wzdycha po męczącym dniu, poprawia poduszkę. Nie mogła przestać o nim marzyć, a przecież od lat już tego nie robiła. Nie miała ochoty zaczynać wszystkiego od nowa.

Jej serce waliło jak oszałałe. Usiadła na łóżku i sięgnęła po szlafrok. W chwilę później ostrożnie uchyliła drzwi i zerknęła na korytarz. U szczytu schodów paliła się niewielka lampa. Cichutko jak myszka, boso zbiegła do salonu i włączyła telewizor. Miała ochotę na jakiś film, najlepiej stary, czarno-biały, który zanudziłby ją na śmierć i pozwolił usnąć w ciągu pięciu minut.

Okazało się jednak, że właśnie rozpoczynało się „Cudowne życie”. Cilla zakląła pod nosem. Co za pech. To był jej ulubiony serial wakacyjny, który musiała obejrzeć przynajmniej raz w ro-

ku. Patrząc na czarno-białe sylwetki Jimmy'ego Stuarta i Donny Reed, pomyślała, że jeśli się nie wyśpi, nazajutrz nie sprosta docinkom Wyatta. Ale nie mogła oprzeć się pokusie. Szczelniej otuliła się szlafrokiem i podciągnawszy bosc stopy, usiadła wygodniej na kanapie. Sięgnęła po poduszkę i wtuliła się w nią jak w pluszowego misia.

Właśnie w takiej pozycji zobaczył ją Wyatt, dwadzieścia minut później schodząc do kuchni po kawałek czekoladowego ciasta Alice. Usłyszał dobiegające z salonu przytłumione dźwięki telewizora i postanowił sprawdzić, któż to tej porze jeszcze nie śpi. Na widok skulonej na kanapie Cilli, której łzy ciekły po policzkach, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ona zawsze łatwo wzruszała się podczas oglądania tkliwych filmów. Powinien był zostawić ją w spokoju. Była pochłonięta filmem i z pewnością nie chciała, żeby jej przeszkadzać. Jednak Wyatt nie był w stanie odejść. Nie teraz, kiedy tak siedziała zapłakana, a reszta domowników spała. Zapomniał o czekoladowym cieście, cicho wszedł do salonu i usiadł obok Cilli. Nie odezwał się, tylko wyjął z kieszeni chusteczkę i podsunął jej.

Przerażona Cilla wpatrywała się w nią jak w węża, który za chwilę mógł zaatakować.

- Proszę, weź ją - powiedział, uśmiechając się ciepło. Wziął jej rękę i zamknął palce na materiale. - Nie ugryzie cię.

Cilla ostrożnie wzięła chusteczkę.

- Co ty tu robisz? Myślałam, że już śpisz.

Wyatt uśmiechnął się zawadiacko, błyskając w ciemnościach białymi zębami.

- Chciałem zapytać cię o to samo. Co się dzieje? Nie możesz zasnąć, bo ciągle o mnie myślisz?

- Chciałbyś, co? - odparowała. - Wiem, że to może być dla ciebie szok, ale nie każda moja myśl zaczyna i kończy się na tobie.

Wyatt przycisnął dłoń do piersi, jakby ktoś zadał mu właśnie śmiertelny cios.

- Poważnie? Przez cały czas miałem wrażenie, że moja obecność wprawia cię w zakłopotanie. Chyba się nie myliłem?

- Zupełnie się myliłeś - odparowała. - Nic mnie nie obchodzi, co robisz- A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym pójść do łóżka.

- Dlaczego? Przecież film jeszcze się nie skończył. Wyatt oparł rękę na jej ramieniu i wtopił wzrok w ekran.

Cilla nie dała się oszukać jego sztuczkom. Wyatt Chandler nie miał w sobie odrobiny niewinności. A jedyny raz, kiedy chciał oglądać tak sentymentalny film jak „Cudowne życie”, był wtedy, gdy przebywał zbyt długo na słońcu.

Jednak dotyk jego ręki był taki wspaniały! Tak dawno już nie czuła niczego podobnego. Zapomniała, jak to jest, kiedy ją trzyma albo ona przytula się do niego, wdycha jego zapach i wie, że wtedy nikt i nic nie może jej skrzywdzić.

Z wyjątkiem niego samego. Poczucie krzywdy sprzed dziesięciu lat było jednak silniejsze i kazało jej odsunąć jego dłoń.

- Nie zmieniłeś się, Chandler. Wykorzystasz każdą sytuację, żeby uwieść kobietę. Puszczaj! Idę do łóżka.

Wyatt nie próbował jej powstrzymać.

- Proszę bardzo. Uciekaj jak mała wystraszona dziewczynka. A ja myślałem, że wreszcie dorosłaś.

Później, już w sypialni, doszła do wniosku, że powinna była zignorować tę uwagę. Mogła przynajmniej powstrzymać swój temperament i pomyśleć, zanim się odezwała. Jednak złośliwy komentarz Wyatta dotknął ją do żywego i zanim się obejrzała, rzuciła się na niego jak rozdrażnione zwierzę.

- Opuść sobie, Chandler. Wiem, o co ci chodzi, i nie dam ci się nabrać. Jestem dorosła i przed nikim nie uciekam. Jestem po prostu zmęczona. Zmęczona. Rozumiesz?

Kompletnie niewzruszony jej wybuchem, Wyatt rozparł się na kanapie i chytrze uśmiechnął.

- Może to i wiarygodna historyjka - wycodził. - Unikasz mnie, odkąd przyjechałaś. Przyznaj się, kuzynko, że nadal coś do mnie czujesz.

- Czuję coś do ciebie?! Boże, sama nie wiem, po co w ogóle wdaję się w rozmowę z tobą. Zawsze byłeś nieznośnym, zarozumiałym...

- I właśnie to ci się we mnie podobało - dokończył, śmiejąc się. - W przeciwnym razie nie prychałabyś na mnie jak dzika kotka. Ty się po prostu boisz.

Priscilla obrzuciła go pełnym pogardy spojrzeniem, które słabszemu mężczyźnie kazałoby spuścić wzrok. Jednak Wyatt nawet nie mrugnął. Zła i sfrustrowana miała ochotę tak nim potrząsnąć, żeby stracił wreszcie tę nieznośną pewność siebie. Wpatrując się w niego, powiedziała:

- Nie obchodzi mnie, co robisz, gdzie chodzisz, i mogę to udowodnić.

- A niby jak chcesz to zrobić? - spytał zaskoczony.

- Właśnie tak - wypaliła i pocałowała go.

Rozdział 3

Tym pocałunkiem mogła wzbudzić w nim pożądanie, a potem wstać i po prostu odejść. Czy na to właśnie nie zasłużył? Może wydawało mu się, że jest bożyszczem kobiet, ale na pewno nie dla niej. Nie zauważyłby nawet, że ona się nim bawi. A po niej wszystko spłynęłoby jak woda.

Tak przynajmniej wszystko miało wyglądać. Tyle tylko że z Wyattem nic nie było proste. W chwili gdy jej usta dotknęły jego ust, poczuła coś, o czym od długiego czasu nawet bała się myśleć. Wspomnienie uczucia, skrząco skrywane na dnie duszy. I głód, dziki i przejmujący, i tak znany jak imię Wyatt. Zaskoczona własną reakcją, powinna była natychmiast się wycofać. Jednak nie była w stanie myśleć, odsunąć się od tego wspaniałego mężczyzny ani nawet poruszyć. Wyatt objął ją, przyciągnął bliżej, jakby już nigdy nie chciał wypuścić jej z ramion. Między jednym a drugim uderzeniem serca Cilla poczuła, że wreszcie wróciła do domu. Czując, że kręci jej się w głowie, jęknęła, jakby dotarła do niej bolesna prawda. Nagle zrozumiała, że właśnie tego brakowało jej w związku z Tomem. Tego ognia, który zdawał się palić od środka, tej namiętności, która niszczyła wszystko po drodze i rozniecała pożądanie. Namiętności, której nigdy nie doświadczyła z Tomem, nawet w czasach, kiedy zdawało jej się, że kocha go całym sercem.

Wiedziała, że w tamtym związku czegoś brakowało, czegoś, za czym tęskniła, czego szukała, czego nie czuła z żadnym

mężczyzną... z wyjątkiem Wyatta. Czegoś, co mimo wszystko nadal istniało i było silniejsze niż kiedykolwiek.

Postradałaś zmysły, Cillo Rawlings? - usłyszała w myślach krytyczny głos. - To nie jest Książę Wdzięku. To najgorszy rodzaj szczura, który, jeśli tylko dasz mu szansę, znowu złamie ci serce. Wtedy byłaś jeszcze dzieckiem, które nie wiedziało, na co się porywa. Nie masz przecież siedemnastu lat! Jak brzmi twoja wymówka tym razem?

Bolesne myśli przedarły się przez zasłonę pożądania, które na chwilę przesłoniło jej umysł. Wystraszona Priscilla nagle zeszywniała. Dobry Boże, co ona robi? Miała dać temu mężczyźnie nauczkę, a nie rozpląwać się w jego ramionach i całować, jakby to był ostatni dzień w jej życiu. Gwałtownym ruchem odsunęła się od niego, ciężko oddychając i słysząc dudnienie własnego serca. Prędzej umrze, niż pozwoli mu zobaczyć, co się z nią dzieje po jednym pocałunku. Wzięła się w garść i, patrząc mu prosto w oczy, obrzuciła go chłodnym uśmiechem.

- Nieźle, Chandler. Z wiekiem poprawia ci się technika. Wyatt zmrużył oczy, ale po chwili szeroko się uśmiechnął.

- Twoja również. Jeśli to przedstawienie miało mnie przekonać, że jestem ci obojętny, to chyba nie zdało egzaminu. Może powinniśmy spróbować jeszcze raz.

- Nic z tego - odparła, śmiejąc się nieco za głośno. - Nigdy się nie poddajesz. Jeśli jednak myślisz, że będę tu stała i całowała się z tobą, to znaczy, że za dużo czasu spędziłeś na słońcu. Najwyraźniej twój mózg doznał poważnego uszczerbku. Nie jestem zainteresowana.

- Czyżby? Jeszcze przed chwilą twoje ciało mówiło mi coś zupełnie innego.

- Nie powiedziałam, że to mi się nie podobało. Lubię też lody waniliowe, ale to nie znaczy, że się nimi objadam. Są

rzeczy, które mi nie służą, i ty jesteś jedną z nich. Jak więc widzisz, kuzynie, jesteś mi już obojętny. Mogę lubić towarzystwo i sporadyczne pocałunki mężczyzny, który nie jest dla mnie odpowiedni. Ale nie zdołasz zawrócić mi w głowie jak nastolatce, która źle ulokowała swoje uczucia. Nie martw się więc, że skompromituję się przez ciebie. Tak się nie stanie.

Przypatrując mu się z bliska, Cilla dostrzegła, że w jego zazwyczaj wesołych oczach pojawiła się złość.

- No, skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, pozwolisz, że pójmę do łóżka. To był męczący dzień. Dobranoc, Wyatt.

Cilla odwróciła się na pięcie i, nie spiesząc się, ruszyła przed siebie. Czuła, że Wyatt przeszył ją wzrokiem, ale nie poruszył się i nie odezwał ani słowem. To dobrze, bo gdyby wymówił jej imię, nie wie, czy oparłaby się pokusie. Jednak mężczyzna milczał, a ona nie spojrzała już na niego. Wołała nie ryzykować.

Miała wrażenie, że przejście przez pokój zajmie jej całą wieczność. Dopiero w holu uświadomiła sobie, że drżą jej kolana. Czym prędzej oddaliła się w zacisze swojej sypialni.

Jeszcze długo po jej odejściu Wyatt wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęła. Czuł niemal fizyczny ból, jakby go stratowało stado jeleni. Zupełnie nie wiedział, co tak naprawdę zdarzyło się przed chwilą. W jednej chwili drażnił się z nią, rozpalając w jej oku błysk, który tak go zachwycał, a w drugiej ona całowała go z taką namiętnością, że każdy nerw jego ciała zdawał się krzyczeć.

Powinien był ją odepchnąć. A przynajmniej powstrzymać się przed pocałunkami. Ona stwarzała kłopoty; zawsze tak było. Kiedy zorientował się, że zaproszono ją na ranczo w tym samym czasie co jego, powinien był czym prędzej wyjechać. Ale zanim o tym pomyślał, ona już wchodziła na ganek - z tym

błyskiem w oku, który ostrzegał, żeby trzymał się od niej z daleka. Coś go jednak powstrzymało przed wyjazdem i ułatwieniem jej życia. W końcu on został tu zaproszony tak samo jak ona.

Do diabła z moją wyniosłą dumą - pomyślał zirytowany. Gdyby od razu wyjechał, zapomnieliby o niej zaraz po przekroczeniu granicy rancza. Ale teraz było już za późno. Nie po takim pocałunku.

Wzięła mnie przez zaskoczenie ^ starał przekonać samego siebie. Tylko tym można było wytłumaczyć jego reakcję. W końcu nie był jakimś mnichem. Kiedy piękna kobieta interesowała się nim, to oczywiście nie mógł pozostać obojętny.

Jako wymówki to wszystko brzmiało wiarygodnie. Ale zdrowy rozsądek Wyatta był bardziej sceptyczny. Nie całował się przecież z jakąś tam piękną kobietą. Całował się z Cillą. I w tym pocałunku było tyle energii, że wystarczyłoby do oświetlenia całego Zachodniego Wybrzeża.

Jest mi obojętna? - pomyślał ponuro. - Akurat!

Do diabła! I co ma teraz zrobić? Nie tylko ona łudziła się, że przeszłość odeszła w siną dal. Tak naprawdę nigdy jej nie zapomniał. Cilla nie należała do kobiet, które można było zostawić bez bólu. Jej wspomnienie tkwiło w nim jak cierń, który dawał o sobie znać w najmniej odpowiednich momentach, i nie pozwalało, żeby inna kobieta na trwałe zajęła jej miejsce.

Minęło już dziesięć lat, a obrazy z przeszłości wciąż pozostawały żywe. Czas ma to do siebie, że zaciera wspomnienia; ale niektóre wyolbrzymia, żeby wydawały się lepsze, niż były w rzeczywistości. Dawno minione lato jest zawsze dłuższe i cieplejsze niż obecne, muzyka lepsza, a miłość słodsza.

Przecież to absurdalne - powtarzał sobie Wyatt - przecież tak nie było. Ale oczywiście tak zapamiętał tamte wakacje.

I dokąd doszedł przez wszystkie te lata? Pomijając już pra-

gnienie, które ciągle jeszcze rozpalało go po tym cholernym pocałunku, nie szukał związku z Cillą ani z jakąś inną kobietą. To nieprawda, że nie chciał się ustabilizować. Oczywiście, że chciał, gdyby na horyzoncie pojawiła się odpowiednia kobieta. Do tej pory jednak takiej nie spotkał. Potencjalne partnerki były albo za młode, tak jak Cilla przed dziesięciu laty, albo za stare, albo za bardzo bały się zranienia, albo myślały wyłącznie o karierze zawodowej.

No i był problem, który zostawił w Kalifornii - Eleanor. Na samą myśl o niej dostawał szczękoscisku. Usiłował przypomnieć sobie, czy nie powiedział albo nie zrobił czegoś, co mogłoby ją zachęcić. Nie zaprzeczał, że lubi flirtować, ale Eleanor nie wzbudzała w nim żadnych uczuć. Było w niej coś, co nie podobało mu się od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. Traktował ją z jawnie okazywanym chłodem. Ale ona w ogóle tego nie zauważała. Co gorsza, jego chłód potraktowała jak wyzwanie i od tamtej pory zmieniła jego życie w piekło.

W porównaniu z Eleanor Cilla nie wydawała się tak groźna. Na szczęście była już pełnoletnia. Stała się dojrzałą kobietą i nauczyła się kontrolować swoją impulsywność, przez którą kiedyś mogli znaleźć się w prawdziwych tarapatach. I pogardzała nim - celowo wywołał w niej to uczucie, kiedy przed laty zaaranżował pocałunek z Sharon. Choć nadal mogło iskrzyć między nimi, młodzieńczego zaufania nie da się już odbudować. Żadna kobieta nie wybaczła odrzuconej miłości. Może to okaże się dla nich wybawieniem?

A jednak kiedy Wyatt wszedł na piętro, nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem na pokój Cilli. Z łatwością wyobrażał sobie, jak przygotowuje się do snu, odsłaniając ciało, które w miarę upływu czasu jeszcze bardziej wypiękniało. Czy ciągle jeszcze wstydzila się tego pieprzyka na biodrach? I czy była taka wrażliwa.

Uświadomiwszy sobie, dokąd prowadzą jego myśli, zaklął w duchu. Potem zaczął się zastanawiać, kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby umieścić ich w pokojach naprzeciwko siebie. Dom był przecież duży, mogli mieszkać w dwóch różnych krańcach domu. Ciekawe, dlaczego tak się nie stało?

Gdyby Wyatt był podejrzliwy, pomyślałby, że ktoś bawi się w swatkę. Ale to było przecież absurdalne podejrzenie. Cała rodzina wiedziała, że Cilla nie mogła na niego patrzeć. Od lat unikała spotkania z nim, a gdy planowała przyjazd na ranczo, zawsze najpierw się upewniała, czy jego tu nie będzie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykowałby twierdzenia, że istnieje między nimi inne uczucie oprócz wrogości.

Chyba że ten ktoś byłby świadkiem ich ostatniego pocałunku. To, co teraz czuł do Cilli, na pewno nie było wrogością. Wyatt zaklął pod nosem i wszedł do swojego pokoju.

Jednak nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie. Już niemal zasnął, kiedy znów pojawiła mu się przed na wpół przymkniętymi powiekami - kusząc, dotykając go i całując. Wyatt czuł, że cały się rozgrzewa, twardnieje; wyciągnął rękę, jednak zamiast kobiecego ciała poczuł chłód prześcieradła. Oczywiście dawniej też pojawiała się w jego snach, ale zawsze jako dziewczyna, która dopiero odkrywała swoją kobiecość. Kusiała go z niewinnym uśmiechem, lecz on miał dość siły, żeby nie ulec tej pokusie - dla jej własnego dobra. Jednak Cilla z obecnego snu była inna. Starsza, mądrzejsza, pewniejsza siebie; była kobietą, która dokładnie wiedziała, czego chce. To właśnie nie dawało mu spokoju. Czy można było ją rozpalić i nie oparzyć się?

Przekreślił się na brzuch, poprawił poduszkę i postanowił za wszelką cenę przestać o tym myśleć. Czekał ich wspólny miesiąc pod jednym dachem i pod baczным okiem reszty rodziny i nie warto było kończyć każdego dnia rozmyślaniami

O Cilli ani o żadnej innej kobiecie. Miał ciekawsze zajęcia. Jak choćby projekt dobudowy pokoju dla dzieci Kat i Lucasa.

Przez następne sześć godzin Wyatt rozmyślał o najrozmaitszych formach rozbudowy domów, zaprojektował nawet kompleks biurowy w Los Angeles. Ale to nic nie pomogło. A kiedy już-już miał zasnąć, przed oczyma natychmiast pojawiał się obraz Cilli, ponętnie uśmiechniętej. Wtedy budził się, przeklinał ją, przeklinał siebie. Gdyby teraz znalazła się w łóżku obok niego, sam już nie wiedział, czyby ją całował, czy zaczął szarpać. Wiedział jedno: od tamtego pamiętnego lata nie spotkał kobiety, która tak jak Cilla jednocześnie by go fascynowała i drażniła.

Nie próbował już więcej zasnąć. Wstał przed świtem, a kiedy brał prysznic, usłyszał pianie koguta. Ciepła woda nie ukoila jego nerwów. Ogolił się, ubrał i czym prędzej zszedł na dół do kuchni. Kawa!

Potrzebował mnóstwa kawy.

W domu panowała absolutna cisza. W zimie domownicy dłużej spali i było mało prawdopodobne, by w ciągu najbliższej godziny ktoś mu towarzyszył. Na szczęście Wyatt dobrze znał tę kuchnię. Alice wymagała, aby wszyscy, nie wyłączając gości, pomagali w nakrywaniu do stołu i zmywaniu naczyń. Z łatwością odnalazł kawę, nastawił wodę w czajniku i usiadł przy dębowym stole.

Pół godziny później, kiedy sącząc drugą filiżankę, cieszył się promieniami wschodzącego słońca, do kuchni wszedł ubrany tylko w dżinsy Gable.

- Zdawało mi się, że czuję kawę - powiedział zaspanym głosem. - Co tu robisz tak wcześnie, człowieku? Przecież jesteś na wakacjach.

- Ale mój mózg jeszcze o tym nie wie - powiedział Wyatt. - Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie ma sprawy. I tak miałem już wstawać^ Josey pracuje

dziś w klinice na ranną zmianę i chce, żebym ją podrzucił. W jej samochodzie zepsuła się wczoraj pompa wodna. Muszę pojechać do miasta i kupić nową. Zostało jeszcze trochę kawy?

- O tak, całe mnóstwo - powiedział Wyatt, szeroko się uśmiechając. - Pomyślałem, że bez takiej dawki nie zdołam się obudzić. Częstuj się. Mam nadzieję, że lubisz mocną.

Słowo „mocna” było eufemizmem na opisanie tego, co nalał sobie Gable. Czarny jak smoła płyn mógł posłużyć jako kwas do akumulatora.

Napełniwszy kubek po brzegi, Gable ostrożnie spróbował napoju i po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz błęgiego zadowolenia. - Takich rzeczy powinni prawnie zabronić - powiedział. - Gdzie nauczyłeś się parzyć taką kawę?

- Pojedź na jakąkolwiek budowę w dowolnej części świata, a poczęstują cię czymś takim - odpowiedział rozbawiony Wyatt. - Podobno od tego rosną włosy na klatce piersiowej.

- W takim razie przypomnij mi, żebym zabronił Josey to pić - powiedział ze śmiechem Gable, siadając za stołem. - Ależ to dobre. No to teraz przyznaj się - powiedział, uważnie przyglądając się Wyattowi - dlaczego w nocy nie mogłeś zasnąć? Z powodu Cilli czy tej kobiety z Kalifornii? Wyatt był wyraźnie zbity z tropu.

- A co Cilla może mieć z tym wspólnego?

- Nie wiem - odpowiedział kuzyn. - To ty mi powiedz. Ile to już lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliście? Dziesięć. I nie rozstaliście się w najlepszych nastrojach. Cilla chyba nie była zachwycona, że cię spotkała.

- To łagodnie powiedziane. Jeśli wzrok mógłby zabijać, leżałbym przed nią martwy.

- Pewnie tak - zgodził się Gable, uśmiechając się. - Cilla wyrosła na atrakcyjną kobietę, prawda? Była już nawet zaręczona.

Wyatt nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Zareczona? Z kim? Kiedy? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- Chyba wszyscy uznali, że to cię nie zainteresuje. W końcu przez dziesięć lat nie utrzymywaliście żadnych kontaktów. W każdym razie nic z tego nie wyszło. W zeszłym tygodniu zerwała zaręczyny.

- Dlaczego?

Gable wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Myślę, że doszła do wniosku, że go nie kocha. Powiedziała o wszystkim Kat. Ten facet był jej szefem i jak się o tym dowiedział, wyrzucił ją z pracy. Dlatego Cilla jest z nami. Zastanawia się, co zrobić ze sobą po świętach. Myślę, że do Denver już nie wróci.

Wyatt prawie go nie słuchał; tył ciągle pod wrażeniem wiadomości, że Cilla była bliska zamążpójścia. Przez te wszystkie lata czas nie stał dla niej w miejscu. Życie szło naprzód, tak samo zresztą jak i w jego przypadku. Wyatt wyobrażał sobie Cillę, jak dorasta, kończy szkołę średnią, potem college, idzie do pracy, wynajmuje mieszkanie, ma chłopaka. Ale nigdy nie wyobrażał sobie, że mogłaby pokochać innego mężczyznę. A obrazy, jakie podsuwała wyobraźnia, były zdecydowanie nieprzyjemne.

- Czy to, że Cilla się zaręczyła, jest dla ciebie jakimś problemem?

Pochłonięty własnymi myślami, Wyatt dopiero po długiej chwili zorientował się, że Gable zadał mu pytanie. I nagle gwałtownie wypalił:

- A co mnie, do diabła, obchodzi, czy jest zaręczona, czy nie. Ona nic dla mnie nie znaczy.

- To dobrze. Cieszę się, że to słyszę - powiedział z ulgą Gable. - Nie chciałbym, żeby znowu cierpiała. Ani ty. A więc twoim problemem jest ta kobieta z Kalifornii, tak? Gdyby mnie

242

przytrafiło się coś takiego, w nocy na pewno nie mógłbym zmrużyć oka. Wniosek był logiczny, ale Wyatt nadal nie wiedział, czy prawdziwy.

- Tak - mruknął, pociągając kolejny łyk kawy. Co więcej mógł powiedzieć?

Rozdział 4

- Tato, pojedziemy dziś po choinkę? Proszę! Powiedziałeś, że zrobimy to w tym tygodniu.

- Ja chcę powozić. Tato, mogę? Brian mógł w zeszłym roku.

- Nieprawda! To Mandy powoziła. Ona zawsze zajmuje się takimi rzeczami, bo jest najstarsza.

Śmiejąc się ze sprzeczek się dzieci, Gable spojrzał pytająco na Josey, siedzącą po drugiej stronie stołu.

- No i co powiesz, mamó? To twój wolny dzień. Chcesz, żebyśmy zajęli się choinką, czy masz jakieś inne plany?

Josey uśmiechnęła się, że się zastanawia.

- Zamierzałam przejrzeć wasze szuflady ze skarpetami i posortować je.

- Oj nie, mamó, możesz to zrobić kiedy indziej - jęknął Joey.

- A Cilla i Wyatt też mogą z nami pojechać? - wtrąciła Mandy. - Są na ranchu prawie tydzień i jeszcze nie robili nic ciekawego.

Smarując dżemem biszkopt domowego wypieku, Cilla ze zdziwieniem spojrzała na ośmioletnią Mandy.

- Ależ ja robiłam same interesujące rzeczy. Każdego ranka spałam do późna, odwiedziłam twoją mamę i Tate w klinice, przegadałam z Kat wiele godzin. Jutro idę na kolację do Coopera i Susannah, a pod koniec tygodnia wybieram się z waszą mamą na zakupy. Naprawdę świetnie się bawię.

A poza tym udało jej się nie wchodzić w drogę Wyattowi. Życie nie może być piękniejsze.

- O tak, Cilla ciągle jest czymś zajęta - odezwał się Wyatt. Błysk w jego oku ostrzegał ją, że wiedział doskonale, czym się zajmowała. - Ja zresztą też. Pracuję nad rozbudową domu Kat, zamawiam materiały, ale to wcale nie znaczy, że się nudzę. Zresztą nie musicie nas zabawiać. Należymy przecież do rodziny.

- To znaczy, że nie chcecie pojechać z nami po choinkę? - zapytał zmartwiony Brian.

- Ależ nie!

- Dzieciaki, przecież wiecie, że uwielbiam wybierać drzewko na choinkę. Cilla prawie zakrztusiła się kawą. Pamiętała, że dawniej Wyatt kpił sobie z tradycyjnych świąt i wszystkiego, co ocierało się o sentymentalizm. Zanim jednak zdążyła mu to przypomnieć, Gable już podniósł się z miejsca.

- No cóż, w takim razie wszyscy pojedziemy do kanionu, żeby ściąć drzewko. Kto pomoże mi zaprząć?

- Ja!

- Nie, ja!

- Ja jestem najstarsza!

Śmiejąc się i przekrzykując, dzieci zaczęły 'ciągnąć ojca w stronę stajni, a Josey zdążyła jeszcze krzyknąć, żeby nie zapomniały kurtek. Wyatt spojrział swoimi zielonymi oczyma na Cillę i zapytał:

- Czy to znaczy, że zaszczyisz nas dzisiaj swoją obecnością, Prissy? Cilla nie cierpiała tego zdrobnienia i Wyatt doskonale o tym wiedział. Zaciśnęła zęby i obdarzyła go uśmiechem, który powinien obniżyć temperaturę jego ciała przynajmniej o dziesięć stopni. Była w potrzasku i gdyby nie znała prawdy, pomyślałaby, że Wyatt zaaranżował wspólny wyjazd.

- Na to wygląda, Earp - odpowiedziała słodkim tonem, odpłacając mu przewiskiem, którego z kolei on nie znosił.

- Będziemy śpiewać kolędy, przeżywać nastrój świąt i tak dalej. Będzie zabawnie, nie sądzisz?

- O tak - wycedził, szeroko się uśmiechając. - Już ja się o to postaram.

Cilli nie podobał się ani jego ton, ani przebiegłe spojrzenie. Ale co takiego mógł zrobić w towarzystwie Gable'a, Josey i ich dzieci. Na pewno będzie się z nią drażnił, ale z tym -jakoś sobie poradzi. Najbardziej bała się jego dotyku jego dłoni i pocałunków, które wciąż na nią działały. Nie będzie dla niego łatwym celem. Musi tylko zachować odpowiedni dystans i wszystko będzie dobrze. Zresztą nie spędzi z nim całego dnia. W końcu jak długo można szukać drzewka na - choinkę?

Na niebie nie było ani jednej chmurki, ale porywisty wiatr mocno dawał się we znaki. Na szczęście Cilla wzięła ze sobą czapkę i ciepłe rękawiczki. Przed gankiem stał stary konny wóz. Wydawało jej się, że pojazd, który Gable i dzieci poszli wyprowadzić, będzie wyglądał jak nowoczesna przyczepa, tymczasem była to zwykła furmanka zaprzęzona w konie i wyładowana sianem. Gable usadzał dzieci na koźle, żeby każde z nich miało okazję potrzymać lejce. A Wyatt, Cilla i Josey mieli wejść na tył.

- Wspaniały dzień na jazdę na sianie - powiedział Wyatt z uśmiechem. - Oczywiście byłoby lepiej, gdyby była księżycowa noc, ale i tak nie możemy narzekać. No to w górę, Josey.

- Wyatt bez najmniejszego wysiłku podniósł kuzynkę, a potem zwrócił się do Cilli. - Gotowa?

Wystarczył jej rzut oka na jego szelmowski wyraz twarzy, żeby nabrać ochoty do ucieczki. On coś knuł i jak tylko ona

znajdzie się na tym sianie, na pewno zaczną się kłopoty. Jednak wszyscy czekali i nie mogła się teraz wycofać.

Czując, jak jej serce wali, wyciągnęła rękę, licząc, że Wyatt tylko pomoże jej wspiąć się na wóz. Jednak on chwycił ją wpół i zręcznie uniósł.

- Wyatt, przestań, do diabła! - syknęła tak, żeby nikt poza nim nie usłyszał.

- O co chodzi? - zapytał niewinnym głosem i spojrzał na swoje ramię, o które ona ciągle się jeszcze opierała. - To ty się do mnie przytulasz, kochanie.

Czując, że twarz oblewa się jej rumieńcem, cofnęła rękę i obrzuciła go jadowitym spojrzeniem. Wyatt tylko zaśmiał się i wskoczył na górę, obok niej. Cilla miała ochotę go uderzyć. Zrezygnowała jednak i przesunęła się na drugą stronę wozu, siadając w kucki, na sianie.

- Wszyscy już weszli? - krzyknął Gable przez ramię.

- Tak - powiedział Wyatt. - Niech ta bryka pokaże, co potrafi.

- Świetnie! - krzyknęły dzieci.

Śmiejąc się, Gable mlasnął językiem, poruszył lekko lejcamy i wóz się potoczył. Ku rozbawieniu dzieci Wyatt udał, że stracił równowagę, zachwiał się, potknął i wylądował w sianie o kilka centymetrów od bioder Cilli.

Serce od razu stanęło jej w gardle i nie zwolniło swego rytmu, gdy Wyatt, wynurzając się z siana, przesunął ręką po jej udzie. Z trudem łapiąc powietrze, Cilla starała przekonać samą siebie, że to tylko przypadek. A wtedy Wyatt puścił do niej oko.

Gdyby nie wyglądał tak śmiesznie, pewnie spojrzałaby na niego z wyrzutem i odepchnęła dłoń, która wylądowała na jej kolanie. Włosy miał w kompletnym nieładzie, siano sterczało z nich na wszystkie strony, a dodatku, żeby rozśmieszyć dzieci,

zaczął drapać się po klatce piersiowej jak małpa. Nawet Cilla nie mogła opanować spontanicznego wybuchu śmiechu.

- A może pośpiewamy kolędy - zaproponowała Josey. Chłopcy zaintonowali „Jingle Bells” i po chwili wszyscy przyłączyli się do nich. Wszyscy z wyjątkiem Cilli. Siedzący obok niej i śpiewający głębokim barytonem Wyatt czekał, aż Cilla przyłączy się do chóru. W końcu pochylił się nad nią i zapytał:

- Mowę ci odjęło? Dlaczego nie śpiewasz?

Ciepły oddech Wyatta na jej uchu i szyi sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Boże, dlaczego nie odsunęła się dalej od niego? Obejmując się rękoma, szepnęła:

- Wierz mi, że tak jest lepiej. Od mojego śpiewu mężczyźni zaczynają płakać.

Wyatt zaśmiał się i spojrzał na nią rozbawiony.

- Nie wyczuwasz rytmu?

- Ani rytmu, ani melodii - odparła, czując jak jego bliskość rozgrzewa każdą kroplę jej krwi. Nie chcąc poddać się nagłej chęci przytulenia się do niego, Cilla zwróciła wzrok w inną stronę. Jednak to nie wystarczyło, żeby zniechęcić Wyatta. Czuła na sobie jego wzrok, który był jak delikatna pieszczota.

- Myślałem, że ktoś o anielskiej twarzy ma też anielski głos - powiedział.

- Wyrosłaś na piękną kobietę, Cillo Raw-lings.

Cilla spojrzała na niego z dezaprobatą, modląc się w duchu, żeby nie usłyszał bicia jej serca.

- Wiem, o co ci chodzi, kuzynie, ale to ci się nie uda - powiedziała cicho, tak żeby inni nie mogli jej usłyszeć. - Znajdź sobie kogoś innego, komu będziesz mógł zawrócić w głowie.

- Po co mam szukać kogoś innego, skoro ty jesteś obok. Wiesz, że się czerwienisz?

- Nieprawda!

- Ależ tak. O, właśnie tu.

Wyatt wyciągnął rękę i przesunął palcem po jej policzku, sprawiając, że jeszcze bardziej się zaczerwieniła. Cilla chwyciła go za rękę. W chwili kiedy go dotknęła, uśmiech zniknął z jego twarzy. Coś błysnęło w jego oku, coś, co sprawiło, że zaschło jej w gardle, a serce zabiło jeszcze szybciej.

- Nawet się nie waż.

Kiedy wjechali w skalisty kanion, będący zachodnią granicą rancza, zaczął wiać ostry wiatr. Już po chwili Gable i Wyatt stracili kowbojskie kapelusze, a włosy Cilli i Josey zasłoniły im oczy. Największą radość miały dzieci, kiedy kępki siana zaczęły fruwać nad ich głowami.

- To będzie dobre miejsce na szukanie drzewka - powiedział Gable, ściągając lejce. - Pamiętajcie, że mamy znaleźć choinkę, która zmieści się w naszym domu. Nie chcę choinek olbrzymów. W porządku?

- Ale, tato, to żadna zabawa.

- Zawsze to mówicie.

- I ścinamy drzewko, które i tak trzeba jeszcze przeciąć na pół, żeby zmieściło się w jadalni - powiedziała ze śmiechem Josey. - Kochanie, akurat w tej sprawie wcale nie jesteś lepszy od dzieci.

- Nie będę zaprzeczał - odparł Gable.

- Choinka musi być tak duża, żeby zmieściły się pod nią wszystkie prezenty - wtrącił Wyatt. - No, dzieciaki, do roboty.

Dzieciom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Podniecone pobiegły w stronę najbliższych drzew. Patrząc na nie, Gable z dezaprobatą pokręciła głową.

- Lepiej będzie, jeśli pójde z nimi. Mam przeczucie, że Wyatt i dzieci wykręcą jakiś numer.

- On się zmienił, wiesz - powiedziała Josey, kiedy Gable

również zniknął za jałowcami, okalającymi wejście do kanionu.

- Nie mogę wprost uwierzyć, jak bardzo.

Cilla popatrzyła na nią zdziwiona.

- Kto? Gable? - zapytała.

- Nie. Wyatt. Nie mów mi, że tego nie zauważyłaś. Cilla zauważyła tylko jedno: Wyatt lubił flirtować tak samo

jak kiedyś. Już raz ją zranił i zrobi to ponownie, jeśli tylko mu zaufa. Ale oczywiście nie mogła tego powiedzieć Josey.

- Nie, naprawdę nie zauważyłam - powiedziała ostrożnie.

- Choć z drugiej strony rzadko go ostatnio widywałam. Wyatt był zajęty sporządzaniem planów domu Kat, a ja nadrabiałam zaległości towarzyskie.

- Właśnie o tym mówię - wyjaśniła Josey. - Nie zdziwiło mnie to, że zaofiarował swoją pomoc Kat i Lucasowi, ale to, że tak bardzo zaangażował się w ten projekt. I muszę przyznać, że jego pomysł na pokój dziecięcy jest naprawdę wspaniały. Poza tym Wyatt jest tu już od tygodnia, a jeszcze ani razu nie był w Crossroads. Pamiętam, że tylko raz podczas wizyty u nas stronił od tego miejsca; to było wtedy, kiedy czymś się zatruł.

- Tak, ale wtedy wszyscy byli młodzi i beztroscy - zauważyła Cilla. - Flynn miał nawet swoje własne miejsce przy barze, prawda? Teraz, kiedy każdy ma rodzinę, wszystko wygląda inaczej. Może Wyatt nie ma ochoty sam tam chodzić.

- A może znudziło go samotne odwiedzanie barów i myśli o stabilizacji. Przekroczył już trzydziestkę. Nie byłby pierwszym mężczyzną w tym wieku, który doszedłby do wniosku, że bycie kawalerem to wcale nie jest takie wspaniałe rozwiązanie.

- Może - odpowiedziała Cilla, wzruszając ramionami. Nowy, odmieniony Wyatt Chandler mógł oszukać Josey, ale nie ją. Mężczyzna, w którym zakochała się w wieku siedemnastu lat, nie dbał o święta, tradycje rodzinne ani o co-

kolwiek, co było związane z głębszymi przeżyciami. Zawsze < kpił sobie z jej marzeń o domku z ogródkiem, mężu i gro-i madce dzieci. Jeśli nawet Wyatt wydawał się odmieniony, to tylko po to, żeby łatwiej ją zdobyć.

Była tego pewna. Prawdziwej natury człowieka nie odmienisz.

- No, to jest to! Znalazłem choinkę! Chodźcie ją zobaczyć! j Triumfalny okrzyk Joeya poderwał wszystkich do biegu. Kiedy Cilla znalazła się na miejscu, nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok Gable'a i dzieci stojących przed wybranym drzewkiem, i Cała czwórka jak na komendę zwróciła się do Josey.

- Mamo, prosimy, mamó - odezwali się błagalnym tonem.

- No, mamusiu - dołączył do nich Wyatt. - Nie jest wcale taka duża.

Najwyżej siedem metrów.

Cilla spojrzała na choinkę i prawie zakrztusiła się ze śmiechu. Wyatt dobrze oszacował jej wysokość. To drzewko nie zmieściłoby się nawet do stodoły.

- No, mamusiu - zaśmiała się Cilla. - Nie jest wcale taka wysoka. Trzeba ją tylko trochę przyciąć.

- Przyciąć to można paznokcie u nóg - zażartowała Josey. - Musimy przynieść tu piłę łańcuchową, tylko nie wiem, jak ją załadujemy na wóz. Czy naprawdę to jest to, czego chcecie?

Tym razem głos zabrał Gable.

- Posłuchaj, skarbie. Zmieszczą się na niej wszystkie bombki, jakie mamy. No, co ty na to?

- Co ja na to? Myślę, że jak Alice zobaczy tę choinkę, to nas wszystkich pozabija. Ale co tam - zaśmiała się. - Pewnie i tak wcale się nie zdziwi.

- No to załatwione!

- Wyatt, przynieś szybko piłę łańcuchową, zanim Josey zmieni zdanie.

- Czy teraz, kiedy mamy taką dużą choinkę, Mikołaj przyniesie nam więcej prezentów?

Mandy spojrzała z góry na Joeya i powiedziała:

- Najwięcej przyniesie najstarszemu dziecku, a więc nie tobie.

- Mamo!

Dorośli wybuchnęli śmiechem i zapewnili chłopców, że nikt nie wie, jakie prezenty szykuje w tym roku Mikołaj. Potem Cilla i Jossy pokazywały Gable'owi, gdzie jeszcze powinien przyciąć drzewko. Kilka minut później ogromny świerk runął na ziemię, jak gładko ogolony, ale pijany kowboj.

- No, a teraz najtrudniejsze zadanie - powiedziała Josey, kiedy Gable wyłączył piłę. - Musimy załadować ją na wóz. Choinka jest tak duża, że zajmie prawie cały tył. Nie wiem, gdzie my się zmieścimy.

- Możecie zająć nasze miejsca, mamo - powiedzieli szybko chłopcy. - My chcemy wrócić do domu na piechotę.

- Ja też - wtrąciła Mandy. - Przecież to nie tak daleko. W ten sposób zwolniły się miejsca z przodu, ale i tak było ich za ciasno dla czworga dorosłych ludzi. Gable zaczął drapać się w głowę.

- Jakoś się ściśniemy. Josey może usiąść mi na kolanach.

- A Cilla usiądzie na moich - dokończył Wyatt, zadowolony jak kot, który właśnie upolował ptaka.

- O nie, nie, dziękuję bardzo - zareagowała szybko Cilla. - Ja też pójdę na piechotę. Dzieci mają rację. To przecież nie jest daleko.

Rozbawiony Wyatt spojrzał na nią spod oka.

- Co się dzieje, Prissy? Boisz się?

- Ciebie? - odparowała. - Chyba żartujesz.

- W takim razie wszystko jasne. Pojedziemy we czwórkę. No i wpadłam w pułapkę, pomyślała Cilla. Zanim zdążyła jakoś się wykręcić, Gable i Wyatt zaczęli ładować choinkę na wóz. Kilka minut później Gable siedział już na miejscu

woźnicy, trzymając na kolanach Josey. Wyatt usiadł obok nich i z uśmiechem wyciągnął rękę do Cilli.

Stojąc na ziemi i patrząc na jego figlarne spojrzenie, przez chwilę walczyła w duchu z chęcią wejścia na wóz i znalezienia się w jego ramionach. Był jedynym mężczyzną na świecie, który, żartując sobie z niej, sprawiał jednocześnie, że go pragnęła. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo jej tego brakowało.

Patrzyła na jego wyciągniętą silną dłoń, czując, jak ogarnia ją radosne podniecenie. Jak to możliwe, że ciągle miał nad nią taką władzę? Była przekonana, że wszystko między nimi skończone, że zapomniała o nim na dobre, a tymczasem na samą myśl o dotyku jego ręki i zajęciu miejsca na jego kolanach, nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Powinna uciec stąd czym prędzej i zatrzymać się dopiero po drugiej stronie Ameryki. Tylko w ten sposób mogła ochronić przed nim swoje serce. Tylko że teraz była dorosłą kobietą i powinna lepiej niż przed dziesięć laty poradzić sobie ze swoimi uczuciami. Musi ukryć je głęboko na dnie serca, tak żeby już nikt nie mógł jej skrzywdzić. I to właśnie zamierzała zrobić.

Zdecydowanym ruchem podała mu rękę i z wyraźną satysfakcją dostrzegła wyraz zdziwienia malujący się w jego oczach. Jej usta rozszerzyły się w delikatnym uśmiechu. Czy on myślał, że się przestraszy? Może już nadszedł czas, by mu pokazać, że Cilla Rawlings, która dziesięć lat temu chodziła za nim jak szczeniak, jest dojrzałą kobietą, która umie radzić sobie z mężczyznami. Chciał z nią flirtować - proszę bardzo.

- Na pewno tego chcesz? - spytał, uśmiechając się, gdy Cilla ostrożnie usiadła mu na kolanach. - Ludzie zaczną gadać.

- Jacy ludzie? Są tu tylko Gable, Josey i dzieci.

- A my nikomu nic nie powiemy, prawda, -kochanie? -Josey odezwała się uroczystym tonem.

253

- Ależ powiemy - nie zgodził się z nią mąż. - Gdy tylko wrócimy do domu, zadzwonię do Sydneya i powiem, żeby umieścił tę wiadomość na pierwszej stronie „Gazette”. Jutro o tej porze cała okolica będzie wiedzieć, że w Double R dojrzewa nowy, namiętny romans.

- Czy to się właśnie zaczyna, kuzynko? Nowy, namiętny romans? - zapytał Wyatt.

Chciała zaprzeczyć, ale serce biło jej tak mocno, że nie potrafiła skłamać na zawołanie. Jak gdyby nigdy nic oparła się wygodniej o Wyatta i, lekko się uśmiechając, powiedziała:

- W twoich marzeniach, Chandler. Tylko w twoich marzeniach.

Rozdział 5

Cilla nie wiedziała, jak zdołała dojechać do domu i nie zwariować. Wszystkie jej zmysły były wyostrzone. A to wszystko przez Wyatta. Otoczona silnym ramieniem mężczyzny, czuła jego zapach, a ilekroć wóz wjeżdżał na nierówność, przytulała się mocniej do jego szerokiej piersi. Co prawda śmiała się razem z innymi, ale serce skakało jej jak pstrąg w strumieniu.

Będąc tak blisko Wyatta, czuła przez skórę jego siłę. Kiedy mężczyzna śmiał się, ten dźwięk przeszywał jej ciało jak podmuch wiatru poruszający trawę. To było przejmujące uczucie. Cilla nie mogła powstrzymać się przed zamknięciem oczu i smakowaniem tej chwili.

- Znowu przeniosła się w strefę ozonową. Patrzcie, ona zasypia. - Wyatt strzelił palcami przed jej twarzą i uśmiechnął się. - Ziemia do Prissy.

Kochanie, na jakiej planecie się znajdujesz?

Cilla zamrugła gwałtownie i zobaczyła tuż koło siebie nos Wyatta. A błysk w jego oku zdawał się mówić, że mężczyzna dobrze wie, co się z nią dzieje. Przerazona, poczuła, jak oblewa ją rumieniec.

- Nie nazywaj mnie tak! - powiedziała ze złością.

- Jak? Prissy czy kochanie?

- Ani tak, ani tak!

- Nie drocz się z nią, Wyatt - wtrąciła Josey. - Wiesz, że nie cierpi, kiedy mówi się do niej Prissy.

- Właśnie dlatego to robi - powiedziała Cilla, obrzucając Wyatta ognistym spojrzeniem. - Niektórym ludziom wystarczy pokiwać palcem i już się śmieją.

Niezrażony jej docinkami, Wyatt ciągle się uśmiechał.

- Sugerujesz, że nie jestem dość wyrafinowany?

- Wiesz co, jeśli...

- No, dzieci, przestańcie wreszcie walczyć ze sobą - wtrącił rozbawiony Gable. - Jeśli będziecie się tak zachowywać, Mikołaj nie przyniesie wam prezentów.

Wyatt mocniej objął Cillę i powiedział:

- W takim razie muszę być bardzo, bardzo grzeczny. Co ty na to, kochanie? Myślisz, że potrafię być grzeczny?

Przed oczami stanęły jej sceny sprzed lat. Grzeczny? - pomyślała rozgniewana. Wszystko pasowało do Wyatta, tylko nie to.

- Dobrze wiesz, że nie, Chandler.

Dalszą podróż do domu Cilla pamiętała jak przez mgłę. Siedząc sztywno na kolanach Wyatta, patrzyła przed siebie i czuła się tak, jakby mrówki przebiegały jej po całym ciele. Wreszcie na horyzoncie ukazał się dom. Chciała znaleźć się tam jak najszybciej. Potrzebowała trochę czasu dla siebie, i to natychmiast. Gdy tylko Gable zatrzymał wóz przed gankiem, szybko zerwała się z kolan Wyatta.

- Cilla, poczekaj.

Wyatt chciał jej pomóc zejść, ale nie zdążył nawet ruszyć ręką. Cilla zwinnie przeskoczyła przez burtę wozu i podeszła do Josey.

- Może w czasie gdy panowie będą rozładowywać wóz, przyniosę ozdoby choinkowe?

Josey skinęła głową.

- Są na strychu, ale sama ich nie zniesiesz. Samych lampek jest tyle, że można by nimi załadować małą ciężarówkę. Po-

zwól, że najpierw pokażę, gdzie ustawić choinkę, a potem przyjdę ci pomóc.

Kiedy Cilla weszła na strych, stwierdziła, że przez ostatnie dziesięć lat niewiele się tu zmieniło. Wciśnięty pod okap i odizolowany od reszty domu, wypełniony był starymi meblami i stęchłym zapachem przeszłości. To tutaj, kiedy była dzieckiem, spędziła wiele godzin z Kat, grzebiąc w zakurzonych kufrach i przymierzając różne stroje należące do dawno zapomnianych przodków Rawlingsów. Później, kiedy wyrosły już z takich dzieciennych zabaw, zrobiły sobie na strychu kryjówkę przed chłopcami. Rozmawiały o szkole, chłopcach, tańcach i pierwszych miłościach. Powierzały sobie najgłębsze sekrety i marzenia, zwłaszcza te dotyczące mężczyzn.

Tak było do czasu owych wakacji, które spędziła na ranczu przed dziesięciu laty. Cilla nigdy nie powiedziała nikomu o Wyattcie.

Weszła głębiej, w półmrok, i spoglądając zamyślonym wzrokiem na tekturowe pudła i porzucone stare meble, zaczęła przypominać sobie przeszłość i tamto wspaniałe lato. Długie, upalne dni. Sekretne pocałunki. Pieszczoty skrywane przed wszystkimi.

Była taka młoda, taka naiwna i tak bardzo zakochana. Myślała, że tylko Wyatt wie o wszystkim. Ale patrząc na tamte wydarzenia z perspektywy czasu, uświadomiła sobie, że mieszkańcy rancza na pewno wszystkiego się domyślali. Ta myśl przeraziła ją. Wtedy tak bardzo go pragnęła, że nie obchodziło ją, co pomyślą inni.

Ogarnął ją żal i melancholia za tym, co mogło się wydarzyć. Podeszła do rzeźbionej toaletki, która należała do jakiejś kobiety z rodu Rawlingsów, i na grubiej warstwie kurzu narysowała serce, a w środku dwie litery: C W. Przypomniała

jej się melodia dziecięcej piosenki o chłopcu i dziewczynce, którzy siedzą na drzewie. I nagle z oczu popłynęły jej łzy.

Dźwięk kroków, dochodzący z korytarza, przerwał te sentymentalne wspomnienia. Cilla szybko otarła łzy z policzków i starając się naturalnie uśmiechnąć, odwróciła się do nadchodzącej Josey.

- Zapomniałem już, że tu jest tyle rupieci. - Zamiast Josey na progu stał Wyatt. Od razu zauważył ślady łez. - Josey powiedziała, że trzeba ci pomóc. Co się stało?

- Nic.

- To dlaczego płaczesz?

- Wcale nie płaczę - skłamała i odwróciła się od niego. - Ja tylko.

Gorączkowo szukając jakiejś usprawiedliwienia, zamarła, gdy jej wzrok padł na toaletkę, na której wcześniej napisała ich inicjały.

Boże, co ona teraz zrobi? Jeśli Wyatt zobaczył ten napis, nie da jej spokoju. Musi coś zrobić, zetrzeć to jakoś. Zaczęła się rozglądać za jakąś szmatką, ale wtedy usłyszała własne myśli: przyszłaś tu po ozdoby choinkowe, a nie po to, żeby sprzątać; on pomyśli, że zwariowałaś.

- Tylko co? - zapytał Wyatt, podchodząc bliżej. W panice zerwała ze ściany słomkowy kapelusz.

- Oglądałam te stare rzeczy i pewnie zaproszyłam oko - powiedziała.

Udawała, że przygląda się kapeluszowi, a po chwili niedbale rzuciła go na toaletkę.

- Zdaje się, że Alice dawno tu już nie sprzątała.

Choć wytłumaczenie było logiczne, coś się tutaj nie zgadzało. Wyatt wyciągnął rękę i zdjął z jej włosów splątaną pajęczynę.

- Jeśli pokażesz się na dole w takim stanie, zaraz zaczną się domysły.

Dotknięcie jej i fantazje na temat tego, co mogliby robić w zaciszu strychu, było oczywiście błędem. Gdy tylko -Wyatt dotknął czoła Cilli, poczuł, że cała sztywnieje, a jej oczy rozpalają się wewnętrznym żarem. Powinien był zostawić ją w spokoju, ale natychmiast pojawiły się obrazy z przeszłości. Poczuł, że zawładnęła nim siła, której nie potrafił się oprzeć.

Ręka Wyatta zsunęła się z włosów na kark Cilli.

- O Boże, Cilla, muszę to zrobić.

Nie wiedział, czy ją przeprosza, czy ostrzega; wiedział tylko, że musi ją pocałować. I to natychmiast. Pochylił się nad nią i dotknął ustami jej ust. Jak człowiek uzależniony powiedział sobie, że poprzestanie tylko na jednym pocałunku. Tylko jednym. W końcu na dole czekali na nich kuzyni i nie było czasu na nic innego. Jeśli za chwilę nie zniosą ozdób choinkowych, ktoś może przyjść do nich na górę. I choć Wyatt nie dbał o to, co pomyślą inni, miał przeczucie, że Cilla może nie być zachwycona takim rozwojem wypadków.

Jednak gdy tylko jego usta dotknęły jej ust, wszelkie logiczne argumenty odeszły w zapomnienie. Wydawało się, jakby od dawna czekał na to, aby znowu trzymać ją w ramionach, smakować jej usta, zatracić się w jej ciepłe i zapachu. Przyciągnął ją bliżej. Boże, tak dobrze było ją czuć blisko siebie. Tak cholernie dobrze. Weszła w jego ramiona, jakby była dla nich stworzona. Dotyk jej piersi palił go od środka, jej wąskie biodra rozkosznie przylegały do jego bioder, obejmując sobą jego podniecenie. I wreszcie jej usta. Kobieta o tak uwodzicielskich ustach nie miała prawa być sama. Wyatt wpił się w jej pełną, seksowną dolną wargę, aż coś w Cilli zdawało się pęknąć. Wyszepiała jego imię i zaczęła całować go jak kobieta, która zbyt

długo była sama, zbyt długo bez mężczyzny. Całym sercem i duszą, całą gorączką swego ciała przylgnęła do niego, jakby już nigdy miała go nie wypuścić.

Objął ją ramionami jeszcze mocniej. Wyatt czuł, że za chwilę oszaleje. Mógł ją mieć... tutaj, teraz, tak jak marzył o tym od chwili, gdy pierwszego dnia zobaczył ją na ganku. Była tak rozpalona, chętna i spragniona jak on. I wreszcie byli sami. Wystarczyło tylko, że pociągnie ją na ziemię.

- Hej! Wyatt! Cilla! - krzyknął z dołu Gable. - Co z wami? Czy wy produkujecie te bombki?

Nieczuła na wszystko oprócz bólu pożądania, którego wypierała się tak długo, Cilla słyszała jedynie szum własnej krwi. To właśnie tego w samotne noce domagało się jej ciało. W końcu jednak słowa Gable'a przebiły się przez zasłonę zmysłów, która spowiała jej umysł, i Cilla usłyszała kroki na korytarzu. Odsunęła się od Wyatta, z trudem zaczerpnęła powietrza i spojrzała na niego przerażona.

Mężczyzna szybko krzyknął do Gable'a, że zaraz zejda.

- Nie wściekaj się na mnie, kochanie. Gable niczego nie podejrzewa. Zresztą to był tylko pocałunek.

- Tylko pocałunek! - mruknęła sarkastycznie. To był właśnie cały Wyatt. Wszystko, co zdarzyło im się przeżyć, kwitował krótkim: to tylko pocałunek, to tylko wakacyjny romans, to tylko przelotna znajomość.

Ona sama nigdy dla niego nic nie znaczyła i nigdy nie będzie znaczyć. He razy musiał ją Zranić, żeby wreszcie to do niej dotarło?

W jej oczach pojawiły się łzy, kiedy obrzuciła go oskarżającym spojrzeniem.

- Wcale się nie zmieniłeś. Może uda ci się oszukać resztę rodziny, ale ja zawsze będę wiedzieć lepiej.

- W takim razie wiesz więcej niż ja. O czym ty, do diabła, mówisz?

Gdyby tak dobrze go nie znała, może nabrałaby się na jego szczerze zdziwiony wyraz twarzy. Ale Cilla wiedziała lepiej.

- Te twoje uczynki dobrego wujka - warknęła. - Projektowanie pokoju dla dzieci Kat, oferowanie, że pomożesz go zbudować, szukanie choinki, kiedy tak naprawdę święta w ogóle cię nie interesują... to wszystko nie trzyma się kupy. Josey uważa, że stałeś się bardziej uczuciowy, że chciałbyś ustabilizować swoje życie.

- Ale ty w to nie wierzysz, prawda? - powiedział niskim głosem, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie. - Nie mogła w to uwierzyć. Gdyby mu zaufała, jej serce znowu należałoby do niego, a na to nie mogła sobie pozwolić. - Muszę stąd wyjść! - Odwróciła się plecami do Wyatta i spojrzała wokół roztargnionym wzrokiem. - Ozdoby choinkowe. Boże, kompletnie o nich zapomniałam.

- Są tam, w rogu. Do diabła, Cilla, poczekaj chwilę, pomogę ci.

Nie miała jednak zamiaru mu na to pozwolić. Podeszła do stosu pudełek z napisem „ozdoby choinkowe”, wzięła tyle, ile zdołała unieść, i Obeszła Wyatta szerokim łukiem. Nie przejmując się tym, że praktycznie uciekała przed nim, w pośpiechu opuściła strych.

Oszołomiony Wyatt spoglądał za nią, zastanawiając się, co właściwie stało się przed chwilą. Z wyjątkiem incydentu na wozie, praktycznie przez cały tydzień udawało mu się zachować dystans. Nie dotykał jej, nie flirtował z nią, nawet na nią nie patrzył. Był z siebie dumny i po upływie tygodnia doszedł do wniosku, że niezależnie od uczuć, jakie w nim wzbudzała, z łatwością mógł nad nimi panować. Był tak pewny siebie, że kiedy wszedł na strych, żeby jej pomóc, dałby sobie rękę uciąć, że całowanie jej to ostatnia rzecz, na jaką by sobie pozwolił.

Do diabła, nawet nie pamiętał, kiedy jej dotknął.

Czując się jak człowiek, który spadł z wysokich schodów, starał się przekonać siebie samego, że to tylko chemia. Cilla wyrosła na piękną kobietę i jego ciało zareagowało na nią tak, jak zareagowałoby na każdą inną przedstawicielkę płci pięknej. Nie było w tym nic osobistego.

Akurat! To dlatego w nocy nie możesz przestać o niej myśleć? Spójrz prawdzie w oczy. Przestań się oszukiwać. Przez cały czas, kiedy zdawało ci się, że zapomniałeś o niej, liczyłeś na sposobność, żeby znowu ją zobaczyć. Nigdy o niej nie zapomniałeś i dobrze o tym wiesz.

Czuł się, jakby ktoś uderzył go prosto między oczy. Do diabła, tak nie może być. Życie idzie naprzód, a przeszłość powinna zostać za nim. Ale nawet kiedy próbował o niej zapomnieć, nie mógł pozbyć się tego wrażenia, jak to jest, kiedy trzyma ją w ramionach. Nie czuł się tak z żadną inną kobietą.

Dźwięk kroków wyrwał go z rozmyślań. Wyatt spojrział w stronę drzwi i zobaczył zatroskanego Gable'a.

- Myślałem, że przyniesiesz resztę dekoracji. Pomóc ci w czymś?

- Tak - mruknął Wyatt ponurym głosem. - Ktoś powinien zbadać moją głowę. Chcesz wziąć małe pudełka czy to jedno duże?

Zdziwiony tą nagłą zmianą tematu, Gable powiedział nieco rozbawiony:

- Wezmę to duże. Dlaczego mam wrażenie, jakbym coś przegapił?

- Bo przegapiłeś - odpowiedział Wyatt, podając Gable'owi największe pudło. - Na razie musi ci wystarczyć tylko takie wyjaśnienie. - Wyatt wziął pudełka i kierując się w stronę drzwi, obrzucił kuzyna

piorunującym wzrokiem, gdy ten zaczął się znacząco uśmiechać. - Z czego, do diabła, tak się cieszysz?

- Z niczego - zaśmiał się Gable. - Wyglądasz, jakbyś był

na coś chory i właśnie przypomniało mi się, że jeszcze nie tak dawno sam miałem podobne symptomy. Mogę ci tylko powiedzieć, że to nie jest aż tak bolesne, jak ci się teraz wydaje.

- Co to, do diabła, ma znaczyć? Gable znowu się uśmiechnął.

- Niedługo sam się przekonasz. No, chodźmy. Trzeba ubrać wreszcie tę choinkę.

Wyatt ruszył po schodach za Gable'em, licząc, że uda mu się znaleźć jakąś wymówkę, żeby pójść sobie gdzieś i nie zarażać innych swoim podłym nastrojem. Ale w chwili kiedy znaleźli się w jadalni, otoczyły ich dzieci i, przekrzykując się jak stado sikorek, zaczęły rozpakowywać ozdoby.

- Popatrz, Wyatt - zwróciła się do niego Mandy. - Wujek Cooper dał mi to na moje pierwsze święta Bożego Narodzenia. Mam to już tyle, tyle lat. Ładne, prawda?

- To tylko stary kucyk - powiedział z dezaprobatą jeden z chłopców i wepchnął się przed siostrę. - Mój dinozaur jest o wiele lepszy. Spójrz, Wyatt. To T-Rex. Wspaniały, co?

Wyatt nie miał serca, żeby zepsuć im zabawę. Potargał pięciolatka po włosach.

- Tak, rzeczywiście robi wrażenie. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział takie stwory na choince.

- Jeszcze niewiele widziałeś - wtrąciła Josey. - Ich wujkowie zrobili sobie zawody, polegające na tym, który z nich kupi najbardziej horrendalną ozdobę. Na razie zwycięzcą jest T-Rex.

- Macie zamiar przegadać tak cały dzień? - krzyknął Gable z drugiego końca pokoju. - Moglibyście pomóc mnie i Cilli przy rozplątywaniu lampek. Ten, kto w zeszłym roku wrzucił je do pudełka, już chyba bardziej nie mógł ich poplątać.

Na twarzy Josey pojawił się uśmiech.

- To ty, kochanie, rozbierałeś w zeszłym roku choinkę, pamiętasz? - przypomniała mu łagodnym tonem.

- No właśnie, ktoś to byle jak wrzucił do pudełka - Gable zaśmiał się i trzeźwo skomentował jej uwagę. - Zakończmy już dociekania, kto był temu winien, i bierzmy się do roboty.

- Żartujesz sobie? - nie chciał popuścić Wyatt i razem z Josey podeszli do niego bliżej. - Nie pamiętasz już, o jakie straszne rzeczy oskarżałaś Josey? Josey szybko wymieniła kilka rzeczy i wszyscy wybuchnęli śmiechem. W końcu rozplatali lampki i przystąpili do żmudnej pracy dekorowania ogromnego drzewka. W ogólnym rozgardiaszu tylko Wyatt zauważył, że podczas tej pracy Cilla ani razu nie odezwała się do niego i unikała go jak ognia. Rozmawiała tylko z Gable'em i Josey i śmiała się razem z dziećmi. A kiedy zorientowała się, że jest po tej samej stronie choinki co Wyatt, natychmiast podawała lampkę któremuś z dzieci i przechodziła na drugą stronę.

Nie mogąc przestać na nią patrzeć, Wyatt wiedział, że dłużej tego nie zniesie. Powinien poważnie zastanowić się nad tym, co zrobić z Cillą. Ona uważała, że przez te dziesięć lat wcale się nie zmienił i jest tym, kim był - cynicznym draniem. Chciała wierzyć, że go nienawidzi, ale mimo to on ciągle miał na nią wpływ. Wyatt wiedział, że mógł ją przekonać do kolejnego romansu, ale, do diabła, przecież nie o to mu chodziło. Chciał... cholera, sam nie wiedział, czego chciał!

Zniesmaczony sobą samym, obwiniając Cillę o zburzenie mu świętego spokoju, Wyatt wycofał się w odległy kąt pokoju i przyglądał się jej z dezaprobatą. W tym momencie przyjechali Flynn i Tate. Tate od razu wybuchnęła śmiechem na widok gigantycznej choinki, po czym zaczęła przeglądać pudła. A Flynn usiadł na kanapie obok Wyatta, twierdząc, że stąd będzie doglądał pracy.

Jeden rzut oka na wyraz twarzy kuzyna kazał mu zapytać o powód złego humoru.

- Ktoś ci chyba nadepnął na odcisk. Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

To była icrótką, zimna i odpychająca odpowiedź. Nie zrażony tym Flynn podążył za wzrokiem Wyatta i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- To Gila znowu zawróciła ci w głowie, prawda?

- Jaka tam Cilla!

Flynn wyciągnął nogi i skinął głową, jakby to on sobie odpowiedział.

- A więc to o to chodzi. To cholernie denerwujące, co? Wierz mi, wiem coś o tym. Kiedy zorientowałem się, że zakochuję się w Tate, byłem naprawdę rozbity. Do dziś nie wiem, po co tak bardzo opierałem się czemuś, co jest takie, jakie powinno być.

- Nigdy nie mówiłem, że w kimkolwiek się zakochuję - odpowiedział Wyatt z kamienną twarzą.

- Nie musiałeś. Przecież to widać jak na dłoni - zaśmiał się Flynn. - Akurat ty bardzo na to zasługujesz. No,, kuzynie, pogódź się z tym. I zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze.

Rozdział 6

Spodziewając się, że gdy tylko nadarzy się okazja, Wyatt zastawi na nią pułapkę, Cilla spędziła kolejny tydzień, uważnie rozglądając się wokół siebie. Jednak prawie każdego dnia Wyatt chodził do domu Kat, gdzie z pozostałymi mężczyznami pracował nad dobudówką dla dzieci. Cilla sama już nie wiedziała, czy czuje z tego powodu ulgę, czy" rozczarowanie. Gdy czasami wpadali jednak na siebie, Wyatt zawsze pierwszy kończył rozmowę. A w jego oczach pojawiła się podejrzliwość. Podejrzliwość, która raniła ją do żywego.

Cilla starała się przekonać samą siebie, że to wyjdzie jej tylko na dobre. A jednak łapała się na tym, że szukała Wyatta wzrokiem, czekała na niego, marzyła o nim... i tęskniła za wspólnym przekomarzeniem się. Zdawało się, że to wszystko już minęło na dobre. A teraz szybko zbliżały się święta. I nic nie zapowiadało, że będą to święta radosne.

Pozostali członkowie rodziny pewnie tylko dlatego niczego nie zauważyli, że na ranchu działały się dziwne rzeczy. Już po raz drugi w tym tygodniu Gable oznajmił podczas kolacji:

- Ktoś przyozdobił kolejny kaktus.

Uwaga wszystkich skupiona była na tych wydarzeniach. W ciągu ostatnich siedmiu dni ktoś przyozdabiał kaktusy girlandami i papierowymi dekoracjami. Pierwszy, znajdujący się przy wjeździe na rancho, został odkryty przez Flynna w dzień po tym, jak ubrali choinkę. Wypytywano wszystkich mieszkańców rancha, ale nikt się nie przyznał. Od tego czasu trzy

kolejne kaktusy zostały udekorowane. Całe ranczo wręcz kipiało od domysłów.

- Gdzie? - zapytała Mandy z buzią pełną jedzenia.
- Na południe od kliniki - odpowiedział jej ojciec. - Zobaczyliśmy go razem z Wyattem, kiedy po południu pojechaliśmy do Flynnów.
- Czy wygląda tak samo jak poprzedni?
- Możemy go obejrzeć po kolacji?
- Były jakieś ślady? - zapytała Josey, przerywając podekscytowanym dzieciom. - Ktokolwiek to robi, zostawi w końcu jakiś ślad, który pomoże nam go zidentyfikować.
- Słusznie - zgodził się Wyatt. - Ale zbadaliśmy cały teren i niczego nie znaleźliśmy. Ten, kto to robi, ma głowę nie od parady.
- Może to Mikołaj wysłał jednego ze swoich elfów - powiedział z nadzieją w głosie Brian, zapominając o kolacji.

Pięcioletni Joey, szeroko otwierając oczy z podniecenia, dorzucił:

- Elfy nie zostawiają śladów. Przychodzą, odchodzą i nikt tego nie widzi. Tak jak większość dorosłych Cilla powstrzymała uśmiech i skinęła głową.
- Ja też o tym słyszałam, kochanie. Może masz rację. Te elfy są naprawdę sprytne.

Dzieci były skłonne przyjąć takie wyjaśnienie. Jednak kiedy nazajutrz na ganku pojawiły się dla nich prezenty, dorośli zaczęli się podejrzliwie uśmiechać. Cilla żałowała, że to nie ona wpadła na ten pomysł. Te wszystkie tajemnice tworzyły wspaniałą atmosferę świąt i komuś bardzo zależało na tym, żeby to Boże Narodzenie głęboko zapadło w pamięć dzieciom Raw-lingsów. Tylko kto to był?

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała Josey, kiedy po ko-

lacji razem z Cillą sprzątały ze stołu. - Teraz, kiedy panuje grypa i klinika jest pełna pacjentów, nawet nie mam czasu się podrapać. Myślałam, że to może ty. Albo Wyatt?

- Wyatt? - Cilla powtórzyła zdziwiona. - Nie sędzę. To prawda, że przez ostatnie dni poświęcał dzieciom dużo uwagi, ale szczerze mówiąc, nie wyobrażam go sobie, jak nocami bawi się w pomagiera Mikołaja. Flynn tak, ale nie Wyatt.

- Może masz rację. Kiedy chodzi o zrobienie komuś niespodzianki, Flynn zachowuje się jak dziecko. Jutro w klinice będę się widziała z Tate. Zapytam ją, czy nie zauważyła, jak Flynn wymyka się z domu w środku nocy. - Josey nadstawiła uszu, słysząc tupot dziecięcych nóg. - Zdaje się, że moje dzieci zamiast brać teraz kąpiel, grają z tatą na korytarzu w piłkę nożną. Lepiej będzie, jeśli do nich pójde. Nie zmywaj naczyń. Zajmę się tym, kiedy położę towarzystwo spać.

Cilla skinęła głową, choć wcale nie miała zamiaru pozwolić się obsługiwać jak gość w hotelu. Alice pojechała z wałówką do przyjaciółki, która miała grypę, a Josey miała ciężki dzień w klinice. Cilla postanowiła przynajmniej pozmywać naczynia. Gdy tylko Josey zniknęła za drzwiami, zaczęła wkładać naczynia do zmywarki.

Szum wody i stukanie talerzy skutecznie tłumiły wszelkie dźwięki, dochodzące z domu. Kiedy Wyatt przekroczył próg kuchni, niczego nie usłyszała. Spłukała rondel, w którym piekła się meksykańska potrawa, potem odwróciła się, żeby włożyć go do zmywarki i zamarła w bezruchu na widok Wyatta opartego o framugę, który w milczeniu obserwował każdy jej ruch.

Wydawało się, że serce jej stanęło, potem zaczęło gwałtownie bić, a w końcu wywołało duszności. Starając się skoncentrować na tym, co robi, Cilla szybko włożyła garnek na dolną kratkę i wyłączyła wodę. W ciszy, która nagle zaległa,

słyszeć było tylko głosy dzieci, które prosiły Gable'a o bajkę na dobranoc.

Kiedy Cilla spojrzała w stronę drzwi, Wyatt nadal tam stał i nie spuszczał z niej oczu. Gapił się na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy od dziesięciu lat. Jego podejrzanym bezruch sprawił, że gardło Cilli zacisnęło się z napięcia.

- Słucham - zapytała z uśmiechem, spuszczać wzrok, a potem spoglądając na Wyatta. - O co chodzi? Założyłam dwa lewe buty? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Wyatt wyprostował się, ale nie oderwał się od framugi drzwi.

- Myślałem o tym, co wydarzyło się na strychu.

- Wszystko już sobie powiedzieliśmy. O czym tu jeszcze mówić.

Cilla chciała wrócić do naczyń, ale Wyatt powstrzymał ją, nawet nie dotykając.

- Tak sądzisz? To jak zareagujesz, kiedy ci powiem, że tak naprawdę nigdy o tobie nie zapominałem?

Cilla spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

- To ma być żart? Kpisz sobie za mnie jak zawsze. Teraz powinien się uśmiechnąć, a w oku zamigotać mu -

figlarny błysk. Jednak Wyatt nadal patrzył na nią poważnym wzrokiem, a wyraz jego twarzy nie zdradzał nastroju do żartów.

- Czy wyglądam teraz, jakbym żartował?

O Boże, on naprawdę mówił poważnie. Serce waliło jej jak młotem, a twarz zbladła.

- W takim razie masz problem - odparowała. - Ponieważ tobie się wydaje, że nigdy o mnie nie zapomniełeś, a ja wiem, że z tobą skończyłam.

Dlatego ta rozmowa jest zbędna.

Po raz pierwszy coś na kształt uśmiechu pojawiło się w kącikach jego ust.

- Miałem przeczucie, że tak powiesz. Gdybyś jednak zapomniała, to te kilka pocałunków...

- Niczego nie zapomniałam! - odpaliła. - Ani jednej sekundy z tamtego dnia, kiedy weszłam do stajni i zobaczyłam cię z tamtą kobietą. Nie mów mi więc o kilku pocałunkach. Straciłam głowę i tyle. To się więcej nie powtórzy.

Niezrażony jej gwałtownym wybuchem, Wyatt kontynuował:

- Jak na osobę, która mnie nie znosi, jesteś bardzo namiętna, kochanie. I przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie: czujesz do mnie to samo, co ja czuję do ciebie.

- Nie!

- Ależ tak - upierał się Wyatt. - "Myślałem, że czas zrobi swoje i zapomnę o tobie. Ale w chwili kiedy znowu cię zobaczyłem, wiedziałem, że ostatnie dziesięć lat niczego nie zmieniło. W gruncie rzeczy przez cały ten okres czekałem tylko na to, aż nasze drogi znowu się skrzyżują. Mogę się założyć, że twoje życie wyglądało tak samo. Spójrz prawdzie w oczy, kochanie. Jesteśmy dla siebie stworzeni, czy to ci się podoba, czy nie. Cilla miała ochotę wybuchnąć lekceważącym śmiechem.

Przeświadczenie Wyatta, że przez te wszystkie lata myślał tylko o niej, wydawało się absurdalne. Jednak coś w głębi duszy mówiło jej, że to może być prawda. Cilla poczuła nagle paraliżujący strach.

- Jediną rzeczą, na jaką w tej chwili patrzę, są brudne naczynia.

Odwróciła się do niego plecami i wzięła do ręki kolejny garnek.

Wydawało się, że Cilla jest całkowicie skoncentrowana na swojej pracy, jednak wszystkie jej zmysły były nastawione na miejsce, z którego Wyatt po cichu ją obserwował. Nie musiała

na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że ją obserwuje. Czowała, jak jego wzrok dotyka ją, studiuje, bada. W końcu Wyatt odezwał się szorstkim głosem. - Skoro tego chcesz, proszę bardzo. Ale ostrzegam cię, Cilla. Nie zrezygnuję z ciebie. Tak czy inaczej, odzyskam cię.

Cilla nie słyszała, jak wychodził z kuchni, ale doskonale wiedziała, kiedy go już w niej nie było. Kuchnia zrobiła się nagle pusta i cicha, a ona, tak jak przez ostatnie dziesięć lat, została sama. Duma, która jeszcze przed chwilą nie pozwalała jej zadrzeć, gdzieś zniknęła. Trzęsąc się, upuściła garnek i objęła się rękoma w pól.

Nie obchodziło jej to, co powiedział; i tak nie mówił poważnie - przekonywała samą siebie. Przynajmniej jeśli chodzi o ich wspólną przeszłość. Wąż nie zmieni swojej natury, a dziesięć lat temu Wyatt udowodnił, że zachowuje się jak wąż. Mówił, że chce ją odzyskać, ale tak naprawdę chce znowu mieć ją w łóżku. Tylko na tym mu zależało. A kiedy ofiarowała mu swoją duszę i serce, on od razu znalazł sobie inną kobietę. Nie pozwolę, żeby to wszystko się powtórzyło - przyrzekła sobie. Mężczyzna, który już raz zrobił coś takiego, zrobi to ponownie. Nie zakocham się w nim, choćby nie wiem jak bardzo zależało mu na mnie. Cilla odetchnęła z ulgą na myśl, że podjęła słuszną decyzję. Po chwili usłyszała kroki Gable'a i Josey, którzy po wysłaniu dzieci do łóżek zazwyczaj odpoczywali w salonie przy filiżance gorącej czekolady. Szybko skończyła zmywanie i przyłączyła się do nich. Wyatt już tam był. W chwili gdy ich spojrzenia się spotkały, serce Cilli zaczęło szybciej bić. Bała się, że Wyatt nawiąże do ich rozmowy w kuchni, ale zapytał tylko Gable'a o byka, który próbował uciekać, gdy tylko nadarzyła mu się okazja. Później rozmowa zeszła na specjalną odmianę papryki, którą rodzina planowała posadzić na wiosnę, i wre-

szcie na temat przypuszczalnego miejsca i czasu kolejnego pojawienia się tajemniczego stroiciela kaktusów.

W ciągu następnych kilku godzin Wyatt, nie powiedział ani nie zrobił niczego niestosownego. Nawet rzadko na nią spoglądał. Mimo to Cilla czuła się, jakby siedziała na minie. Przy kolacji siedziała przy przeciwległym końcu stołu, a mimo to czuła, jak jej serce podskakuje, ilekroć Wyatt otworzył usta. Wciąż czekała na coś, co nie nastąpiło. O dziesiątej była kompletnie wykończona.

- Nie obrażcie się - odezwała się, gdy na chwilę ucichły rozmowy - ale muszę się położyć. Strasznie chce mi się spać.

- Ej, no co ty - zaprotestowała Josey. - Jest jeszcze wcześniej.

Czując się skrepowana natrętnym wzrokiem Wyatta, Cilla odstawiła ledwie napoczętą czekoladę i podniosła się z krzesła.

- To wszystko przez tę czekoladę - powiedziała, starając się uśmiechnąć. - Oczy same mi się zamykają.

- Coś ty taka wrażliwa - droczyła się z nią Josey. - Przyznaj, że znudziła cię rozmowa z nami. Wcale nie jesteś śpiąca. Jesteś po prostu śmiertelnie znudzona.

- Gdybym była znudzona, już dawno chrapałabym przy stole - odparła z uśmiechem. - Dobranoc. Do zobaczenia -rano.

Cilla odwróciła się i jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Wyatta. Uśmiech zniknął z jej twarzy, ale ponieważ Josey również wstawała od stołu, nikt tego nie zauważył. Czując, że udało jej się uniknąć kolejnej konfrontacji, czym prędzej pobięła na górę.

Było już po północy, kiedy Wyatt bezszelestnie otworzył drzwi sypialni Cilli i wsunął się do środka. Otoczyła go kompletna cisza, która jeszcze bardziej uwydatniała łomotanie jego

serca. Oparł się o zamknięte drzwi, starając się przyzwyczaić oczy do ciemności. Przez na wpół zasłonięte okna, zajmujące połowę tylnej ściany, wpadało światło księżyca. Nie musiał więc długo czekać. Pokój był bardzo podobny do jego pokoju. Duży i przestronny, miał prawie trzy metry wysokości, a podłoga była -wyłożona drewnem cedrowym. Na środku stało ogromne łóżko z drzewa orzecha laskowego, które w nowoczesnym domu -zająłoby cały pokój. Było wysokie, z baldachimem i umieszczone co najmniej pół metra nad ziemią. Pośrodku olbrzymiego materaca, przykryta co najmniej stuletnią kołdrą, leżała -Cilla.

Połowę jej twarzy zakrywała poduszka, ręka spoczywała na piersi, a wokół głowy wiły się rozrzucone w nieładzie ciemne loki. Wyglądała jak mała dziewczynka, której pod koniec dnia zabrakło energii i zasnęła w pół słowa. Miękka i bezbronna, z lekko rozchylonymi ustami, była martwa dla świata.

Jak zauroczony, Wyatt nie mógł oderwać od niej wzroku. Nigdy nie widział jej w takiej sytuacji. Przed laty spędzali ze sobą praktycznie każdą wolną chwilę, ale nigdy ze sobą nie spali. Ani razu. Dopiero teraz Wyatt zrozumiał, co stracił.

Nie mogąc się oprzeć, Wyatt po cichu podszedł do krawędzi łóżka. Miał ochotę wejść pod kołdrę i łagodnie wybudzić ją ze snu. Na razie jednak musiał zadowolić się patrzeniem. Wiedział, że jeśli ulegnie namiętności i dotknie Cilli, nie będzie miał dość siły, żeby na tym poprzestać.

Boże, ona była taka piękna! Z bliska widział, jak sen maluje się na jej twarzy, jak czarne rzęsy kontrastują z jej skórą. Cilla mruknęła, westchnęła i jeszcze bardziej zapadła się w sen, nieświadoma, że on jest tak blisko. Czy to o mnie śni? - pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Raczej nie. Gdyby tak było, pewnie pojawiłbym się w jej snach jako potwór albo jakiś koszmar.

Ale mój czas już się zbliża - dodawał sobie otuchy. Mogła go ignorować, uciekać przed nim, kłamać w żywe oczy, ale przecież oboje wiedzieli, że to, co czuli do siebie przed laty, miało ponadczasową moc. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy zmusi ją, żeby to przyznała. A to, co stanie się potem, wiedział jeden tylko Bóg.

Teraz jednak Wyatt miał inny problem. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby ją obudzić, jednocześnie powstrzymując rozpalające go pożądanie.

- Cilla?

Choć starał się mówić bardzo cicho, żeby jej nie przestraszyć, to w domu pogrążonym we śnie jego głos zabrzmiał wręcz donośnie. Jednak Cilla niemal śle nie poruszyła. Wyatt zbliżył się jeszcze bardziej, stojąc teraz niecały metr od łóżka.

- Priscilla! Obudź się. Słyszysz? Muszę z tobą porozmawiać. Jediną odpowiedzią było ciche chrapnięcie.

Wyatt obiecał sobie, że potem się z nią policzy. Ale najpierw musi ją obudzić. Podszedł jeszcze bliżej i wyciągnął rękę.

- Cholera, Prissy, dlaczego nikt mi nie powiedział, że tak twardo śpisz? Co mam zrobić, żeby cię obudzić? Wylać ci na głowę szklanekę wody? Cilli wydawało się, że słyszy we śnie nawoływania Wyatta. Zanurzyła twarz głębiej w poduszce, zła, że nawet w nocy nie może się od niego uwolnić. Nie miała jednak siły, żeby się obudzić i kazać mu odejść.

- Później - mruknęła. - Kiedy nie będę tak zmęczona.

- Do diabła, kobieto, nie każ mi wchodzić pod twoją kołdrę. Obudź się! Co miał na myśli, mówiąc o wchodzeniu pod kołdrę? Przecież był snem, a więc nie mógł być z nią w łóżku. Wtedy Wyatt dotknął jej ramienia i potrząsnął nim. To wydawało się takie rzeczywiste! Przecież to niemożliwe,

uspokajała się. Wyatta było stać na wiele, ale przecież nie zakradłby się do jej pokoju w środku nocy, w sytuacji gdy na tym samym piętrze spał Gable, Josey i dzieci.

- No, nie - mruknął Wyatt. - Kiedy choć raz próbuję zrobić słuszną rzecz...

Cilla miała wrażenie, że łóżko się ugina, a na twarzy poczuła czyjś oddech. Wtedy natychmiast się obudziła. Otworzyła szeroko oczy i ujrzała nad sobą pochylającego się Wyatta.

- Co ty wyprawiasz? - zdołała wykrztusić, przestraszona nie na żarty.

- Tylko, proszę, nie złość się. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

- Wytłumaczysz? - powtórzyła, coraz bardziej rozniewana. Usiadła na łóżku i podciągnęła kołdrę po samą szyję. - Co tu jest do tłumaczenia? Złapałam cię na gorącym uczynku, jak chciałeś wejść do mojego łóżka!

- Uwierz mi, kochanie. Gdybym chciał wejść do twojego łóżka, nie musiałbym się zakradać. Sama byś mnie zaprosiła. I na pewno nie żałowałabyś tego potem, już ja bym się o to postarał. Cholera, ja tylko chciałem cię obudzić!

- Akurat. Co jeszcze wymyślisz? Na wozie też nie chciałeś mnie wziąć na kolana? Doskonale wiem, o co ci chodzi.

- Nic nie wiesz, złotko. Przyszedłem tu tylko po to, żeby ci powiedzieć, że Kat zaczyna rodzić.

- Co? Nie wygłupiaj się. Przecież ma termin dopiero za dwa miesiące.

- Możesz powiedzieć to dzieciom później, kiedy już się tu znajdą. Na razie Cooper i Flynn przyprowadzą tu swoje pociechy, żebyśmy my się nimi zajęli. A wszyscy dorośli jadą do szpitala. No, wyciągaj swoją śliczną pupcię z tego łóżka, kochanie. Czeka nas dużo pracy.

Rozdział 7

Była trzecia w nocy i gościnny pokój w głębi domu zajmowały dzieci w piżamach. Trójka Gable'a powinna spać, ale gdy przyjechali ich kuzyni, natychmiast zbudzili się i zeszli na dół, gotowi do zabawy. Cilla usiłowała przekonać ich, żeby wrócili do łóżek, ale to było jak rzucanie grochem o ścianę. Chłopcy przyciągnęli modele ciężarówek, Mandy i Haily przyniosły klocki i zanim Cilla się obejrzała, pokój wyglądał jak sala w przedszkolu.

- No, dzieciaki, wiem, że nie jesteście przyzwyczajeni do pobudki w środku nocy. Proponuję, żeby każdy odłożył swoją zabawkę i poszedł do łóżka.

Równie dobrze mogła mówić do ściany. Tylko szesnastoletnia Haily, która budowała zamek dla młodszych dzieci, zwróciła na nią uwagę.

- Nie przejmuj się, Cilla. Tylko ja i Mandy idziemy jutro do szkoły. To ostatni dzień przed świętami i możemy być trochę niewyspane. W szkole i tak nic nie będziemy robić.

- Ale...

- Tracisz tylko czas, kochanie - wtrącił Wyatt, wchodząc do pokoju z miską pełną prażonej kukurydzy. - Nie przekonasz takiej hałastry racjonalnymi argumentami. Trzeba ich przekupić.

Zapach prażonej kukurydzy rozniósł się po całym pokoju i po chwili wszystkie dzieci oblegały Wyatta jak szczenięta przepychające się do sutka matki.

- Hurra! Prażona kukurydza! Możemy trochę dostać?

- Chwileczkę! Na tym świecie nie ma nic za darmo, wy łakome diablątka. Najpierw zawrzemy umowę. Dostaniecie kukurydzę i opowiemy wam bajkę na dobranoc, ale potem każdy pójdzie do swojego łóżka. Zgoda? I to bez dyskusji. Zrozumiano?

Sześć głów uroczyście przytaknęło. Dla Holly, Cooper i córeczki Susannah, która w wigilię kończyła dwa lata, ta umowa niewiele znaczyła. Wdrapując się na Wyatta jak na potężne drzewo, mała opierała się na jego klatce piersiowej, a potem chwyciła go za włosy.

- Daj mi - powiedziała ze szczerym dziecięcym uśmiechem. - Teraz. Śmiejąc się, Wyatt włożył do jej rączki dwa kawałki kukurydzy, a potem obrzucił resztę dzieci srogim spojrzeniem.

- No to jak będzie z naszą umową?

- Ojej, Wyatt, czy naprawdę musimy?

- Dzisiaj przyjdą na świat nasi kuzyni. Nie możemy poczekać, żeby zobaczyć, czy to będą chłopcy, dziewczynki, czy chłopiec i dziewczynka?

- Nie. Kukurydza, bajka na dobranoc, a potem łóżko. Albo się na to zgadzacie, albo nic nie dostaniecie.

Pomrukując z niezadowolenia, dzieci dały się przekonać dopiero po tym, jak Mandy, bezczelnie się uśmiechając, powiedziała:

- Ale to ma być odjazdowa bajka, nie jakaś tam Złotowłosa czy coś równie głupiego.

Wyatt z trudem powstrzymał uśmiech.

- Dobrze, nie będzie Złotowłosej. Słowo harcerza. - Posadził sobie dziewczynkę na kolanach i opuścił miskę z kukurydzą tak, żeby inne dzieci mogły się poczęstować. - Kto chce posłuchać historii o tym, jak pewnej nocy Mikołaj zgubił okulary i zablądził w czasie rozdawania prezentów?

- Ja, ja! Gdzie zabłądził?

- Tutaj, w Nowym Meksyku. Niedaleko tej drogi. To była zimna i deszczowa noc.

Cilla bezszelestnie usiadła w drugim końcu pokoju i obserwowała dzieci, które z wypiekami na twarzy wsłuchiwały się w słowa Wyatta. Okazało się, że Mikołaj zabłądził niedaleko ich rancza, a ponieważ nie miał okularów, nie mógł posłużyć się mapą. A potem Cooper, Flynn i Gable znaleźli go i pomogli mu rozdać prezenty na całym świecie.

On robi to tylko we własnym interesie - wmawiała sobie Cilla. To kolejna sztuczka, która ma ją przekonać, że Wyatt nie jest już nieodpowiedzialnym flirciarzem, zmieniającym dziewczyny jak rękawiczki. Jeśli nie "będzie uważała, łatwo wykorzysta jej naiwność. A gdy miną święta i każdy pójdzie w swoją stronę, to ona będzie miała złamane serce, a on nawet nie obejrzy się za siebie. Całe to gadanie o tym, jak on się zmienił, to... tylko puste gadanie. A ono nic nie kosztuje.

Jednak przy całym swoim krytycyzmie Cilla nie mogła oderwać oczu od twarzy dzieci. Kiedy Wyatt zaczął opowiadać, jak ich rodzice pomagali Mikołajowi, żadne nie pamiętało już o prażonej kukurydzy. Starając się nie oddychać, wpatrywali się w niego jak w obrazek, kompletnie zauroczeni. Cilla chciała wierzyć, że to, co najbardziej fascynowało dzieci, to wątek o Mikołaju i ich rodzicach. Jednak rozsądek podpowiadał jej co innego. Dzieci były mądre i niełatwo było je oszukać. Bardzo szybko dostrzegały niekonsekwencje. Gdyby stwierdziły, że Wyatt je naciąga, nie siedziałyby tak spokojnie i nie słuchały go. Ufały mu i były tak samo zauroczone jego osobą, jak i samym opowiadaniem.

Jeśli Wyatt byłby takim ojcem, dzieci by go uwielbiały.

Ta myśl sama błysnęła jej w głowie, zanim zdołała uznać ją za absurdalną. Za późno, pomyślała, patrząc na Wyatta in-

nymi oczyma. Mogła sobie nawet wyobrazić, że niektóre z tych dzieci są jego. I jej.

Nagle w jej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, i to tak głośno, że na pewno Wyatt również je usłyszał. Kiedy jednak spojrział na nią, tylko uśmiechnął się i puścił oczko, aby po chwili wrócić do swojej opowieści. Nie zauważył, że Cilla gapi się na niego jak kobieta, którą właśnie rozjechała ciężarówka. Nie! - krzyknęła w myślach. Dobry Boże, co ona wyprawia? Nie chciała myśleć o Wyatcie w ten sposób. Nie chciała wyobrazać sobie, jak wyglądałyby ich dzieci, ani rozpoznawać swoich i jego cech w dzieciach, które nie istniały jeszcze nawet w planach. To było zbyt bolesne, zbyt intrygujące i było na to już za późno.

Pochłonięta obrazami podsuwanymi jej przez wyobraźnię, Cilla nie zauważyła, że opowieść "dobięła końca i że najmłodsze dzieci cichutko usnęły. Wyatt spojrział na Cillę i szeroko się uśmiechnął.

- Zdaje się, że to zadziałało - powiedział miękko. - Sądysz, że powinniśmy je tu zostawić, czy raczej zanieść na górę?

Cilla zauważyła, że Holly i Christopher, trzylatki Flynny, śpią na kolanach Wyatta. Lainey i chłopcy Gable'a ziewali, tocząc walkę z ogarniającym ich snem. Mandy i Haily też nie pozostawały w tyle. Błysk w oku Wyatta sprawił, że Cilli zrobiło się cieplej i po chwili stanęła na równe nogi.

- Myślę, że powinniśmy zanieść je na górę. Tam będzie im wygodniej.

Haily, kochanie, pomożesz nam przenieść pozostałych na górę.

Szesnastoletnia kopia swojej matki, Tate, sennie skinęła głową i wyciągnęła ręce do Christophera.

- Nie ma sprawy. O rany, rzeczywiście jest już późno. Myślicie, że ciocia Kat już urodziła dzieci?

- Raczej nie - powiedział Wyatt, ostrożnie wstając z krzesła z małą Holly w ramionach. - Na pewno dostalibyśmy jakąś wiadomość. Zresztą dzieci nie rodzą się tak szybko, zwłaszcza gdy to bliźniaki.

Cilla uśmiechnęła się i położyła rękę na ramieniu Mandy, która przeraźliwie śpiącym wzrokiem patrzyła na schody.

- No, Mandy, kochanie. Idziemy do łóżka, bo za chwilę się przewrócisz.

- Nie, nic mi nie jest. Naprawdę.

Ośmioletnia dziewczynka ledwo trzymała się na nogach i z pewnością sama nie weszłaby na górę. Dusząc w sobie śmiech, Cilla zasugerowała:

- W takim razie pomóż mi wejść na górę. To była długa noc i jestem wykończona.

- Oczywiście - powiedziała Mandy, obierając kierunek na schody. - Ja też jestem trochę zmęczona.

W końcu dzięki pomocy Haily udało im się ułożyć wszystkie dzieci w łóżkach, i to bez próby protestu ze strony któregośkolwiek. Na piętrze było cicho i ciemno; paliła się tylko mała lampa w holu na wypadek, gdyby ktoś obudził się w nocy. Haily życzyła Cilli dobrej nocy i poszła do swojego pokoju, a Wyatt zszedł na dół. Cilla zastanawiała się, co teraz zrobić. Wcale nie była śpiąca, buntowała się na myśl, że ma iść do łóżka tylko dlatego, żeby nie zostać sam na sam z Wyattem. W końcu Kat była również jej kuzynką. Miało prawo zaczekać na wieści ze szpitala.

Utwierdziwszy się w przekonaniu, że postępuje właściwie, Cilla zeszła do salonu, w którym jednak nikogo nie było. Zaskoczona zaczęła szukać Wyatta i po chwili znalazła go w kuchni, gdzie nalewał sobie kawy.

- Myślałem, że poszłaś spać - odezwał się na jej widok.

- Nie zasnąłabym teraz. Za bardzo martwię się o Kat. Miałam nadzieję, że do tej pory dowiemy się czegoś więcej.

- Jeśli o niczym nas nie informują, to znaczy, że wszystko jest w porządku
- zapewni! ją Wyatt. Podał Cilli filiżankę kawy. - Proszę. Napij się.

Zawahala się przez chwilę. O tej porze nie potrzebowała kofeiny. W końcu usiadła i przez pół minuty mieszała śmietankę. Kiedy podniosła wzrok, Wyatt otwarcie jej się przyglądał. Poczula, że serce zaczyna przyspieszać rytm, jak zwykle na jego widok.

- Co ty robisz?

Wyatt szeroko się uśmiechnął.

- Patrzę na ciebie, Prissy. Wyrosłaś na zabójczo piękną kobietę, wiesz? Czy mężczyźni, których spotkałaś dotąd w swoim życiu, mówili ci o tym?

- To akurat nie twój interes - odpaliła, powstrzymując się od uśmiechu. - Do diabła, Wyatt, przestań wreszcie. Wiem, o co ci chodzi. Nic z tego nie będzie.

- Ja nawet nie domyślałam się, o czym ty mówisz - powiedział wolno, patrząc na nią rozbawiony. - Żadna kobieta nie wygląda tak ładnie jak ty, kiedy się czerwienisz.

- Wiesz coś o tym, bo miałeś ich wiele - odpowiedziała słodkim głosem. Jeśli Cilla chciała pokazać Wyattowi, gdzie jego najszybsze, to srodcze się zawiodła. Mężczyzna w ogóle nie okazywał oznak zdenerwowania.

- O, widzę, że to zazdrość podnosi swój paskudny łebek. A już mi się wydawało, że ci na mnie nie zależy.

To był celny cios. Zła, że pozwoliła mu się tak podejść, Cilla z hukiem odstawiła filiżankę.

- Chyba ułożę pasjansa dla zabicia czasu - rzuciła z przekąsem.

Nie dając mu czasu na ripostę, Cilla wyszła z kuchni i z szafki obok kominka wzięła karty. Słyszała, jak Wyatt krząta

się po kuchni, ale starała się nie zwracać na niego uwagi. Usiadła na podłodze przy stoliku i zaczęła tasować karty.

Choć trudno jej się było skoncentrować, rozłożyła karty i zaczęła wpatrywać się w nie z taką intensywnością, jakby najważniejszą rzeczą na świecie było dopasowanie czerwonej damy do czarnego króla. Nie patrzyła w górę, ale wszystkie jej zmysły nastawione były na Wyatta, który wyszedł z kuchni i dorzucił drzewa do ognia. Po chwili zgasił światło w rogu pokoju i obok telewizora. Atmosfera w pokoju nabrała ciepła i intymności.

Dopiero jednak kiedy Wyatt usiadł na kanapie tuż za nią, nerwy Cilli wysłały ostrzegawczy sygnał. Był blisko niej. Zbyt blisko. Wystarczyło, by się lekko odchyliła, a znalazłaby oparcie na jego kolanach i udach. Trzęsącymi się rękami odwróciła kartę i nawet na nią nie patrząc, automatycznie położyła na wolnym miejscu.

- Nie możesz jej tam położyć. Czerwoną siódemkę trzeba położyć na czarnej ósemce.

Wystraszona jego miękkim tonem głosu zerwała się z miejsca.

- Co?

- Czerwona siódemka - powtórzył cierpliwie. - Położyłaś ją na czerwonej ósemce. Tak nie wolno. Ósemka musi być czarna.

Bicie jej serca było tak głośne, że Cilla prawie w ogóle nie słyszała, co Wyatt do niej mówił. Skonsternowana wlepiła wzrok w leżące przed nią karty.

- Która czerwona siódemka?

- Ta - Wyatt pochylił się na Cillę, ocierając się ręką o jej rękę, i wskazał kartę. - Widzisz?

Nawet gdyby życie Cilli zależało teraz od wymówienia kilku słów, nie zrobiłaby tego. Wpatrzona w jego silną dłoń tylko

bezwiednie skinęła głową. Skąd Wyatt wziął się tak blisko niej? Nie dotykał jej, a jednak przysięgłaby, że czuła dotyk jego klatki piersiowej na swoich ramionach i bijące od niego ciepło, które zdawało się topić jej kości.

I jego zapach... był dokładnie taki, jaki zapamiętała. Czysty, ostry i męski. Przez wszystkie te lata chciała zapomnieć o Wyatcie, ale jego zapach pozostał w niej na zawsze. Ileż to razy w ciągu tych lat jej zmysły wyostrzały się, gdy w zatłoczonej windzie lub restauracji wyczuwała znajomy zapach wody kolońskiej. I za każdym razem serce zaczynało szybciej jej bić, a wzrok poszukiwał sylwetki Wyatta.

Istniało tyle rzeczy związanych z Wyattem, których jej brakowało. Jego wzrostu, siły, magnetyzmu, nie mówiąc już o uczuciu, jakiego doznawała, kiedy trzymał ją w ramionach. Czy mogła o tym wszystkim zapomnieć? Inni mężczyźni również trzymali ją w objęciach, ale żaden z nich nie sprawił, że czuła się w ich ramionach tak dobrze jak z Wyattem. Bezpieczna i chroniona. Potrzebna. Gdyby odchyliła się o kilka centymetrów, te uczucia znowu by wróciły.

Nawet się nie ważyła - usłyszała w myślach karcący głos. Jeśli pozwolisz mi się dotknąć, przepadłaś. Obudź się i rozkoszuj aromatem kawy, na miłość Boską! Przecież już cię ostrzegł, że nie da ci spokoju. A to oznacza łóżko, Cillo. Łóżko. Kolejna erotyczna przygoda. Czy tego właśnie chcesz? Cilla nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle znalazła się po drugiej stronie pokoju i włączyła telewizor. Potrzebowała dużo hałasu. Tyle, żeby zagłuszyć skołataną serce i rozdygotane myśli.

- Nigdy nie byłam mocna w kartach - powiedziała załamującym się głosem. - Wolę obejrzeć jakiś stary film.

Nie starając się nawet ukryć uśmiechu, Wyatt pozbierał z podłogi karty i oparł nogi o stolik. Szeroko rozłożył ręce na boki i powiedział wolno:

- Świetnie. A może zgasisz resztę świateł i zaczniemy się całować. A niech go! Nie pozwoli mu się rozśmieszyć! Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, Cilla powiedziała:

- Wolałabym już pocałować napalonego kozła.

- Beeeeeee.

- Cholera, Wyatt.

Uśmiechając się, Wyatt mlasnął językiem.

- Tylko bez przekleństw, kochanie. Nad nami są dzieci. Cilla nie mogła się już dłużej opanować i wybuchnęła śmiechem. Co miała zrobić z tym mężczyzną?

- Nie przeciągaj struny, Chandler. I nie mów do mnie „kochanie”.

Cilla usiadła na drugim końcu kanapy i wpatrując się w ekran, obiecała sobie, że więcej się do Wyatta nie odezwie. W telewizorze ukazały się zapowiedzi filmu pod tytułem „Białe święta”.

Ale jej się trafiło. Pierwszej nocy pokazywali „Cudowne życie”, a teraz to. Czy telewizja zawsze musi pokazywać sentymentalne filmy w święta? Przecież niektórzy widzowie mają już tego dość. Znała cały film na pamięć, mogła cytować dialogi, ale pod koniec i tak chciało jej się płakać. I to nie był film, który można oglądać z mężczyzną. Zwłaszcza z takim jak Wyatt. Zacznie wyśmiewać się z piosenek, naiwnej historii i tych fragmentów, które najbardziej lubiła. A potem będzie jej wytykał, że płacze w trakcie filmu, który nawet nie jest wyciskaczem łez.

Nie, tego już nie zniesie. Nie tego wieczoru, kiedy byli sami, w domu było cicho i ciemno i wystarczyło, że wyciągnie rękę, a będzie mogła go dotknąć. Była zbyt bezbronna, za bardzo na nim skoncentrowana, zbyt uczuciowa. Cilla pochyliła się, żeby wziąć ze stołu pilot.

- A co ty robisz? Myślałem, że lubisz ten film.

- Owszem, ale widziałam go już milion razy. Na pewno znajdę coś ciekawszego.

- Przecież uwielbiasz te sentymentalne opowieści wakacyjne. Nie zmieniaj kanału.

- Chyba już wolę western - odpowiedziała, skacząc z programu na program. - O tej porze na pewno nietrudno go znaleźć.

- Ale ja chcę oglądać tamten film!

- Wcale nie. Chcesz się po prostu wygłupiać. Hej, oddaj to. Wyatt wyrwał jej z ręki pilot, zmienił kanał na poprzedni i schował pilot do tylnej kieszeni spodni.

Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek.

- Jeśli chcesz go dostać, musisz mi go zabrać, kochanie. No, proszę. Próbuj.

Wyatt przypuszczał, że Cilla nie będzie miała odwagi tego zrobić. Jednak późna pora i zmęczenie sprawiły, że zareagowała instynktownie. Rzuciła się na Wyatta i znalazłszy się na jego kolanach, sięgnęła do tylnej kieszeni spodni.

Jak dobrze naoliwiona pułapka - ręce Wyatta natychmiast zamknęły ją w swoim objęciu.

Patrząc w jej wystraszone oczy, Wyatt powiedział z uśmiechem:

- Mam cię.

Jej serce nabierało tempa, kiedy mężczyzna zaczął przesuwać palcami po jej włosach, a potem zbliżył usta do jej ust. Cilla cała zeszywniała i odepchnęła się ręką od jego klatki piersiowej.

- To twoja najnowsza technika? Musisz złapać kobietę w pułapkę, żeby ją pocałować?

- Tylko ciebie, kochanie - przyznał, uśmiechając się. - Poza tym nie musiałbym tego robić, gdybyś dała mi jakiś

wybór. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że mam cię tylko dla siebie, ty zaczynasz uciekać. Pocałuj mnie. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem spragniony twoich ust. - Nie.

Wyatt przycisnął usta do jej warg. Za każdym razem, kiedy trzymał ją w ramionach albo całował, czuła się, jakby to było po raz pierwszy. Nie rozumiała tego ani nie potrafiła wyjaśnić. Wiedziała tylko, że nie mogła oprzeć się pragnieniu, jakie z taką łatwością w niej wzbudzał. Szepcząc jego imię, Cilla objęła go i przytuliła. Przyłgnęła do niego jeszcze bliżej i pocałowała namiętnie i mocno.

Wyatt westchnął, kiedy ocierając się o niego piersiami, rozpalala jego ciało. Ależ ona była słodka. I tak gorąca, że aż parzyła. Dla niej gotów byłby na wszystko, a tego nie mógł powiedzieć o żadnej innej kobiecie. Musiał ją mieć. I to teraz! Czując wzbierające pożądanie, przechylił ją i położył na miękkiej kanapie. Wreszcie była tam, gdzie powinna być - pod nim.

Rozdział 8

Nagły dźwięk telefonu zabrzmiał jak syrena strażacka w uśpionym miasteczku. Z ręką pod koszulką Cilli, Wyatt zamarł w bezruchu, a potem z jego ust posypały się obelgi.

- Cholera! Co za pech! Nie odbieraj telefonu!

Jednak wiedział, że nie mogą tego zrobić. O tej porze mógł dzwonić tylko ktoś ze szpitala z wiadomością o Kat.

- Przepraszam, że to powiedziałem - powiedział przez zęby i podniósł się.

- To pewnie Gable.

Wszedł do kuchni, chwycił słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie i krzyknął:

- Słucham?

Dopiero po długiej ciszy dał się słyszeć ostrożny głos -Gable'a. -

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem?

- Wypchaj się, Rawlings - warknął Wyatt, choć wściekłość, powoli go opuszczała. - Co z Kat?

- Promienieje szczęściem jak dumna mamuśka. Miała bardzo lekki poród. Potrzebuje teraz snu, więc za chwilę zostawimy ją samą.

- A co z dziećmi? Wszystko w porządku?

- Tak, dzięki Bogu. Mamy dwóch chłopców: Nathana i Aleksa, każdy waży niecałe dwa kilo. Na razie są mniejsi od swoich imion, ale lekarze mówią, że nic im nie jest. Jeszcze przez kilka tygodni będą musieli zostać w szpitalu, ale to zwyczajna procedura w przypadku wcześniaków.

- Rozumiem. Przekaż Kat gratulacje ode mnie i Cilli. A jak to wszystko zniósł Lucas?

Gable lekko się zaśmiał.

- Nie sądzę, żeby w najbliższej, przyszłości znowu chciał powtórzyć to doświadczenie. A co z dziećmi? Nie sprawiały wam kłopotu?

- Przekupiliśmy je prażoną kukurydzą i bajką na dobranoc

- powiedział Wyatt ze śmiechem. - Padły jak zabite i od godziny wszystkie smacznie śpią.

- To dobrze. Ponieważ jest już bardzo późno, postanowiliśmy spędzić resztę nocy w mieście. Jeśli oczywiście ty i Cilla nie macie nic przeciwko temu. Zbliża się czwarta i nawet gdybyśmy teraz ruszyli w drogę powrotną, nie dojedziemy przed świtem.

- Dobrze, dobrze - zapewnił go Wyatt. - Nie ma powodu, żebyście gnali na złamanie karku. My też idziemy zaraz do łóżka. Spotkamy się jutro rano.

- Świetnie. Gdyście chcieli skontaktować się z nami, będziemy w zajezdzie Town and Country Motor Lodge. Numer jest w książce telefonicznej.

Stojąc w drzwiach kuchni i słuchając tej rozmowy, Cilla przekonywała samą siebie, że Wyatt nie miał na myśli tego, że idą razem do łóżka.

Musiała się przesłyszeć. Ostrożnie odezwała się do Wyatta.

- Kat już urodziła? Co z dziećmi? Dlaczego powiedziałeś, że zobaczymy się z Gablem dopiero rano? Coś się stało? To dlatego nikt nie wraca do domu na noc?

- Kat urodziła dwóch chłopców. Ale nic się nie stało.

- Wyatt streścił Cilli to, czego dowiedział się od Gable'a. -Pomyślałem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli powiem mu, że mogą przenocować w mieście. Dzieci przecież już śpią, a biorąc pod uwagę, że tak późno poszły spać, nie

obudzą się przed dziesiątą rano. Do tego czasu ich rodzice już wrócą. Nie będzie miała nic przeciwko temu? - zabrzmiało jej w uszach. Ależ oczywiście, że miała! I to nie dlatego, że nie chciała opiekować się dziećmi. Sytuacja niemal wymknęła jej się spod kontroli, i to w momencie, kiedy oboje wiedzieli, że kuzyni mogli wrócić lada chwila. Tymczasem teraz czekała ich wspólna noc, a w domu nie było ani jednej dorosłej osoby. Boże, co ona teraz robi?

Nic - pomyślała, przyjmując pewny siebie wyraz twarzy. Jeśli okaże najmniejsze oznaki zdenerwowania, Wyatt wykorzysta to bezlitośnie i znowu chwyci ją w ramiona. A jeśli dziś w nocy jeszcze raz jej dotknie, nie będzie miała sił, żeby mu się przeciwstawić.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - kłamała jak z nut. - Zasugerowałabym to samo, gdybym rozmawiała z Gable'em. To dla nich była ciężka noc i nie ma potrzeby, żeby spieszyli się do domu. Może pozamykasz drzwi na dole i pogasisz światła, a ja sprawdzę, czy u dzieci wszystko w porządku?

- Dobrze - zgodził się Wyatt. - Kiedy skończę, zaraz do ciebie przyjdę. Cilla zaplanowała, że wtedy ona będzie już bezpieczna w swoim pokoju. Szybko wbiegła na górę i weszła do pierwszego pokoju po lewej stronie, gdzie spały pociechy Flynn'a i Tate - Haily i Christopher. Christopher leżał odkryty i zwinięty w kłębek jak szczeniak. Rano byłby przemarznięty. Cilla podeszła do niego, nakryła kołdrą, zaczęła przez chwilę, chcąc się upewnić, czy go nie zbudziła, i wreszcie wyszła na korytarz.

Zajęło jej to tylko dwadzieścia sekund. W takim tempie powinna sprawdzić wszystkie pokoje przed powrotem Wyatta

na górę. Okazało się jednak, że w każdym pokoju coś było nie tak i Cilla traciła cenny czas. Holly zgubiła smoczek i wierciła się przez sen, chcąc go odnaleźć. Joey, który spał bardzo niespokojnie, skopał z łóżka kołdrę i wisiał na zsuniętym do połowy materacu. Przy jednym nieopatrzonym ruchu mógł spaść na ziemię, a wtedy cały dom, zbudziłby się od jego krzyku.

- Co ty robisz?

Próbując podnieść pięcioletniego malca na łóżko, Cilla nie usłyszała, jak Wyatt wszedł do pokoju. Przestraszona omal nie upuściła małego ciała.

- Bałam się, że spadnie z łóżka - wyszeptała.

- Poczekaj, pomogę ci.

Wyatt szybko znalazł się przy łóżku i delikatnie położył chłopca na poduszce. Wzdychając przez sen z zadowolenia i wypinając w górę pupę, Joey przytulił się do poduszki.

Cilla nie mogła opanować uśmiechu. Jednak gdy tylko wyszła na korytarz, a tuż za nią Wyatt, jej serce zaczęło szybciej bić w oczekiwaniu na coś, czego wołała szczegółowo nie analizować.

- No, zdaje się, że skończyliśmy - powiedziała z wymuszoną lekkością. - My chyba też powinniśmy się położyć.

- Dobry pomysł - zgodził się Wyatt i z szerokim uśmiechem wyciągnął do niej rękę. - Na czym skończyliśmy?

Cilla cofnęła się, ale on był szybszy. Popatrzyła na niego z dezaprobatą, próbując się nie śmiać.

- Przecież niczego nie zaczynaliśmy.

- Wręcz przeciwnie. O ile dobrze pamiętam, skończyliśmy na tym - Wyatt przyciągnął ją do siebie i wesoło spojrzał prosto w oczy. - A teraz musimy jeszcze przyjąć pozycję horyzontalną.

Kiedy tak na nią patrzył, miała wrażenie, że za chwilę się rozpułynie.

Czując, że jest coraz słabsza, ostrzegła go:

- Nie pójdę z tobą do łóżka tylko dlatego, że w domu nie ma nikogo oprócz dzieci.

- Oczywiście, że nie - powiedział, nachylając się nad jej uchem. - Pójdiesz ze mną do łóżka, ponieważ oboje tego chcemy.

- Nie!

- Tak - mruknął nad jej szyją. - Przyznaj się do tego, kochanie. Wiesz, że to prawda. Oboje czekaliśmy na tę chwilę od czasu, kiedy tu przyjechałaś. Cilla chciała temu zaprzeczyć. Tak naprawdę oddałaby teraz wszystko, żeby móc mu powiedzieć, że jedyną rzeczą, na jaką czekała, było to, aby zrozumiał, że cokolwiek do niego kiedyś czuła, dawno już odeszło w przeszłość. Ale nie mogła wydobyć z siebie tych słów. Bo, niestety, Wyatt miał rację. Ich związek po prostu musiał zaistnieć. Od pierwszej chwili, kiedy spotkała Wyatta, wiedziała, że jest dla niej jedynym mężczyzną. I od tamtej pory nic się nie zmieniło. Pragnęła go, jego serca i jego duszy. Mimo przeszłości. Mimo że wydawał się zainteresowany tylko wakacyjnym romanssem. Znowu ją zrani; była tego pewna, tak samo jak była pewna, gdzie go dotknąć, żeby zelektryzować jego ciało. Kiedy Wyatt pieścił ją i całował, przyszłość nie istniała, jutro nie miało znaczenia.

- Kiedy byłam dzieckiem, czekałam na Mikołaja już w wigilię - powiedziała, trzymając go trochę na dystans. - Ale rano zawsze budziłam się rozczarowana.

Wyatt delikatnie się uśmiechnął. Poczowała na szyi miękką, erotyczną wibrację jego głosu.

- Nie mogę obiecać ci, że zobaczysz Mikołaja, ale gwarantuję, że nie zbudzisz się rozczarowana. Dokąd idziesz?

- Do mojego pokoju.

Wyślizgnęła się z jego ramion. Prawie się jej udało. Dwa kroki od jej pokoju Wyatt zaszedł ją z boku i Cilla wpadła na niego. Śmiejąc się, przyciągnął ją do siebie.

- Kochanie, nie musisz się tak od razu rzucać na mnie. Bez ciebie nigdzie nie pójde.

- Do diabła, Wyatt, nie pójde z tobą do łóżka.

Ten protest nawet jej wydał się nieprzekonujący. Jednak zamiast dalej ją namawiać, Wyatt powiedział tylko:

- Rozumiem. A co powiesz na pocałunek? Kochanie, tylko jeden mały pocałunek.

- To i tak więcej, niż ci się należy - odpowiedziała, z trudnością powstrzymując się przed uśmiechem. - Puść mnie.

- Za chwilę - obiecał.

- Wyatt!

- Wysłuchaj mnie najpierw. Proszę tylko o jeden pocałunek. Ty ustalasz reguły.

Cilla nadstawiła ucha. Patrząc na niego badawczo, powiedziała:

- Tylko pamiętaj. Jeden pocałunek. Ja go zaczynam i kończę, kiedy chcę. A ty nie masz nic do gadania.

Wyatt skinął głową.

- Zgoda. Pokaż, co potrafisz, kochanie. Jestem do twoich usług. Wyatt spodziewał się, że Cilla zechce pocałować go krótko i słodko, ale ona miała inne plany. Domyślała się, że wtedy zacznie protestować, mówiąc, że to nie był prawdziwy pocałunek, i zażąda następnego. Pocałuje go tak, że mu oko zbieleje. Wymagało to tylko dodatkowego wysiłku.

Postanowiła zagrać rolę bezwstydnie uwodzicielskiej i przez chwilę prawie jej się to udało. Obejmując go za szyję, przyciągnęła jego głowę do swoich ust i pocałowała go z taką namiętnością, o jaką nigdy sama się nie podejrzewała. Koncentrując całą uwagę na jego reakcji, pieściła ustami jego usta, a potem wpiła się w nie z siłą całego swojego pożądania. Wyatt był zachwycony. Objął ją mocniej i przyciągnął jeszcze bliżej. Jego serce biło coraz szybciej, a gdy Cilla zaczęła pie-

ścić językiem jego dolną wargę, oddech mężczyzny stał się krótszy i bardziej chrapliwy. Pomrukując, oparł ją o drzwi sypialni i pocałował z dzikością, która ją zachwyciła.

Gdzieś z tyłu głowy pojawiła jej się myśl, że teraz jeszcze ma szansę zakończyć ten pocałunek. Ale już po chwili było za późno. Zamiast uciekać, Cilla zaczęła ocierać się o Wyatta tak pożądliwie, że w świetle dnia ten widok sprawiłby ją w zażenowanie. A potem pojawiła się szalona chęć całowania go wszędzie. Usta Cilli znalazły drogę do jego ucha, brwi, szyi, brody. Uwielbiała, gdy ich ciała były tak blisko siebie; jego twardość przy jej miękkości, jego siłę, jego podniecenie, którego wcale nie ukrywał. Spragniona jego smaku, wspięła się na palce i przywarła mocno do jego warg.

Tym jednym pocałunkiem powiedziała wszystko, co najważniejsze. To, że zapomniała, że miała pocałować go tylko raz, że to on sprawił, że zapomniała, że pożądanie, jakie kiedyś ich rozpałało, było niczym wobec ognia, który teraz rozniecił pożar ich namiętności.

Boże, on jej naprawdę pragnął. Za każdym razem, kiedy trzymał ją w ramionach tak jak teraz, coraz trudniej było mu ją wypuścić. Cilla chyba zapomniała, że obiecała mu tylko jeden pocałunek, ale on nie. Zanim posuną się o krok dalej, Wyatt musi wiedzieć, w co się angażuje. Nie byli już nastolatkami, którzy ulegali wichrom namiętności, a potem mówili, że nie wiedzą, co się z nim dzieje. Jeśli teraz zaczną się kochać, to musi być to ich wspólna decyzja.

Odrywając usta od jej warg, Wyatt ukrył twarz we włosach Cilli i ciężko oddychając, powiedział:

- Nie ułatwiasz mi zadania, kochanie. Myślałem, że chcesz tylko jednego pocałunku.

Ocierając się o jego głowę, Cilla mocniej przywarła do niego.

- Ja też tak myślałam - mruknęła. - Nie wiem, co się stało. Powiedziała to głosem tak zaskoczonym, że Wyatt prawie się uśmiechnął. Dobrze wiedział, jak się teraz czuła. Kiedy jemu wydawało się, że panuje nad swoimi reakcjami, ona zrobiła coś, po czym kompletnie stracił grunt pod nogami.

Odchylając się nieco, Wyatt ujął jej twarz w dłonie i popatrzył jej prosto w oczy.

- Musisz podjąć decyzję, kochanie. Wiesz, że cię pragnę. Każdej nocy wyobrażam sobie, że kocham się z tobą. Ale ty również musisz tego chcieć, tutaj i teraz. Jeśli nie, to dalej się nie posuniemy. W każdym razie aż do chwili, kiedy będziesz gotowa.

Cilla nie wierzyła własnym uszom - Młody i pewny siebie Wyatt, którego znała w przeszłości, był tak samo niewolnikiem gwałtownej namiętności jak i ona. Gdyby nawet chciał zaproponować coś takiego, i tak nie byłby w stanie tego dotrzymać. Ale Wyatt, który teraz trzymał ją w ramionach, był dorosłym mężczyzną, a nie dwudziestodwuletnim młodzieńcem. Nie rzucał słów na wiatr. Wystarczy jedno jej słowo i znowu będzie sama w łóżku.

Cilla nie umiała tego powiedzieć. Nie mogła odprawić Wyatta i wyprzeć się tego, czego oboje tak bardzo pragnęli.

- Chcę tego - powiedziała głębokim tonem. - Chcę ciebie. Proszę... nie odchodź.

Nie musiała tego powtarzać. Wyatt wziął ją na ręce, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Kochanie, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to powiedziałaś - mówił, namiętnie ją całując. - Gdybyś chciała, żebym zostawił cię w spokoju, zrobiłbym to, choć sam nie wiem jak. Otwórz drzwi, kochanie. Mam zajęte ręce, a potrzebuję jeszcze trochę czasu, zanim cię wypuszczę. Te słowa podziały na nią jak balsam. Uśmiechając się,

zaczęła delikatnie go całować i sięgnęła ręką do klamki. Po chwili znaleźli się w pokoju, zamykając za sobą drzwi i oddzielając się od reszty świata.

Cilla myślała, że Wyatt postawi ją teraz na ziemi, ale on od razu zaniósł ją do łóżka i przywarł ustami do jej warg. Czując się znowu jak nastolatka, Cilla niecierpliwie sięgnęła do jego koszulki. Ale Wyatt nie pozwolił jej na to.

- Nie - szepnął, obdarzając ją długim pocałunkiem. - Nie spieszmy się. Chcę powoli doprowadzić cię do rozkoszy.

Patrząc na niego w ciemności, czuła, jak błysk podniecenia w jego oczach przyprawia ją o zawrót głowy. Przez zaciśnięte z emocji gardło nie mogła powiedzieć mu, że zawsze marzyłam

o tym, żeby kochał się z nią przez całą noc. Ścisnęła go tylko mocniej za palce, dając mu do zrozumienia, że akceptuje jego propozycję.

Cilla myślała, że wie, czego spodziewać się po sobie...

i po nim. To prawda, minęło dziesięć lat, ale są rzeczy, których kobieta nie zapomina. Nie zapomniała jego dotyku, pocałunku i żadnej namiętnej chwili, które spędzili razem tamtego magicznego lata. Potem wiele razy go przeklinała i starała się znienawidzić - za to, że nie mogła wyrzucić go z pamięci. Jednak to, co teraz działo się między nimi, było niepodobne do przeżyć z przeszłości.

Wyatt kochał się z nią tak, jakby była dla niego najcenniejszą rzeczą na świecie, skarbem, który kiedyś zgubił, a teraz odnalazł, częścią duszy, którą chciał odzyskać. Jego długie, gorące pocałunki powiedziały jej, jak bardzo za nią tęsknił, jak bardzo jej pragnął, jak strasznie samotne były noce bez niej.

Cilla nie zauważyła, kiedy zniknęły ich ubrania i jak znaleźli się pod kołdrą. Nie mogła myśleć, nie czuła nic oprócz jego silnego ciała, jego rąk i ust, pieszczących jej ciało, uwo-

dzących ją, kochających, zachwycających. Jego dotyk sprawił, że zadrżała, jego pocałunek wydobyl z jej ust westchnienie. Nie wiedziała, kiedy Wyatt puścił jej ręce. Oszołomiona i nieprzytomna, czując, jak każdy nerw jej ciała kipi pożądaniem, przyciągnęła go bliżej.

- Powoli, kochanie - jęknął Wyatt, pieszcząc językiem jej wrażliwe sutki.
- Jestem przy tobie.

Cilla już nie chciała, żeby było spokojnie i powoli. Przyłgnęła do niego rozpalonymi ustami; jej ręce gorączkowo obejmowały jego ciało, chcąc rozbić żelazny pancierz, który narzucił swoim zmysłom. Mógł jej powiedzieć, że wystarczyłby jeden jej dotyk, ale ona nie dała mu tej szansy. Nagle znalazła się na nim, przykrywając go jak sen, zachwycając go, całując wszędzie, gdzie zdołała dotrzeć, kochając goręcej niż ogień. Jego samokontrolę, a raczej to, co z niej zostało, pochłonęły płomienie.

Wyatt chwycił ją za biodra i gwałtownie przyciągnął do siebie. Powinien być delikatniejszy, powinien przynajmniej spróbować zwolnić tempo, ale oboje zatracili się w szaleństwie. Jej wilgotne gorąco złapało jego rytm i pchało naprzód, pędząc w ciemności do celu, który był tylko ich. A kiedy osiągnęli krawędź i zatopili się w ekstazie, Cilla wykrzyczała jego imię, oddała się jego ramionom. Zawładnęła nimi rozkosz, łącząc ich serca w jedno.

Rozdział 9

Kiedy kilka godzin później Cilla otworzyła oczy, przez okno wpadało jaskrawe światło zimowego słońca. Leżąc na brzuchu, nie musiała sprawdzać, że miejsce obok niej jest puste. Pamiętała jak przez mgłę, że tuż przed brzaskiem Wyatt pocałował ją miękko w policzki i bezszelestnie oddalił się do swego pokoju. Gdyby nie była tak zmęczona, nie pozwoliłaby mu odejść. Jednak teraz była zadowolona, że tego nie zrobiła. Wyatt dobrze ją znał. Jedno spojrzenie na jej twarz i wiedziałby, że stało się to, o czym Cilla mówiła, że nigdy się nie stanie. Po raz drugi w życiu zakochała się w nim.

Nagle poczuła tak silną potrzebę zaprzeczenia temu, że aż ścisnęło ją w gardle. Nie! Na pewno tylko tak jej się wydaje. Nikt nie zranił jej tak mocno jak Wyatt. Nie pozwoli, żeby znowu to zrobił. Na wakacjach wyobraźnia działa silniej niż zwykle. Stąd te przypuszczenia. O tej porze roku Cilla zawsze stawała się bardziej sentymentalna. A w tym roku to uczucie pogłębiło jeszcze niespodziewane przyjście na świat dzieci Kat. Nic dziwnego, że nie mogła logicznie myśleć - jej emocje to wznosiły się, to opadały.

Dobrze, że chociaż próbujesz, Cillo - niemal usłyszała swój sarkastyczny ton. Ale to samo nie przejdzie. Kochasz go. Zawsze go kochałaś. Przyjmij to wreszcie do wiadomości.

Ogarnęła ją panika. Nagle poczuła, że powinna czym prędzej spakować swoje rzeczy i wynieść się stąd. Póki jeszcze może. Ale dokąd pojedzie? Z powrotem do Denver? Do pracy,

którą straciła? Do życia, które nie było jej życiem? Jej cały świat wywrócił się do góry nogami; właściwie to nie wiedziała już, gdzie jest jej miejsce.

Cała drżąca, objęła się ramionami. Była przerażona. To, co czuła do Wyatta, kiedy miała siedemnaście lat, było niczym w porównaniu z tym, co czuła teraz. A przecież to nie był mężczyzna, który myślał o małżeństwie. Boże, co ona teraz zrobi?

Cilla spojrzała nie widzącymi oczami na okno i pomyślała, że może najlepiej będzie zostać w łóżku i przez resztę dnia nie wychodzić spod kołdry. Tylko że wtedy zaraz pojawiłyby się Josey i Tate ze stertami leków. Poza tym przybyło przecież dwoje nowo narodzonych dzieci, które skupią na sobie uwagę wszystkich. W takiej sytuacji tylko samolubne, rozpieszczone dziecko ukryłoby się w pokoju, podczas gdy cała rodzina świętowałaby narodziny. Z niechęcią wyszła z pościeli i sięgnęła po ubrania.

- No, patrzcie, kto tu idzie - powitał ją z uśmiechem Flynn, kiedy pół godziny później weszła do jadalni. Byli tam wszyscy oprócz rodziców bliźniaków.

- Śpiąca królewna już wstała. A właśnie założyłem się z Cooperem, że nie zobaczymy cię przed południem. No i przegrałem dziesięć dolarów. Wzrok wszystkich skierował się na Cillę; najbardziej krępowało ją spojrzenie Wyatta. Przeklinając w duchu rumieniec, który oblał jej twarz, Cilla starała się nie patrzeć na drugi koniec stołu, gdzie siedział.

Zwróciła się do Flynna i powiedziała:

- Nie dziw się, że przegrałeś, skoro założyłeś się przeciwko swojej ulubionej kuzynce.

- Dobrze, że powiedziałaś mu to, Cilla - zaśmiała się Tate. - Ostrzegałam go, że przegra, ale nie chciał mnie słuchać.

Zjesz teraz śniadanie czy chcesz jeszcze poczekać? Alice zostawiła ci trochę biszkoptów i sos. Leżą na piecu. Na myśl o jedzeniu Cilla poczuła mdłości.

- Nie, dziękuję. Na razie potrzebuję kawy, żeby jakoś zacząć ten poranek.

- Chyba popołudnie? - zażartował Cooper.

- Ty też nie zaczynaj, Frędzlu - odpaliła, używając przydomka, które mu nadała, kiedy byli dziećmi. - Najpierw muszę wzbogacić mój krwiobieg w kofeinę.

Cilla napełniła filiżankę po same brzegi i usiadła jak najdalej się dało od Wyatta. A potem, uśmiechając się promiennie, zapytała:

- No, to kto mi opowie o dwójce nowo narodzonych? Czy są tak fantastyczne jak reszta Rawlingsów?

Na szczęście na to pytanie każdy miał coś do powiedzenia i uwadze wszystkich uszło, że Cilla prawie wcale się nie odzywała, a Wyatt siedział w milczeniu. Rozmowa koncentrowała się na dzieciach i spekulacjach na temat tego, jaką matką będzie Kat. Oczywiście każdy zgodził się, że będzie cudowna i wyrozumiała. Często śmiano się i wspomniano stare czasy. Później zaczęto rozmawiać o przybudówce, którą należało wykończyć przed przyjazdem dzieci. Kiedy śniadanie dobiegło końca, nikt już nie pamiętał o tym, że Cilla zasnęła.

Nie zapomniała tylko jedna osoba - Wyatt.

Cilla tylko ukradkiem zerkała w jego kierunku, czując na sobie badawcze spojrzenie jego ciemnych oczu. Wyatt nie próbował zwrócić na siebie jej uwagi, nie zadał jej nawet jednego pytania. Ale Cilla wiedziała, co w trawie piszczy. On czekał na okazję, żeby zostać z nią sam na sam, a to było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała.

Gdy tylko śniadanie dobiegło końca, Cilla pospiesznie wstała od stołu. Zamierzała iść z Josey do kuchni i zapytać, czy

mogłaby w czymś pomóc Kat. Zanim jednak zdążyła odejść od stołu, za jej plecami pojawił się Wyatt.

- Musimy porozmawiać - powiedział cicho, tak żeby tylko ona go usłyszała.

Wystraszona spojrzała przez ramię i zobaczyła, że stoi tuż za nią. Czując, jak serce bije jej coraz szybciej, odwróciła się do Wyatta.

- Nie mogę - powiedziała spięta. - Nie teraz. Jadę na zakupy do Tucson.

- Nie musi być teraz. Ja też mam parę rzeczy do zrobienia. Później.

- Będę zajęta przez większość dnia.

- Cholera, Cilla.

Cilla zignorowała ten komentarz i czym prędzej ruszyła do kuchni.

- Josey? Nie wiesz przypadkiem, czego Kat potrzebuje dla dzieci?

Chciałabym kupić im coś specjalnego, ale nie wiem, co już ma.

Josey wkładała właśnie do lodówki słoik z konfiturami - Alice.

- Zdaje się, że nie ma jeszcze wózka, chociaż głowy nie dam.

Wyatt nie przyszedł za nią do kuchni, ale Cilla czuła na sobie jego pełen wyrzutu wzrok. Był na nią trochę zły. Choć nie stał tam długo, wydawało się, że to trwa całą wieczność. W końcu odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem.

Cilla niemal ze świstem wypuściła wstrzymywany oddech. Wiedziała, że nie pozbyła się go jeszcze na dobre, ale przynajmniej zyskała trochę czasu... na razie. Jeśli szczęście będzie jej sprzyjać, do spotkania sam na sam dojdzie wtedy, kiedy odzyska kontrolę nad swoimi emocjami.

Sześć godzin później Cilla weszła do szpitala, pchając przed sobą dwuosobowy wózek wypełniony kwiatami i prezentami. Kat, która właśnie karmiła dziecko z butelki, powiedziała zachwycona:

- Wózek! Skąd wiedziałaś, że go potrzebujemy?

- Josey mi powiedziała. - Cilla uśmiechnęła się i ostrożnie uściskała Kat.

- 'Gratuluję, mamó! A to kto?

Promieniując z dumy, Kat odsłoniła twarz dziecka.

- To twój nowy kuzyn, Nathan. Nathan, kochanie, otwórz oczka i przywitaj się z Cillą. Przyniosła tobie i twojemu bratu prezenty.

- Tobie też - dodała Cilla. - Ponieważ twoje dzieci przyszły na świat wcześniej, niż planowałam, pomyślałam, że pewnie nie byłaś przygotowana na pobyt w szpitalu. Dlatego przyniosłam ci koszulę nocną i szlafrok. - Cilla spojrzała na dziecko i poczuła, że cała się roztkliwia. -

Och, Kat, on jest taki śliczny. Popatrz tylko na te włoski. A gdzie Alex?

. - W sali obok. Obaj są pod tlenem. Odłączają ich tylko na czas karmienia. To niestety konieczne w przypadku wcześniaków.

- Są identyczni?

- Jak dwie krople wody - powiedziała Kat, ponuro się uśmiechając. - Bóg jeden wie, jak ich odróżnimy. Lucas obawia się, że jak będziemy ich tak ciągle mylić, wypaczymy ich psychikę.

- Na pewno wszystko będzie dobrze - zaśmiała się Cilla. - Możecie zawsze zrobić tak jak Gable i Josey. Nie zdejmowali swoim synom szpitalnych opasek z imionami aż do czasu, kiedy z nich wyrosli. - Cilla uważniej przyjrzała się swojej kuzynce. - Podziwiam twoją kondycję. Nie wyglądasz na kobietę, która przez większą część nocy rodziła dzieci. Kiedy cię stąd wypuszczą?

- Jutro rano, ale i tak nie wrócę do domu. Tate chce, żeby dzieci zostały tu jeszcze przez tydzień. Muszą im się do końca wykształcić płuca. - Kat uniosła dziecko i przytuliła do ramienia, żeby pomóc mu uwolnić powietrze z żołądka. - No, ale nie rozmawiajmy tylko o mnie. Powiedz, jak ty, Wyatt i dzieci spędziliście noc na ranchu. Nie pozabijaliście się nawzajem?

Cilla wiedziała, że powinna powiedzieć coś zabawnego i zmienić temat, ale jej policzki od razu spłonęły rumieńcem. Odwróciła się na pięcie i zaczęła chodzić po małym pokoju.

- Na początku mieliśmy z dziećmi trochę kłopotów. W końcu Wyatt zdołał wysłać je do łóżek, przekupując prażoną kukurydzą i bajką na dobranoc.

Suchy ton głosu Cilli sprawił, że przekorny uśmiech zniknął z twarzy Kat.

- Cilla? Czy poruszyłam jakiś drażliwy temat? Dobrze się czujesz? Co się stało zeszłej nocy?

- Nic - powiedziała szybko, ale nie potrafiła dalej kłamać. Musiała wreszcie przed kimś się wygadać. - Nie, to nieprawda. Wyatt chce, żebyśmy znowu byli razem i w ogóle nie przyjmuje do wiadomości, że powiem nie. Ja nawet nie wiem, czy go chcę. Nie wiem, czego chcę. Wiem tylko, że nie mogę go stracić. To za bardzo bolało za pierwszym razem.

Opierając się wygodniej o poduszkę, Kat wypuściła głośno powietrze.

- Hm! Zaskoczyłaś mnie. Myślałam, że już dawno o nim zapomniałaś.

- Ja też tak myślałam - powiedziała Cilla łamiącym się głosem. - A tu, proszę, jaka niespodzianka - starała się zażartować. - Wystarczyło, że mnie pocałował, i już wiedziałam, dlaczego nie mogłam poślubić Toma.

- Ciagle go kochasz.

To było stwierdzenie, nie pytanie, i Cilla wiedziała, że nie może zaprzeczyć. Kurcząc się w sobie, skinęła głową.

- Tak. Chyba jestem masochistką.

- Niekoniecznie. Jeśli go kochasz, a on kocha ciebie...

- Nie kocha. W każdym razie nigdy mi tego nie powiedział. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy słowo „kocham” występuje w jego słowniku. On mnie chce - powiedziała z ironią.

- Chce," żebyśmy zaczęli tam, gdzie skończyliśmy. Nie wiem, co ty o tym myślisz, ale dla mnie nie brzmi to jak wyznanie dozgonnej miłości.

Zwłaszcza że wcześniej łączył nas tylko wakacyjny romans.

Cilla myślała, że panuje nad emocjami, ale po chwili oczy zaszły jej łzami. Uśmiechając się do Kat, roztkliwiła się na widok kuzynki i jej dzieci.

- Chcę mieć to, co ty masz, Kat. Ty, Cooper, Flynn, Gable. Chcę małżeństwa i dzieci. Chcę się kłaść i budzić przy tym samym mężczyźnie przez następne pięćdziesiąt lat., Ale chyba to nie jest mi pisane, nie z Wyattem. On za bardzo kocha swoją wolność i inne kobiety.

- Ale to, że nie wspomniał o stałym związku, nie znaczy, że pozwoli ci odejść po świętach - powiedziała spokojnie Kat.

- On się zmienił, Cillo. Nie zauważyłaś tego? To już nie jest ten sam mężczyzna. Jest bardziej ustabilizowany, bardziej... nie wiem... dojrzały.

- To samo powiedziała Josey - odpowiedziała Cilla. - Ale ja nic takiego nie zauważyłam. Jest takim samym flirciarzem jak zawsze.

- Z tobą, głupia. Ale nie z innymi kobietami. Czy on gdzieś wychodzi? Wałęsa się po ulicach, wypatrując jakichś ślicznotek?

- Nie, ale...

- Nie, bo nie. On nie wygląda na mężczyznę, który idzie

na podryw. Spójrz prawdzie w oczy, kuzynko. Ten facet szaleje za tobą - o tym wiedzą wszyscy oprócz was. Kiedy jesteście w tym samym pomieszczeniu, nie spuszcza z ciebie wzroku.

Cilla bardzo chciała w to uwierzyć, ale doświadczenie nauczyło ją, żeby nie spodziewała się zbyt wiele po Wyattcie. Dziesięć lat temu przysięgłaby na wszystkie świętości, że jest pewna jego miłości. A potem nakryła go z inną kobietą.

- Sama nie wiem. Bóg mi świadkiem, że chcę w to wierzyć, ale teraz jestem tak skołowana, że niczego nie mogę być pewna.

- W takim razie zapytaj go, jakie są jego zamiary - wypaliła Kat. - Mamy lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku. Masz prawo zapytać go, czy chce się tylko porzucić w sianie, czy wstąpić na ślubny kobierzec.

Oczywiście on sam może tego jeszcze nie wiedzieć i jeśli tak jest, niech ci to powie. Wtedy będzie ci łatwiej podjąć jakąś sensowną decyzję.

To była dobra rada. Jeszcze długo po wyjściu ze szpitala Cilla analizowała ten pomysł i im bardziej zbliżała się do ran-cza, tym optymistyczniej patrzyła w przyszłość. Dlaczego miałyby go nie zapytać o jego zamiary? Nie była jakąś pokojówką z dziewiętnastego wieku, czekającą cierpliwie, aż mężczyzna raczy poinformować ją o decyzji, od której zależało jej całe późniejsze życie. Musi znaleźć Wyatta, zażądać wyjaśnień i... modlić się, żeby były zgodne z jej marzeniami.

Twarz Cilli przybrała zdeterminowany wyraz, a w oczach pojawił się bojowy blask. Zatrzymała samochód przed domem i weszła do środka gotowa do konfrontacji. Jednak wewnątrz panowała głucha cisza. To dziwne, bo przy trójce dzieci cisza zapadała tylko w nocy.

- Hej, jest tu ktoś?

- Tutaj - dał się słyszeć stłumiony głos Alice, dobiegający z tyłu domu. - Jestem w spizarni.

Cilla ruszyła w tamtą stronę i odnalazła Alice, która przenosiła ze spiżarni do kuchni ogromne ilości słoików z domowymi przetworami. Patrząc z rozbawieniem na jej czerwoną z wysiłku twarz, Cilla czym prędzej rzuciła się na pomoc.

- Boże, Alice, co ty robisz?

- Wyciągam świąteczne prezenty dla sąsiadów - wysapała, stawiając ostatni pakunek na stole. - Co roku robiłam dla każdego dżem,- ale tym razem postanowiłam zrobić pikantny sos według własnego przepisu. - W jej matowych oczach za szklami okularów pojawił się błysk. - Usuwa wszystkie włosy na języku mężczyzny.

- Alice, nigdy nie widziałam włosów na języku mężczyzny i mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę - powiedziała Cilla, śmiejąc się.

- I nie zobaczysz, jeśli dasz mu mojego sosu - odpowiedziała Alice. Nagle uświadomiwszy sobie, że Cilla wróciła do domu przed czasem, zapytała:

- A właściwie co ty tu robisz tak wcześnie? Myślałam, że przegadasz z Kat całe popołudnie.

- Nie chciałam jej męczyć - powiedziała. - Poza tym muszę porozmawiać z Wyattem. Nie widziałas go? A tak w ogóle to gdzie się wszyscy podziali?

- Bóg jeden raczy wiedzieć. Po śniadaniu każdy poszedł w swoją stronę, skrywając jakieś sekrety, jak to przed świętami. A telefon od rana się urywa: znajomi i rodzina pytają o dzieci Kat, dzwonią jacyś sprzedawcy, ankieterzy, a jednocześnie...

Alice rozgadałaby się na dobre, więc Cilla musiała jej łagodnie przerwać.

- A nie wiesz, gdzie jest Wyatt? Nie mówił, dokąd się wybiera? Jego samochodu nie ma przed domem.

- Kiedy widziałam go po raz ostatni, wybierał się do Kat. To było ponad dwie godziny temu. Oczywiście mógł też po-

jechać gdzieś indziej. Właśnie dlatego powiedziałam... hej, gdzie ty idziesz?

- Zobaczyc, czy nadal tam jest - Cilla krzyknęła przez ramię, pospiesznie wychodząc z kuchni. - Muszę z nim porozmawiać. Zobaczmy się później.

Alice nie zdążyła jej zatrzymać ani dokończyć tego, co miała jej do powiedzenia - że kobiecie, która przed chwilą szukała Wyatta, powiedziała dokładnie to samo. Zaniepokojona ruszyła za Cillą. Może uda jej się złapać ją, zanim odjedzie z podjazdu. Ale w tej chwili znowu zadzwonił telefon i Alice straciła swoją szansę.

Wzbijając tumany kurzu, Cilla pędziła w stronę skalistego kanionu, gdzie znajdował się dom Kat, nie mogąc opanować uśmiechu, pojawiającego się w kącikach jej ust. Słusznie czy nie, brała byka za rogi i czuła się z tym dobrze. Kat miała rację. Skoro Cilla kochała Wyatta, powinna powiedzieć mu o tym i zapytać, czy i on kocha ją.

Na pewno mnie kocha, powtarzała sobie. Nie może być inaczej. Tylko taka odpowiedź wchodziła w grę. Trzymając kurczowo kierownicę, dodała gazu, przelatując prawie przez pustynię.

Przysięgłaby, że nic oprócz widoku Wyatta nie jest w stanie sprawić, żeby zwolniła. Jednak kiedy znalazła się przy skalistym wjeździe do kanionu, nacisnęła hamulce, nie wierząc własnym oczom. Drzewa i kaktusy, rosnące przy drodze, która prowadziła do domu Kat i Lucasa, były ozdobione tasiemkami, kokardami i girlandami.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Cilla zastygła w bezruchu. Przecież to zrobił Wyatt. I tamte kaktusy koło domu również. To musiał być on. Tego dnia rano powiedział, że ma do załatwienia kilka spraw, a Alice widziała, jak jechał

w tę stronę. Wyatt nie miał też innego powodu, żeby tu przyjeżdżać. Kat była jeszcze w szpitalu w Silver City, a Lucas odsypiał zarwaną w noc w pobliskim hotelu.

W oczach Cilli pojawiły się łzy. Kat i Josey mieli rację - Wyatt rzeczywiście się zmienił. Ponieważ tak bardzo bała się, że on znowu złamie jej serce, wołała nie przyznawać się do swoich prawdziwych uczuć. Wieczory spędzane z resztą rodziny, zabawa z dziećmi, całkowity brak zainteresowania okolicznymi pubami - to wszystko wskazywało, że Wyatt naprawdę stał się innym człowiekiem.

Cilla wcisnęła nagle pedał gazu, czując, że musi jak najszybciej zobaczyć reakcję Wyatta, kiedy powie mu, że zawsze go kochała i nadal kocha. Boże, stracili tyle cennego czasu. Na myśl o tym chciało jej się płakać. Widocznie oboje musieli dorosnąć i dojrzeć, żeby znowu się odnaleźć. Na szczęście teraz czekała ich jasna i pogodna przyszłość.

Jadąc z maksymalną prędkością obok jaskrawo udekorowanych drzew, Cilla wjechała na polanę przy domu Kat z czokiem śmiało podniesionym, jak gwiazdka na szczycie choinki. Zobaczyła sportowy samochód Wyatta zaparkowany koło domu. Zatrzymała swój obok i wtedy dostrzegła, że stoi tam jeszcze zakurzony czerwony mercedes na kalifornijskich numerach rejestracyjnych.

Zaskoczona zaczęła rozglądać się wokół i wołać Wyatta, kiedy nagle spostrzegła go w drzewach na skraju polany. Wyatt nie był sam. Towarzyszyła mu wysoka blondynka, którą namiętnie całował.

Rozdział 10

Czując, jakby wróciła do koszmaru z przeszłości, Cilla stała nieruchomo jak głaz, a głowę rozsadał jej skowyt bólu i wściekłości. Nie! To nie dzieje się na jawie! Nie po raz drugi. Przecież to niemożliwe, żeby dwa razy w życiu zakochała się w tym samym mężczyźnie i dwa razy została przez niego zdradzona. Jak mogła być tak bezmyślna? Jak naiwna pannica oczarowana urokiem pierwszej miłości tak bardzo chciała uwierzyć w jego niespodziewaną przemianę, że stała się bezkrytyczna i zaufała mu. Boże, co za bzdura! Wyatt Chandler kochał tylko jedną osobę - siebie samego. De razy musiał ją ranić, żeby to w końcu do niej dotarło? Nigdy więcej! - obiecała sobie, połykając gorące łzy, które zaczęły ją dławić. Koniec, już nigdy więcej jej nie zrani, już nigdy więcej ona nie pozwoli mu, żeby ją zranił. Na świecie są rzeczy, które nie pasują do siebie i bez wątpienia ona i Wyatt należeli do tej kategorii. Analiza tego, co zaszło, była jak tortura i Cilla poczuła, że już dłużej tego nie zniesie. Ogarnęła ją wściekłość. Jak on śmiał zrobić jej coś takiego! Przecież jeszcze zeszłej nocy... oboje...

Przez chwilę miała ochotę podbiec do nich, oderwać Wyatta od tej blondyny i wygarnąć mu, co o nim myśli. Ten szczur tylko na to zasługiwał! Ale zrezygnowała z robienia mu awantury, nie chciała nawet patrzeć na niego. Po cichu przemknęła w stronę samochodu.

Wyatt spojrział ze złością na kobietę, która zakradłszy się do niego w chwili, gdy przyozdabiał ostatni cedr, pocałowała go. Stał nieruchomo, nie okazując żadnej reakcji, z opuszczonymi rękami i zimnymi jak lód ustami. Żeby ją odepchnąć, musiałby ją zranić, bo kobieta wpiła się w niego jak ośmiornica. Jako mężczyzna nie pochwalał jednak takich zachowań. Czekał więc, co będzie dalej. Jakkolwiek udało jej się go odnaleźć; cała jej wyprawa była stratą czasu. I zamierzał jej to powiedzieć, gdy tylko przestanie robić z siebie wariatkę.

Jednak kobieta nie poddawała się łatwo. Wyatt już prawie stracił cierpliwość, kiedy nagle usłyszał pisk opon i chrzęst żwiru. Odwrócił głowę i zdążył zobaczyć, jak honda Cilli mknie drogą prowadzącą do głównego domu na ranchu.

- Cholera! - Z jego ust wyrwał się stek przekleństw. Odepchnął Eleanor na długość ręki, z wściekłością wyplątując się z jej objęć. - Do diabła, kobieto. Daj mi wreszcie spokój.

Niezrażona jego reakcją Eleanor uśmiechnęła się i spróbowała objąć Wyatta za szyję.

- Kotku, przecież wcale tak nie myślisz. No, pocałuj mnie. Wiem, że marzysz o tym.

W tej chwili marzył o jednym - żeby dogonić Cillę i wszystko jej wyjaśnić. Jednak najpierw musiał raz na zawsze uwolnić się od tej małej wiedźmy. Wyatt położył ręce na ramionach Eleanor i spojrział jej głęboko w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie, Eleanor, bo nie będę powtarzał dwa razy. Jesteś atrakcyjną kobietą. Jestem pewien, że na świecie jest wielu mężczyzn, którzy chcieliby poznać cię bliżej. Ale ja nie jestem jednym z nich. I nigdy nie będę.

- Nie mów tak, kochanie. Gdybyś tylko...

- Kocham inną kobietę - powiedział jej wprost.

- Przestań się wygłupiać. - Jej śmiech zdradzał oznaki zdenerwowania. - Przecież kochasz mnie.

- Nie kocham cię. Nigdy cię nie kochałem. Nigdy nie dawałem ci żadnych złudzeń. Ani razu. Posunąłem się nawet do tego, że opuściłem stan, żeby wreszcie dotarło do ciebie, że nie jestem tobą zainteresowany. A ty ciągle mnie prześladujesz.

- Wynajęłam prywatnego detektywa - powiedziała z -rozbrajającą szczerością. - Myślałam, że bawisz się w jakieś gierki.

- Nie bawię się w żadne gierki. - Wyatt zsunął jej rękę ze swojej szyi i cofnął się. Tym razem Eleanor nie oponowała. - Nie chcę cię ranić, ale prawda jest taka, że ty też mnie nie kochasz. Nie, nie kochasz - powtórzył szybko, kiedy Eleanor chciała zaprotestować. - Podnieca cię pościg. Polowanie. Dlatego powinnaś znaleźć sobie kogoś innego, kogo będziesz mogła ścigać. Ja kocham inną kobietę i mam zamiar spędzić następne pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat na przekonywaniu jej, że moje uczucia są szczere. Więc jeśli pozwolisz, opuszczę cię teraz. Mam sporo rzeczy do wyjaśnienia. A ty wracaj, skąd przyszłaś. Jeśli będziesz trzymać się drogi, którą przyjechałaś, nie zabłądzisz.

Wyatt wyminął Eleanor i czym prędzej ruszył w kierunku swojej corvetty. Jego myśli krążyły wokół Cilli. Co za cholerny pech! Jak mógł do tego dopuścić? Wiedział, że Eleanor miała niespożyta energię. Kiedy czegoś chciała, zdolna była poruszyć niebo i ziemię. Z jakiegoś nieznanego powodu ubzdurała sobie, że Wyatt jest mężczyzną jej życia. Boże, co o tym wszystkim pomyśli teraz Cilla? Nigdy nie mówił jej o Eleanor, bo tak naprawdę nie było o czym. Ale co ma jej teraz powiedzieć? Jak jej wytłumaczyć ten pocałunek? Cilla pomyślała pewnie, że specjalnie zaprosił Eleanor w odludne miejsce i że historia znowu się powtarza.- Musi koniecznie ją odnaleźć i sprawić, żeby mu uwierzyła. Jednak kiedy dotarł do domu, po hondzie Cilli nie było

śladu. Klnąc głośno, zatrzymał się z piskiem opon i nie wyłączając silnika, zastanawiał się, dokąd mogła pojechać. Nie wyjechałaby bez swoich rzeczy, a miała za mało czasu, żeby się spakować. Do diabła, gdzie ona może być?

Nagle uderzył dłonią w kierownicę. Już wiedział. Modląc się, żeby miał rację, zawrócił i ruszył z powrotem w stronę kanionu.

Chata położona była daleko od domu Kat, w drugim końcu kanionu. Była to prosta konstrukcja, składająca się z czterech ścian i dachu. Bale, z których ją zbudowano, nigdy nie były pomalowane, a elektryczność była tylko marzeniem. Bieżąca woda płynęła w pobliskim strumyku, ciągnącym się wzdłuż kanionu, a na umeblowanie składały się: piętrowe łóżko, prosty stół i krzesła. Zbudowano ją z myślą o kowbojach, którzy mogli znaleźć tu schronienie przed burzą.

Cilla zatrzymała samochód przed chatą i siedziała bez ruchu, wpatrując się w cedrowe ściany wzrokiem pełnym desperacji. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Nie teraz. Była zbyt słaba. A tu było za dużo wspomnień. Wspomnień dotyczących jej i Wyatta, kiedy razem pływali w strumieniu, zwiedzali kanion, bawili się i zakochiwali w sobie.

W każdym razie jedno z nich się zakochało... wtedy i teraz, pomyślała z goryczą. Boże, musi stąd odjechać. Ale zamiast uruchomić silnik i pojechać na ranczo, wysiadła z samochodu.

Wiatr rozwiewał jej włosy na wszystkie strony, co zawsze bardzo ją bawiło. Ale nie dzisiaj. Usłyszała szum strumyka. Krystalicznie czysta woda, przelewając się przez kamienie, mruzczała, szumiała i szeptała wiatrom swoje tajemnice.

Cilla zatrzymała się i uważnie wsłuchując się w szum wody, nagle zrozumiała, po co tu przyjechała. Woda. Jak mogła o niej zapomnieć? Zawsze lubiła dźwięk, jaki wydawała, ko-

jący szum, który trwał wiecznie. Czują, że jej dusza i ciało na nowo tu odżywają.

W tamto odległe lato spędziła tu mnóstwo czasu. Najczęściej z Wyattem, ale czasami przychodziła tu również sama, skuszona pięknem tego miejsca. To tutaj marzyła i tu planowała przyszłość. Tutaj również wypłakiwała swój ból.

Wydawało się, że nic się nie zmieniło.

Nagle każdą cząstkę jej ciała ogarnęła lodowata pustka. Trzęsąc się, objęła się ramionami, ale to nie pomogło. Nigdy wcześniej nie czuła się taka samotna. Chciała wierzyć, że zapomniała o tym, co było. Jednak obecne spotkanie z Wyattem uzmysłowiło jej okrutną prawdę - że była i jest kobietą jednego mężczyzny. I idiotką. Ile razy musi zobaczyć go z inną kobietą, żeby wreszcie zrozumieć, że nie ma w nim ani odrobiny lojalności?

Poczuła ostry, kłujący gniew. To podły łajdak, pomyślała, zbliżając się przez las do strumienia. Nigdy więcej jej nie skrzywdzi. Cilla podniosła kamyk, rzuciła do strumyka i patrzyła, jak utonął. Nie udawała, że go nie kocha - taki widać był jej los - ale nie była masochistką. Mogła go kochać, a jednocześnie nie pozwolić mu, żeby stał się częścią jej życia. W gruncie rzeczy czyż nie to właśnie usiłowała zrobić przez ostatnie dziesięć lat? Pełna bólu, zastanawiając się, co zrobi w przyszłości, Cilla nie usłyszała, że do kanionu wjechał sportowy samochód i zatrzymał się przy jej hondzie. Dopiero na dźwięk zamykanych drzwi odwróciła się gwałtownie i dostrzegła Wyatta, który szybkimi krokami zbliżał się w jej stronę. Jej serce zaczęło szybciej bić. Ogarnął ją gniew. Spoglądając na niego dumnie, Cilla krzyknęła z odległości kilku metrów:

- Nie wiem, po co za mną jechałeś. Chcę być sama. Wracaj

do swojej ślicznotki z Kalifornii. Nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

- Mamy, i to dużo - warknął Wyatt, podchodząc coraz bliżej. - Ta kobieta nie jest moją ślicznotką ani w ogóle nikim dla mnie!

- Doprawdy? - zapytała zjadliwie. - Odniosłam zupełnie inne wrażenie. Wczepiła się w ciebie jak nastolatka w pierwszego chłopaka.

- Masz całkowitą rację - zgodził się Wyatt. - Wczepiła się we mnie. I to ona mnie całowała, a nie ja ją.

Cilla zaśmiała się z takiego wyjaśnienia, choć w jej głosie dało się zauważyć szczere rozbawienie.

- I co, opędzałeś się od niej kijem? Co jeszcze wymyślisz, Wyatt?

- Cholera, Cilla, pozwól mi wreszcie wyjaśnić! To nie było to, co myślałaś.

- Ależ było, było - odparła. - Opowiedz tę bajeczkę komuś, kto jest zainteresowany, ale nie mnie.

Cilla odwrócił się na pięcie i ruszyła w stronę chaty.

Łzy, których nie mogła już dłużej powstrzymać, trysnęły, kiedy zamknęła za sobą drzwi. Potem ogarnął ją niekontrolowany szloch. Dusząc go w sobie, rzuciła się na łóżko.

Kiedy Wyatt bezszelestnie otworzył drzwi, poczuł, że na widok jej niedoli chyba pęknie mu serce. Błyskawicznie znalazł się przy łóżku i klęknął obok Cilli.

- Kochanie, nie dręcz się tak. Nie ma nad czym płakać.

- Odejdź - powiedziała, łkając, i ukryła twarz w materacu. - Po prostu odejdź.

- Nie - powiedział ostro. - Nigdzie nie pójdę, dopóki sobie tego nie wyjaśnimy.

Wyatt nie dał jej czasu na dyskusję. Usiadł na łóżku, plecami opierając się o ścianę i posadził Cillę na kolanach. Pró-

bowiała się wyrwać, ale nie dał jej na to szans. Objął ją wpół i mocno przytulił do piersi.

- Nie pozwolę ci odejść, kochanie. Nie teraz. Nigdy. Będzie lepiej, jeśli przyzwyczaisz się do tego.

Cilla cała zeszywniała, jej smukłe ciało było napięte jak struna. Wyatt pomyślał, że za chwilę uderzy go i spróbuje mu się wyrwać. Nie winiłby jej za to. W końcu kilka godzin po tym, jak kochali się ze sobą, znalazła go w ramionach innej kobiety. Z jej punktu widzenia Wyatt był skończonym draniem i trzeba było mu to uświadomić.

Lecz nagle duch walki całkowicie ją opuścił. Cilla wybuchnęła niepohamowanym płaczem, przytuliła się do szyi Wyatta i płakała jak skrzywdzone dziecko.

Przytulił ją mocniej, czując, że serce staje mu w gardle. Nie może jej stracić. Nie po raz drugi. Kochał ją tak bardzo, że sama myśl o jej utracie była nie do zniesienia. Najpierw musi jej wyjaśnić, że Eleanor nigdy nic dla niego nie znaczyła, że była jak zaraza, której za wszelką cenę starał się uniknąć.

- Nie okłamywałem cię, kochanie - powiedział zmienionym głosem, kiedy Cilla uspokoiła się¹ i leżała oparta o jego pierś. - Nigdy nie robiłem Eleanor żadnych złudzeń, ale ona wbiła sobie do głowy, że mnie kocha. - Wyatt opowiedział Cilli o tym, jak Eleanor pojawiała się bez uprzedzenia w jego pracy, jak śledziła go na każdym kroku, jak dzwoniła do niego w środku nocy, żeby sprawdzić, czy jest sam. - Mówię ci, ona jest stuknięta. To pewne. Chodziła za mną krok w krok i nawet ogłosiła w prasie nasze zaręczyny. A ja nawet dobrze jej nie znam! Dlatego postanowiłem spędzić święta na ranczu. Pomyślałem, że jeśli wyjadę z Kalifornii, nikomu nie mówiąc dokąd, Eleanor znajdzie sobie nowy obiekt zainteresowania i zostawi mnie w spokoju. Ale to były płonne nadzieje. Ona jest uparta jak osioł.

Gorzki ton Wyatta kazał Cilli spojrzeć mu prosto w oczy.

- Mówisz poważnie?

- Czy wyglądam teraz na kogoś, kto sobie żartuje? Rzeczywiście, musiała przyznać, że nigdy nie widziała

Wyatta w tak poważnym nastroju.

- Jak ona cię odnalazła?

- Wynajęła prywatnego detektywa. Nigdy nie sądziłem, że posunie się tak daleko. To tylko świadczy o mojej naiwności. Ona uwielbia takie gierki i jest przyzwyczajona, że zawsze dostaje to, czego chce. Kiedy na początku powiedziałem jej, że nie jestem nią zainteresowany, potraktowała to jak wyzwanie.

Słuchając swoich wyjaśnień, Wyatt nie mógł oprzeć się wrażeniu, że brzmią one mało wiarygodnie nawet dla średnio inteligentnej osoby.

Oczy Cilli zdradzały, że nadal jest pełna nieufności. A przecież mówił jej szczerą prawdę!

- Gdybym chciał cię okłamać, wymyśliłbym bardziej przekonującą historyjkę - powiedział bez ogródek. - Wiem, że to, co mówię, brzmi podejrzenie, ale jeśli mi nie wierzysz, zapytaj i Gable'a. Rozmawialiśmy w Dniu Dziękczynienia i wtedy powiedziałem mu o Eleanor i kłopotach, jakie mi sprawia. To on zasugerował, żebym na jakiś czas wyjechał z Los Angeles : spędził święta na ranczu.

Patrząc prosto w oczy Wyatta, Cilla tak bardzo chciała mu wierzyć.

- Dlaczego ona myślała, że jest w tobie zakochana, skoro w żaden sposób jej nie zachęcałeś? Czy kiedykolwiek wzięłeś ją na randkę?

- Ani razu. Przysięgam!

- Daj spokój, Wyatt - fuknęła. - Przecież wiem, że jesteś flirciarzem.

Przez wszystkie te lata rodzina informowała mnie o twoich podbojach.

Musiałeś zrobić coś, co zostało odebrane przez Eleanor jako znak, że jesteś nią zainteresowany.

Uśmiechając się na widok jej wzburzenia, Wyatt mocniej przycisnął jej rękę do swojej piersi.

- O, widzę, że śledziłaś moje losy. Miło to słyszeć. Oczyt wiście spotykałem się z kobietami. Ale po pierwsze, wcale nie było ich tak dużo, a po drugie, nie były to poważne związki. Jeśli chodzi o Eleanor, wszystko, co ode mnie dostała, to uśmiech, a teraz żałuje nawet tego. Taka jest prawda. Nie mogę jej udowodnić, musisz mi po prostu uwierzyć.

Cilla mogłaby zadać mu mnóstwo pytań, ale patrząc w oczy Wyatta, nabierała coraz większego przekonania, że mówi prawdę. Jeśli teraz kłamał, to osiągnął w tym mistrzostwo. Przed laty nie potrafił kłamać i patrzeć prosto w oczy.

- Nie musisz tego udowadniać - powiedziała cicho. - Wierzę ci... przynajmniej jeśli chodzi o Eleanor. Ale nie uwierzę, że przez wszystkie te lata żyłeś jak mnich. Za dobrze cię znam.

Uśmiech zniknął z twarzy Wyatta.

- Każdy mężczyzna ma swoją dumę. Trochę koloryzowałem, bo wiedziałem, że rodzina przekaże ci wiadomości o mnie. Nie chciałem, żebyś myślała, że tęsknię. Ale tęskniłem. Nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo, aż do chwili, kiedy znowu cię zobaczyłem.

Jego słowa dokładnie opisywały również jej uczucia i Cilla poczuła, jakby coś ścisnęło ją za serce. Na wspomnienie wszystkich samotnych lat gardło gwałtownie jej się skurczyło.

- Proszę, nie...

- Co nie? - Wyatt spojrzał na jej załzawione oczy i wziął ją za brodę. - Co się dzieje, kochanie? Co takiego powiedziałem? Proszę, nie płacz znowu. Kocham cię, do cholery. Musisz mi uwierzyć!

Boże, tyle czasu czekała, żeby usłyszeć te słowa. Z nadzieją w sercu popatrzyła mu prosto w oczy i zapytała:

- Kochasz mnie?

- Oczywiście, że cię kocham. W życiu zakochałem się tylko dwa razy i dwa razy w tobie.

- Ale...

- Wiem, co myślisz. Jeśli cię kochałem, to dlaczego dziesięć lat temu zachowałem się jak łajdak? To wszystko, co wtedy widziałaś, było tylko przedstawieniem. Zrobionym z myślą o tobie.

- Przedstawieniem? O czym ty mówisz? To znaczy, że nic nie łączyło cię z dziewczyną, z którą się całowałeś?

- Dzieliliśmy ten samo pokój, to wszystko. Musiałem coś zrobić, Cillo. Miałaś wtedy tylko siedemnaście lat! Zaczęłaś planować nasz ślub, urządzałaś przyszłe mieszkanie. Wiedziar łem, że nie uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedział, że cię nie kocham. Poradziłem się więc Kurta i Sharon i razem wymyśliliśmy ten plan. - Wyatt obrzucił ją błagalnym spojrzeniem. - Kochanie, musiałem pozwolić ci odejść, żebyś miała czas dojrzeć. Jeśli teraz znienawidzisz mnie za to, nic na to nie poradzę. Ale uwierz, że było mi równie ciężko jak tobie. Przez wszystkie te lata myślałem; że straciłem cię na zawsze.

Oszołomiona, Cilla nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Zawsze wydawało jej się, że zna tego mężczyznę. Ale okazało się, że tak naprawdę wcale go nie znała. Wyatt poświęcił ich związek dla jej dobra i Cilla zdawała sobie sprawę, że niewielu mężczyzn byłoby na to stać. Chciała zaatakować go za to, że zadał im taki ból, ale po chwili uświadomiła sobie, że w jednym Wyatt miał rację. Mając siedemnaście lat, nie uwierzyłaby mu, że jej nie kocha. Tylko „dowód” w postaci Sharon mógł przechylić szalę.

Podniosła wyżej głowę i uśmiechnęła się,

- To ty ozdobiłaś kaktusy, prawda? Tylko nie zaprzeczaj. Zrozumiałam to, zanim jeszcze zobaczyłam cię z Eleanor.

Nagła zmiana tematu zbiła Wyatta z tropu. Jednak po chwili wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Może tak, a może nie. Dlaczego tak myślisz?

- Bo mam przeczucie, że zrobił to mężczyzna, którego kocham. To jedna z tych rzeczy, które pasują do niego.

Mocniej ją obejmując, spojrzał na nią swoimi zielonymi oczami pełnymi miłości.

- Mężczyzna, którego kochasz... Jesteś tego pewna?

- Bardziej niż czegokolwiek w życiu - odpowiedziała pewnym głosem i pocałowała go.

To był pocałunek obietnicy, odnowy i miłości, która zdała próbę czasu. Nie trzeba było słów, żeby wybaczyć, zapomnieć o przeszłości i obdarzyć się zaufaniem. Kiedy Cilla i Wyatt wyszli na dwór, przed nimi widać było tylko przyszłość.

- Chciałem zaczekać z oświadczeniami do świąt, ale nie mogę już dłużej czekać - powiedział zmienionym tonem. - Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo cię kocham, Cillo Rawlings. Wyjdiesz za mnie za mąż?

Spełniły się wreszcie jej marzenia i Cilla promiennie się uśmiechnęła.

- Chyba już najwyższy czas. Myślałam, że nigdy mnie o to nie poprosisz.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Tak - powiedziała, wtulając się w niego. - Jesteś mój, kuzynie. Teraz, kiedy znowu cię odnalazłam, już cię nie wypuszczę.

- To dobrze, bo nigdzie się nie wybieram.

- Wyatt uśmiechnął się szeroko i przyciągnął ją do siebie z miłością. Dziesięć lat czekał na tę chwilę...